

z.651856

ul. Koszykowa 26/28



BPW00371046

Tadeusz Hubert Jakubowski

Lata prawie bezgrzeszne



Tadeusz Hubert Jakubowski

Lata prawie bezgrzeszne



Tadeusz Hubert Jakubowski – harcerz, Zaniak, architekt. Urodzony w 1931 roku w Pruszkowie, aresztowany w 1953 r., więziony do 1955 r. w Pałacu Mostowskich, na Rakowieckiej i w Rawiczu. Pracował w biurze projektów w Warszawie, publikuje swoje wspomnienia w prasie codziennej i periodycznej. Od 8 grudnia 2012 roku jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jego debiutem literackim była książka „Znakiem tego oskarżony” (Świat Książki,

2008). Pruszkowska Książnica wydała „Lata prawie bezgrzeszne” (I wyd. 2009) oraz „Obrazki, przeważnie miniatury” (2011) i „Migawki, zdarzenia et cetera...” (2012).

Książki Tadeusza Jakubowskiego, wydawane przez Książnicę Pruszkowską, to jakby jedna księga rozpisana na części.

W „Latach prawie bezgrzesznych”, w formie obrazków i migawek, Autor przedstawia zapamiętane zdarzenia od ostatnich lat przed wybuchem wojny aż do jej zakończenia oraz poprzez wczesny PRL do aresztowania w czerwcu 1953 roku.

A wszystko zaczyna się od ulicy Topolowej – zdaniem Autora – najpiękniejszej ulicy Pruszkowa, Polski, świata...

488994

Z. 651856

900-15j-14

Tadeusz Hubert Jakubowski

Lata prawie bezgrzeszne

Wydanie drugie



Książnica Pruszkowska
im. Henryka Sienkiewicza
2014

Ex 1282/2014

40

Copyright ©2014 by Tadeusz Hubert Jakubowski

Copyright © for this edition by Książnica Pruszkowska
im. Henryka Sienkiewicza 2014

Zdjęcia na okładce: *archiwum Autora*

Projekt okładki: *Michał Bernaciak*

Fotografie na wyklejkach: *Tomasz Malczyk*

Redakcja: *Zespół*

Korekta: *Zespół*

Skład i łamanie: *Beata Włodarczyk*

Organizacja produkcji: *Rachocki i S-ka, Pruszków*

Publikacja została sfinansowana przez Urząd Miejski
w Pruszkowie

ISBN 978-83-62144-25-9

Wydanie drugie



2.651856

Książnica Pruszkowska

im. H. Sienkiewicza

ul. Kraszewskiego 13

05-800 Pruszków

tel. 22 758 47 39

tel./fax 22 730 10 80

e-mail: ksiaznica_pruszkowska@biblioteka.pruszkow.pl

*Dziewczynom i chłopakom
z naszej ulicy poświęcam*



DZIEŃ DOBRY!

Witam Czytelniczki i Czytelników moich lat prawie bezgrzesznych. Życzę Wam przyjemnej lektury i uśmiechu do ostatniej strony tej książeczki. Bardzo przepraszam za oprychówkę na głowie i za ręce w kieszeniach, ale Pan fotograf mnie zaskoczył.

Tadzio

WSTĘP

NASZA ULICA

to TOPOŁOWA. Najpiękniejsza ulica PRUSZKOWA. Najpiękniejszego miasta POLSKI. NASZEGO KRAJU, najpiękniejszego na świecie. A więc – znający łacinę powiedzieliby tu eo ipso – najpiękniejsza ulica świata. To na niej wydarzyło się prawie wszystko, co ważne w moim życiu. Od czasów najdawniejszych, a więc moich najwcześniejszych, do chwili prawie obecnej.

W książeczce tej w formie obrazków, migawek przedstawiam zapamiętane zdarzenia od ostatnich lat przed wybuchem wojny aż do jej zakończenia i poprzez wczesny PRL do mojego aresztowania w czerwcu 1953 roku. Znajdują się w niej również opowieści spod celi.

POLSKIE CZASY zaczynają się dla mnie w 1936 roku modlitwą Ojcie Nasz. Miałem wtedy 5 lat. Wcześniejsze wydarzenia widzę jak przez mgłę.

MÓJ WRZESIEŃ to okres od wybuchu wojny do kapitulacji Warszawy i powrotu do Pruszkowa widziany przez 8-letniego chłopaka.

GG (GENERALNA GUBERNIA) zawiera najwięcej obrazków i miniatur z moich prawie bezgrzesznych lat – ale nie tylko – w warunkach okupacji niemieckiej.

W MOIM SIERPNIU przedstawiam wydarzenia z okresu Powstania Warszawskiego z perspektywy Pruszkowa zapamiętane przez trzynastolatka, jakim wtedy byłem.

WCZESNY PRL obejmuje część moich wspomnień z okresu nauki w Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. Tomasza Zana w Pruszkowie i z początku moich studiów na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Część, ponieważ dużo obrazków, miniaturek i migawek z wczesnego PRL-u znalazło się w mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony”, która 01.03.2008 ukazała się staraniem Wydawnictwa Świat Książki.

OPOWIEŚCI SPOD CELI; z PAŁACU MOSTOWSKICH, z RAKOWIECKIEJ i z RAWICZA kończą „Lata prawie bezgrzeszne”. Stanowią one uzupełnienie moich więzionych wspomnień zawartych w mojej pierwszej książeczce.

Gorąco zachęcam Czytelniczki i Czytelników „Lat prawie bezgrzesznych” do przeczytania również „Znakiem tego oskarżonego”. Dzięki sposobowi narracji klimat życia codziennego w obu tych książeczkach, wbrew pozorom, jest taki sam. Uważam, że mogą one uzupełnić ich wiedzę historyczną odnoszącą się do tamtych, niekiedy trudnych, czasów. Będzie mi miło, gdy tak się stanie.

Jeszcze jedna sprawa. Lekturę tej książeczki proponuję rozpocząć od mojej opowieści O SOBIE. Stanowi ona rodzaj rusztowania, na którym zawieszono są wszystkie obrazki, wspomnienia, migawki i zdarzenia przedstawione w „Latach prawie bezgrzesznych”.

O SOBIE

Moi najbliżsi, to mama, tata, siostra Wiesia i ciocia Klara. To im zawdzięczam wiarę w przyjaźń, wiarę w dobro, optymizm, wywodzącą się z nich pogodę ducha oraz nieprzywiązywanie wielkiej wagi do dóbr materialnych. Nigdy nie zżerała mnie zazdrość, że inni mieli więcej. O patriotyzmie tu nie wspomnę – to słowo jest teraz tak nadużywane, iż lękam się, by moje pisanie nie wypadło banalnie.

Od mojej mamy, Cecylii z Dzierlińskich Jakubowskiej, usłyszałem pierwsze w życiu dowcipy. Mimo ciężkiej choroby, była zawsze osobą pogodną. Najwcześniejsze wspomnienia z okresu dzieciństwa związane z moim tatą, Czesławem Jakubowskim, to jego powiedzonko: „psia krymka”, którego używał gdy był wkurzony. Od mojej siostry, Wiesi, która była osobą niezwykle dzielną, nauczyłem się zasad honorowego postępowania. Natomiast moja ciocia, Klara Dzierlińska, która była jednocześnie moją matką chrzestną, imponowała mi tym, że mówiąc o międzywojniu, nigdy nie używała określenia „przed wojną”. Dla niej to były po prostu polskie czasy.

Ale wracajmy do mnie.

Urodziłem się tak jak każdy, z tym że ja w Pruszkowie i to w dodatku 03.11.1931 roku.

Dzięki temu dwie ochronki (przedszkola) i pierdaka (pierwszą klasę szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego) zaliczyłem za polskich czasów (przed Wrześniem). W dniu



Jastarnia 1933 rok.
Autor jako bezgrzeszny
prekursor nudystów
w Polsce.

zakończenia wojny zostałem zatrzymany przez pijany patrol sojuszników naszych wiarołomnych sojuszników. Byłem podejrzany, ponieważ cieszyłem się z zakończenia wojny. Zamiast mnie zabrali mojego tatę. Pobity wrócił po kilku dniach.

Czerwiec 1948. Drugie zatrzymanie, razem z Edkiem Kądziałą i Wojtkiem Włodarczykiem, zaniakami i harcerzami 14 MDH – za „Podstawy wolności amerykańskiej” i za „Wojnę na Pacyfiku” otrzymane w ambasadzie USA w Warszawie. Trzy dni w komisariacie na Wilczej. W tym czasie byłem harcerzem 71 MDH.

Rok 1950. Matura u Zana (profil matematyczno-fizyczny). „Służba Polsce” – między innymi praca w kopalni węgla. Początek działalności w nielegalnej organizacji „Wolna Młodzież”. Pierwsze podejście na Wydział Architektury PW. Do grudnia biorę udział w zajęciach jako tak zwany wolny słuchacz.



Moja mama – Cecylia
z Dzierlińskich Jakubowska
(06.05.1905 – 21.12.1954)



Mój tata – Czesław Jakubowski
(02.07.1897 – 29.06.1964)



Moja siostra – Wiesia Jakubowska
(20.02.1928 – 22.09.1999)



Moja ciocia – Klara Dzierlińska
(24.08.1899 – 19.02.1957)

Rok 1951. Luty. Początek pracy w biurze projektów na Wierzbowej w Warszawie. Październik. Początek studiów architektonicznych.

27.06.1953. Aresztowanie nazajutrz po ostatnim egzaminie na drugim roku studiów. Oskarżony zostałem o usiłowanie zmiany przemocą ludowo-demokratycznego ustroju Polski Ludowej poprzez udział w kontrewolucyjnej organizacji pn. „Wolna Młodzież”, tj. o czyn przewidziany w art. 86., paragraf 2. KKWP oraz o wejście w porozumienie w celu zbierania wiadomości stanowiących tajemnicę państwową na szkodę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, to jest o czyn przewidziany w art. 15., paragraf 2. w związku z art. 7. Dekretu z dnia 13.06.1946 r.

29.01.1954 wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie (pierwsza instancja) skazany zostałem na karę ośmiu lat więzienia, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na okres trzech lat i na przepadek mienia. Rąbnęli mi portfel i sweter, ponieważ jako młody człowiek nic innego nie posiadałem.

Więziony byłem do 29.03.1955. Przebywałem w Pałacu Mostowskich na Rakowieckiej i w Rawiczu. Zwolniony zostałem warunkowo po odbyciu połowy kary zmniejszonej przez Najwyższy Sąd Wojskowy do lat 5 (pięciu) i po zastosowaniu amnestii. Moja odsiadka zaowocowała niedawno książeczką pt. „Znakiem tego oskarżony”.

Mój powrót do względnej normalności trwał długo. Wyczuwałem ciągnące się za mną ogony. Ze względu na warunkowe zwolnienie z więzienia musiałem minimum przez dwa lata uważać, co mówię i do kogo. W każdej chwili groził mi powrót bez sądu tam, gdzie już byłem. Przez pięć lat nie miałem biernego i czynnego prawa wyborczego, ale to był „plus dodatni”.

02.05.1955 roku – powrót do pracy w biurze projektów na Wierzbowej. W październiku 1955 roku powrót na przerwane na trzecim roku studia na Wydziale Architektury Politechniki War-



Komorów koło Warszawy. Jesień 1951. Członkowie organizacji „Wolna Młodzież”. Od lewej: Tadeusz Hubert Jakubowski (8), Andrzej Pawliński (7), Krzysztof Stańczyk (8), Jan Redwan (8), Krystyna Brzozowska-Pawlińska (5), Henryk Pecyna (10). W nawiasach podano wysokość wyroków w pierwszej instancji.

szawskiej. Ze względu na fakt, że w biurze projektów na Wierzbowej pracowałem na pełnym etacie, a studia miałem dzienne, ich ukończenie wydłużyło się w czasie. Dyplom magistra inżyniera architekta otrzymałem w 1963 roku. Projekt dyplomowy zrobiłem u Pani profesor Basi (tak o niej mówiliśmy) Brukalskiej po przerwie spowodowanej reformami prodziekana docenta Czesława Krassowskiego i po wznowieniu studiów. Przerwa, która miała trwać jeden semestr, w wyniku tych reform wydłużyła się do dwóch lat (może z hakiem).

Całe życie zawodowe spędziłem na Wierzbowej. Pracę rozpoczynałem jako niewykwalifikowany kreślarz kopista, skończyłem jako kierownik największej pracowni budownictwa użytecz-

ności publicznej, z którą byłem związany od 1957 roku (dawna pracownia szkolna braci Tadeusza i Andrzeja Uniejewskich). Oficjalną nominację na to stanowisko otrzymałem dopiero po „okrągłym stole”, po uprzednim dwuletnim pełnieniu tej funkcji obok funkcji głównego projektanta i kierownika największego zespołu projektowego.

Zajmowałem się wszystkimi rodzajami budownictwa, głównie przedszkolami, szkołami, szkolnymi salami sportowymi, internatami i gminnymi ośrodkami kultury. Były to projekty, realizacje, prace studialne oraz wymagania funkcjonalno-użytkowe do projektowania tych obiektów. Stąd niewyobrażalnie duża liczba użytkowników tych budynków – „moich dzieci”, jak o nich mówię. Jako architekt brałem udział w seminariach krajowych i zagranicznych na temat projektowania szkół, w wystawach i niewielki w konkursach.

Rok 1991. Emerytura. Rok 1996 koniec pracy na Wierzbowej, ale jeszcze nie koniec mojego świata (o tym w zakończeniu).

W czasie studiów i w pracy miały miejsce cztery zabawne wydarzenia, z których jedno było nawet przyjemne. Jako element niepewny (na podstawie „własnego donosu”) zostałem wykopany ze studium wojskowego na Politechnice Warszawskiej i zaliczony do rezerwy w stopniu szeregowca bez odbycia zasadniczej służby wojskowej. Dzięki temu z 14 godzin tygodniowego zwolnienia z pracy – jakie otrzymywałem na naukę – nie musiałem tracić 7 na zajęcia w tym studium. Taki właśnie był cel „mojego donosu”. Ujawniając w nim swoją przeszłość, naiwnie zapytałem, czy w istniejącej sytuacji mogę być oficerem Ludowego Wojska Polskiego, czy nie? Na szczęście dla mnie, okazało się, że nie. W ramach wymiany miałem spędzić dwa tygodnie w Sztokholmie. Jako jedyny z grupy studentów, mających skorzystać z tej wymiany nie dostałem paszportu. Wyjazd na praktykę do Rotterdamu mimo zdanego egzaminu z języka niemieckiego i dobrych równorzędnych wyników w nauce, przegrałem z działaczem ZSP (może dlatego

nie przepadam za Ordynacką). Najzabawniejsze jednak zdarzenie miało miejsce w biurze projektów. Zostałem wytypowany na trzymiesięczny lub półroczny okres (dokładnie nie pamiętam) do pracy we Włoszech. Już po wysłaniu mojego zgłoszenia wezwał mnie na rozmowę przerażony dyrektor. Bał się o siebie, że zarzuca mu brak czujności, że zgodził się na wyjazd TAKIEJ OSOBY jak ja. Na szczęście dla niego, jego błąd naprawiło Zjednoczenie Biur Projektowych. Do Włoch nie pojechałem.

Jestem członkiem Stowarzyszenia Polskich Kombatan-tów w Kraju i Stowarzyszenia Architektów Polskich. Jak wielu w moim wieku posiadam liczne medale i odznaczenia. Najcen-niejsze z nich: Krzyż Harcerski, Medal Pamiątkowy z okazji 200 rocznicy utworzenia Komisji Edukacji Narodowej w uznaniu moich zasług dla rozwoju oświaty oraz srebrną odznakę SARP za aktywną wieloletnią pracę społeczną w Komisji Pomocy Ko-leżeńskiej OW SARP.

11.11.2001 mianowany zostałem na stopień porucznika Wojska Polskiego.

Obecnie jestem na emeryturze. Zajmuję się zupełnie czymś innym. Mam pamięć słonia, w związku z tym funduję sobie wy-cieczki w przeszłość. W formie obrazków, miniatur, migawek no-tuję wspomnienia z okresu od polskich czasów (tak międzywojnie określała moja ciocia Klara) aż do chwili prawie obecnej. Dużo publikuję. Mniej w prasie codziennej, w „Życiu Warszawy” i w „Gazecie Stołecznej”, więcej w periodycznej, w „Magazynie GW”, w „Przekroju”, w „Stolicy”, w „Kulisach”, w „Życiu Pruszkowa”, w „Głosie Pruszkowa”, w „Kronice”, w „Przeglądzie Pruszkow-skim”, w „Dzwonie Żbikowa” i w „Automobiliście”.

22 lipca 2003 roku w Radiu Lublin odbyła się premiera re-portażu Małgorzaty Sawickiej pt. „Najweselszy barak w obozie”, w którym wystąpiłem jako narrator własnych wspomnień. Z tego co wiem, reportaż ten był również między innymi nadany cztero-

krotnie przez Radio dla Ciebie, trzykrotnie przez BBC Londyn, przez RMF FM i dwukrotnie przez pierwszy program Polskiego Radia. W reportażu tym mówiłem nie tylko o absurdach socjalizmu, lecz również ośmieszałem obecną rzeczywistość, w której jak złe duchy z przeszłości straszą głupota, nieuczciwość i nikczemność. Myślę, że kolejny raz mnie nie zamkną. Chociaż, kto to wie.

01.03.2008 roku miał miejsce mój debiut literacki. W serii literatura faktu wydawnictwa Świat Książki ukazała się moja książeczka pt. „Znakiem tego oskarżony”. Ten tytuł to fragment zdania wypowiedzianego przez przewodniczącego sądu na mojej sprawie. Pełne zdanie było następujące: „Znakiem tego oskarżony Tadeusz Jakubowski nie przyznaje się do winy”. Wydanie tej książeczki poprzedzone było siedmioma latami starań i wędrówek od wydawnictwa do wydawnictwa (razem 10) i ca 100 wizytami w tych wydawnictwach, w bibliotekach, w archiwach i w IPN-nie. 12.11.2008 r. w Pruszkowie spotkałem się z Czytelniczkami i Czytelnikami mojej książeczki w Klubie PSM przy Alei Niepodległości!!! Spotkanie było zorganizowane przez Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną im. H. Sienkiewicza w Pruszkowie. Braw dostałem więcej niż pierwszy sekretarz na sabacie przewodniej siły.

Moja opowieść pt. „Powrót”, napisana w oparciu o tę książeczkę została wyróżniona w konkursie literackim Polskiego Radia. W pierwszym programie czytał ją Andrzej Matul.

03.11.2008 skończyłem 77 lat. Dwa lata wcześniej wkroczyłem w czwartą fazę młodości (przedział wieku od 75 lat do jak długo Bozia pozwoli). Mam duże plany.

W 2009 roku w wydawnictwie ZP Grupa Sp. z o.o., specjalizującym się w dokumentowaniu osiągnięć dwudziestolecia międzywojennego, ma się ukazać moja książeczka pt. „Samochody i rajdy w mojej Polsce” w serii „Biblioteczka Automobi-listy” (Brat mojej mamy, pruszkowianin, Euzebiusz Dzierliński

brał udział w dziesięciu rajdach Automobilklubu Polski z dwunastu, jakie były rozegrane w międzywojniu). W 2010 roku być może ukaże się kolejna moja książeczka „Obrazki, przeważnie miniatury”. O dalszych swoich planach nie będę pisał, żeby nie zapeszyć. Jest to program jak dla faceta w moim wieku dość duży. Sam nie dam rady. Dlatego często odmawiam modlitwę, której jestem autorem. Oto ona:

**BOŻE! POMÓŻ MI CHOĆ TROCHĘ!
RAZEM NAM SIĘ UDA!**

Prawie z ostatniej chwili:

8 grudnia 2012 roku, z rekomendacji Pana Kazimierza Orłosa i Pana Wojciecha Kassa, zostałem członkiem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Z. 651856

CZĘŚĆ PIERWSZA

POLSKIE CZASY

To według mojej cioci, Klary Dzierlińskiej, okres do września 1939 r. Nigdy, mówiąc o międzywojniu, nie mówiła, że było to przed wojną. Mówiła na przykład, że za polskich czasów to człowieka w pracy szanowano. Pracowała na Poczcie Głównej w Warszawie. Moje najdawniejsze wspomnienia pochodzą właśnie z tych czasów. Przedstawiam je w następujących obrazkach:

1. OJCZE NASZ
2. POTĘGA SŁOWA
3. PRZERWANY LOT
4. KOMIKSY
5. TRĘBACZ
6. PRESTIŻ
7. DIANA
8. SKLEP TOWARÓW KOLONIALNYCH
9. PIERWSZY DZIEŃ W SZKOLE
10. ZEGAREK
11. LODY
12. DUPA
13. KRÓLEWNA ŚNIEŻKA
14. DEGRADACJA
15. MÓŻDŻEK
16. PÓLKOLONIE W ŚRÓDBOROWIE
17. WAKACJE 1939

1. OJCZE NASZ

Słów modlitwy „Ojcze Nasz” moją siostrę Wiesię i mnie nauczyła nasza mama. Tak było zresztą we wszystkich rodzinach moich kolegów. Znajomość tej modlitwy zawdzięczają i oni swoim mamom. Odmawialiśmy ją rano i wieczorem od najdawniejszych czasów.

Minęło wiele lat i moja siostra, która była o trzy lata ode mnie starsza, opowiedziała mi, w jaki sposób tę modlitwę odmawiałem. Okazało się, że już jako pięcio czy sześciolatek słowa pacierza traktowałem niezwykle poważnie. Gdy dochodziłem do słów „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, robiłem sobie przerwę. Warunkiem kontynuowania pacierza było zjedzenie przeze mnie kawałka chleba. Nie musiał być duży, ale musiał być, by prośba „daj nam dzisiaj” była natychmiast spełniona.

W podobnej sytuacji moja młodsza sąsiadka zaznaczała: Boziu, ale z szyneczką.

2. POTĘGA SŁOWA

Chodziłem wtedy do ochronki. Tak za polskich czasów (przed wojną) nazywało się przedszkole. Moja ochronka prowadzona była przez kierowniczkę, a nie przez Dyrektora, jak przedszkole teraz. Dyrektoriat w przedszkolach i w szkołach podstawowych, które, gdy ja rozpoczynałem naukę, były powszechne – to wymysł PRL-u kultywowany do dzisiaj.

Moja ochronka mieściła się na ulicy Bursowej w Pruszkowie. Wcześniej była tam bursa dla sierot ze Wschodu. Stąd nazwa ulicy.

Silna burza, jaka przeszła nad naszym miastem, spowodowała duże straty. Między innymi w ogrodzie naszej ochronki powaliła dwie jabłonie. Pozostałym drzewom połamała gałęzie. Dzięki temu ogród ten zyskał na atrakcyjności. Stał się doskonałym miejscem do zabaw w Indian i do inscenizacji przygód Tarzana, drukowanych i ukazujących się co piątek w pisemku dla dzieci i młodzieży pt. „Wędrowiec”. Wtedy byliśmy tak zacofani, że nie wiedzieliśmy nawet, że był to komiks.

Jedna z zabaw polegała na przeciąganiu gałęzi i konarów z jednego końca ogrodu w drugi. Zdarzyło się, że jednego z konarów nie mogliśmy nawet ruszyć. Albo nas było za mało, albo konar był za duży. Próbowaliśmy i nic. Wtedy do akcji wkroczył jeden ze starszaków, wołając: Chłopaki, ciągnąć, KURNA GO OLEK!

Nikt z nas nie wiedział, co oznacza słowo „kurna” i co kurna ma do Olka, ale pociągnęliśmy. Konar drgnął. Z wysiłkiem, ale przeciągnęliśmy go w drugi koniec ogrodu. Rozpierała nas duma.

3. PRZERWANY LOT

i to zaraz po starcie. Jest to jedno z najdawniejszych wspomnień z dzieciństwa. Miałem przepiękny sen. Śniło mi się, że szybowałem w powietrzu. Rozpędzałem się przez całą sień, za otworzonymi wcześniej drzwiami rzucałem się w powietrze i z rozpostartymi rękami szybowałem nad studnią, przez całe podwórko aż do bramy na jego końcu. Sen był tak piękny, że żałowałem, kiedy się obudziłem.

Śniadanie jadłem szybko, aż się mama dziwiła, ponieważ byłem Tadek – niejadek. Po śniadaniu postanowiłem sobie trochę polatać. Otworzyłem drzwi od sieni, rozpędziłem się, skoczyłem, rozłożyłem ręce jak skrzydła i... wylądowałem na schodkach zaraz za wejściem do sieni. Na moje szczęście były drewniane i za bardzo się nie potłukłem. Dzięki temu przerwanej lotowi poznałem różnicę między snem a rzeczywistością i dowiedziałem się, że realizacja marzeń wymaga ofiar. Oczywiście, z naszej strony. I że muszą one być realne.

4. KOMIKSY

Pamiętam trzy tytuły. W środy ukazywała się „Karuzela”, kolorowa, drukowana na gazetowym papierze. Kosztowała 10 groszy. W piśmie tym drukowane były trzy komiksy: „Kiau, miau, król i królewski dwór”, „Trzy świnki” i „Pat i Pataszon”. Najciekawszy był „Pat i Pataszon”, może ze względu na to, że postacie te były bardzo skonstrastowane. Pat był wysoki i chudy, Pataszon zaś niski i gruby. W piątki kupowaliśmy „Wędrowca”, który był również kolorowy, na gazetowym papierze i kosztował tak samo. Nie mogłem się z siostrą Wiesią doczekać piątku, ponieważ w „WĘDROWCU” drukowane były „Przygody Tarzana”. Wtedy „rz” w imieniu tego bohatera czytaliśmy tak, jakby to była jedna litera. Trzeci tytuł to „Gazetka Miki”. Kolorowa. Kredowy papier wywindował cenę tej gazetki do 40 groszy. Zamieszczane w niej były komiksy Walta Disneya z myszką Miki w roli głównej. Gazetkę tę kupowaliśmy rzadko. Czterdzieści groszy to był majątek. Można było za niego kupić czterdzieści irysów po groszu lub szesnaście po dwa za pięć firmy, która reklamowała się następująco: „Nie ma nic lepszego nad irysy Konarzewskiego” (Pruszków, ulica Bartosza, róg Górnej).

Oprócz tych komiksów poprzez szkołę prenumerowaliśmy dwa tygodniki dla dzieci: „Płomyczek” dla pierwszoklasistów i „Płomyk” dla uczniów od klasy drugiej. Były to pisma jednobarwne (oczywiście, poza czarnym drukiem) drukowane na bardzo dobrym papierze. Ale nie tylko papier był w nich dobry. Były w nich bardzo mądre czytanki i wiersze, i wyśmienite ilu-

stracie. Z pisemkami tymi współpracował jeden z najlepszych drzeworytników polskich, profesor Edmund Bartłomiejczyk. Do dziś pamiętam okładkę „Płomyczka” którego otrzymałem w przeddzień święta 3 Maja w 1938 roku. Znajdowała się na niej wysprzątana zagroda z następującym podpisem: „Jeżeli każdy posprząta przed swoim domem, to w całej Polsce będzie czysto”. Być może dzięki temu „Płomyczkowi” przez dziesiątki lat aż do chwili obecnej odgarniam śnieg i uprzątam liście, nie tylko w ogrodzie i na podwórku, lecz również przed naszą posesją. Patrząc na inne, dochodzę do wniosku, że nikt z mieszkających na nich nie czytał w dzieciństwie „Płomyczka”.

5. TRĘBACZ

Pierwszy rozdział książki „U brzegów jazzu” Leopolda Tyrmanda z 1957 roku nosił tytuł „Na początku był Wacek”. Tyrmand pisze w nim o swych pierwszych fascynacjach jazzowych spowodowanych grą podwórkowego trębacza. Według niego gra Wacka i gra trębaczy nowoorleńskich miała podobne korzenie. Ja swoje pierwsze, jeszcze nieuświadomione, fascynacje grą nie na trąbce, lecz na dużej trąbie, zawdzięczam Józiowi. Józio był podwórkowym wędrownym trębaczem jeszcze przed wojną w moim rodzinnym Pruszkowie. Ubrany był w mundur strażacki (kasku nie miał) z błyszczącymi guzikami, których mu zazdrościliśmy. Miałem wtedy sześć lat i z chmarą dzieciaków wędrowaliśmy za nim po podwórkach, na których koncertował. Niektórzy z nas byli starsi, i ci mu trochę dokuczali. Nie wiem dlaczego, ale wołali do niego:

– Józiu, ty masz krzywe kopytka.

Wtedy Józio przestawał grać, opierał trąbę o parkan i udawał, że chce nas pogonić. Ale nigdy tego nie robił. Był przyjazny ludziom. Nawet takim małym jak my. Poprzestawał tylko na zemście werbalnej. Śmiejąc się z nas, mówił:

– A wy, szczyle, macie krzywe gluty.

Te krzywe gluty bolały nas najbardziej. Same byśmy przeboleli. Niejeden z nas je miał. Ale krzywe? Wydawało się nam, że jest to coś strasznego, że jest to duża obelga.

6. PRESTIŻ

Moja fascynacja starymi samochodami, które wtedy oczywiście starymi nie były, zaczęła się w roku 1936 lub w 1937, za sprawą wujka Euzebiusza Dzierlińskiego, brata naszej mamy. Miałem wtedy sześć lub siedem lat i z siostrą Wiesią i rodzicami, Czesławem Jakubowskim i Cecylią z Dzierlińskich Jakubowską, mieszkalem w Pruszkowie. Brat naszej mamy często przyjeżdżał do nas z Warszawy z żoną Karoliną wspaniałym rajdowym Citroënem. Wujek był także ojcem chrzestnym mojej siostry Wiesi. Do dzisiaj pamiętam odrzucający zapach benzyny pomieszany z zapachem rozgrzanej skóry siedzeń tego Citroëna.

Wujka i jego samochodu zazdrościła mi cała dzieciarnia z sąsiednich podwórek. Powodem szczególnej zazdrości był skórzany pas podbity wojłokiem, napięty na masce zaraz za szybą od stopnia do stopnia. Do tego pasa przymocowane były plakietki z prawie wszystkich rajdów organizowanych dotychczas przez Automobilklub Polski, zawodów o charakterze lokalnym, gymkhan (jazd zręcznościowych) i inne tabliczki pamiątkowe związane ze sportem samochodowym. Zazdrość dzieciarni ustępowała miejsca radości, gdy wujek, za zgodą oczywiście ich rodziców, zabierał całą tę rozkrzyczana hałastrę na godzinną przejażdżkę swoim Citroënem. To cud, że się wtedy wszyscy potrafili pomieścić. Co prawda wszyscy, z wyjątkiem wujka, byliśmy mali. Przejażdżka ta miała dla mnie dodatkową korzyść.

W hierarchii podwórkowej wzrosły moje notowania czyli prestiż, mimo że nie znałem wtedy tego słowa.



Autor z siostrą Wiesią w citroënie Wujka Zebka

Zainteresowanie samochodami miałem być może zakodowane w genach. Kiedy miałem minus siedem lat, moja mama, która wtedy jeszcze nią nie była, jako osiemnastoletnia dziewczyna pracowała w firmie Austro-Daimler w Warszawie przy ulicy Wierzbowej 6 (w biurze projektów przy tej ulicy, tylko trzy numery dalej, spędziłem później moje całe zawodowe życie).



i sam – też w citroënie – ale mniejszym

7. DIANA

była psem myśliwskim naszego wujka, Zebka. Piszę o niej więcej w dwóch obrazkach z Września 1939 roku pt. „Zacierki” i „Powrót”. Nie pamiętam, jakiej była rasy. Posturę miała taką jak seter irlandzki, natomiast kolory i łaty jak dalmatynka. Była niezwykle mądra, a może w jej przypadku był to psi instynkt. Na krótko przed wybuchem wojny potrafił ją motocyklista. Była trochę poturbowana i miała rozciętą górną część lewej tylnej łapy. Przyszedł weterynarz, oczyścił jej ranę, czymś posmarował i solidnie ją obandażował. Akurat wujek Zebek z ciocią Karoliną musieli gdzieś wyjść i Diana została w domu sama.

Po powrocie do domu zastali niecodzienny obrazek. Diana rozerwała bandaż, wyplątała się z niego i wylizywała sobie ranę. Ciekawe, skąd wiedziała, że jej ślina jest bakteriobójcza.

8. SKLEP TOWARÓW KOLONIALNYCH

W sklepie tym byłem z mamą w 1937 roku. Miałem sześć lat i bym go nie zapamiętał, gdyby nie drobne wydarzenie.

Mieścił się w pobliżu placu Żelaznej Bramy. Była zima, posadzka z terakoty posypana była pachnącymi trocinami (dla wchłaniania wody z topniejącego śniegu). Oczywiście, nie pamiętam, co mama kupowała. Po zapłaceniu przez mamę rachunku kupiec (kierowników i menadżerów wtedy nie było) zwracając się do mnie (musiał się w tym celu wychylić zza kontuaru) powiedział: A teraz mam tu coś dla tego młodego człowieka. Mówiąc to, dał mi kątomierz, dwie ekierki, linijkę, ołówek numer 2 Majewskiego i gumkę myszkę.

– Proszę pana, nie trzeba – powiedziała moja mama – Tadzio (czyli ja) nie chodzi jeszcze do szkoły. Poza tym jest to duży wydatek.

– Szkodzi nic – odpowiedział. – Ten młody człowiek rośnie. Pewnie za rok będzie już uczniem. Wtedy mu się przyda. Będzie wiedział, będzie pamiętał, że to ma ode mnie. Kropka.

Minął rok i dużo, bardzo dużo następnych, a ja ciągle pamiętam tego kupca, właściciela sklepu towarów kolonialnych w Warszawie, której już nie ma.

9. PIERWSZY DZIEŃ W SZKOLE

To był pierwszy września 1938 roku. Dzień wcześniej mama kupiła mi czapkę szkolną. Rogatywka z ciemnego zielonego sukna, czarny daszek z masy (jak wtedy mówiliśmy), nad nim podwójny biały sznurek, na czapce znaczek, który stanowiły dwie splecione litery, J i P. Były to inicjały Marszałka Józefa Piłsudskiego, ponieważ nasza szkoła powszechna nosiła jego imię. Piszę „nasza”, ponieważ tego dnia moja starsza o trzy lata siostra Wiesia rozpoczynała naukę w tej samej szkole, w klasie czwartej.

Zbiórka na dziedzińcu szkoły o godzinie 8.00. O 8.30 wy-marsz całej szkoły ze sztandarem do kościoła pw. Świętego Kazimierza na Pruszkowie (wtedy, jak się chodziło za Utratę, to się mówiło, że chodzi się na Pruszków). Po mszy świętej powrót do szkoły i do klas. W naszej klasie była miła pani. Powiedziała nam, że nazywa się Janina Młodzińska i że będzie naszą wychowawczynią. Naszym mamom, które były wtedy z nami, powiedziała, jakie będą nam potrzebne książki, zeszyty i inne pomoce szkolne. W klasach starszych obyło się bez mam, ponieważ dzieciaki umiały już pisać i same sobie zanotowały na kartkach, co im będzie potrzebne.

Przed powrotem do domu pierwszoklasiści na dziedzińcu szkolnym zebrali się przy pompie wodnej. Wszyscy w wierzchu czapek robili małe wgłębienia, do których nalewali wodę, którą następnie wypijali. Chodziło o to, żeby nowa czapkę trochę zdeformować, żeby wyglądała jak stara, żeby nikt nie rozpoznawał w nas pierdaków, jak obraźliwie nazywano wtedy pierwszoklasistów.

W pewnym momencie podeszła do mnie pani i spytała się, jak się nazywam. Odpowiedziałem. – O, to dobrze, bo mój syn też Tazio. Chciałabym, żeby z tobą siedział w jednej ławce, dobrze? Dobrze! Z Taziem Bekiem siedziałem razem w jednej ławce do ukończenia szkoły powszechnej.

Po powrocie do domu z mamą i z siostrą Wesią poszedłem na Pruszków do „Wiązanki”. Była to księgarnia połączona z biblioteką, w której jednocześnie można było kupić wszystkie materiały piśmienne. Mieściła się na rogu Kościuszki i Szopena a jej właścicielką była pani Maria Bednarska, szkolna koleżanka naszej mamy.

W czasie tej jednej wizyty mama kupiła Wesi i mnie wszystkie potrzebne książki, zeszyty i bloki rysunkowe. Pamiętam, że do książek przyklejone były znaczki w cenie dziesięciu groszy każdy na macierz szkolną.

Obecnie często wracam myślami do tego pierwszego dnia w szkole. Wierzyć mi się nie chce, że wszystkie podręczniki były kupione jednego dnia, a jednak tak było. Jak czytam teraz o kłopotach z zakupem podręczników, bo albo nie zostały jeszcze wydrukowane, albo wydrukowano za mało, albo się program zmienił, to robi mi się żal dzieciaków chodzących do szkoły. Najgorsze jest to, że nikt za ten totalny salon masażu nie odpowiada i że jego końca nie widać.

10. ZEGAREK

dostałem na swoje siódme imieniny od wujka Zebka (brata mamy). Wbrew jej ostrzeżeniom, wniosłem go na podwórko, by pochwalić się kolegom. Postanowiliśmy zobaczyć, co jest w nim w środku. Pamiętam do dziś. Niestety, po tych oględzinach żadnemu zegarmistrzowi nie udało się już go uruchomić. Lania nie dostałem. Rozśmieszyłem mamę stwierdzeniem, że nie byli to dobrzy fachowcy.

11. LODY

Zbliżało się zakończenie roku szkolnego w czerwcu 1939 roku. Zdałem z pierdaka do klasy drugiej i chciałem to pożegnanie z klasą pierwszą jakoś uczcić. Nie wiedziałem tylko jak. Któregoś dnia wyglądając przez okno naszej klasy na pierwszym piętrze, doznałem olśnienia. Na rogu ulicy 6 Sierpnia, piętnaście metrów od mojej szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego i ulicy Topolowej, 30 metrów od szkoły powszechnej im. Stanisława Żółkiewskiego, przy schodkach do pana szewca („obsztalunki” i reperacje), zobaczyłem lodziarza. Był w białym fartuchu. Lody miał w blaszanych bańkach na drewnianym dwukołowym wózku, zabezpieczone przed rozpuszczeniem kawałkami lodu posypanymi trocinami i zieloną solą. Postanowiłem całą klasę zaprosić na lody. Sęk w tym, że nie miałem pieniędzy.

Miałem trochę szczęścia. Dostałem w prezencie owalną puszkę Powszechnej Kasy Oszczędności z niewielkim pieniążkiem na początek. Ale moje szczęście polegało na czymś innym. U nas w domu nasi rodzice z przyjaciółmi lub z dalszą rodziną często w niedzielę po południu grali w loteryjkę (mam ją do dzisiaj) lub w karty. Wszyscy grający w niedzielę poprzedzającą zakończenie roku szkolnego cały wygrany bilon wrzucili do puszek mojej siostry Wiesi i do mojej. Było tego wystarczająco dużo by zaprosić na lody całą klasę (były wtedy tanie). Tak też zrobiłem.

Nazajutrz nasza mama robiąc porządki, przekładała moją skarbonkę na inne miejsce. Była bardzo lekka i nic w niej nie dźwięczało. Sprawa się wydała. Początkowo chciałem skłamać,

że zgubiłem, że mi ukradli lub że nie wiem, co się z zawartością puszek stało. Ale nie zrobiłem tego. Powiedziałem prawdę. Mama się do mnie uśmiechnęła. Jej uśmiech pamiętam do dzisiaj. Przypomina mi się zwłaszcza wtedy, kiedy jem lody.

12. DUPA

Pierwszą klasę szkoły powszechnej, nazywaną pogardliwie przez drugoklasistów pierdakiem, ukończyłem jeszcze za sanacji. Nagrodą za pomyślne jej ukończenie była piła, czyli piłka nożna. W kopaną grałem z chłopakami przemiennie na naszym i na ich podwórku. Raz o mało nie doszło do zbitcia szyby. Jeden z nas, już nie pamiętam który, kopnął tak nieszczęśliwie, że piłka uderzyła w okno pani Kwartał z pierwszego piętra. Szyba ocalała, ale na podwórko wybiegła pani Kwartał z awanturą i przerwała mecz. Schodząc z boiska – podwórka, doszedłem do wniosku, że sprawy tej tak nie można pozostawić. Zamykając furtkę, głośno krzyknąłem: DUPA.

Pani Kwartał też uważała, że sprawy tej tak nie można zostawić i przyszła do mojej mamy na skargę. Lanie miałem murowane, ale spotkała mnie kara znacznie gorsza. Musiałem iść do pani Kwartał i ją za tę dupę przeprosić. Była to praktyczna lekcja szacunku dla starszych, zwłaszcza pań, która mi starczyła na całe życie.

Obecnie sam już jestem starszy i to słowo od czasu do czasu mi się wypśnie. Nie mam się zresztą czego wstydzić. Jest polskie, piękne i w przeciwieństwie do językowej sieczki wysypującej się z ust polityków różnych „łopeji” ma konkretną treść.

13. KRÓLEWNA ŚNIEŻKA

Pierwszy raz w kinie byłem w kwietniu lub w maju 1939 roku. Kino mieściło się w pasażu budynku przy ulicy Nowy Świat 43. Miało wtedy dla mnie tajemniczą nazwę – Majestic. Razem z moją starszą siostrą Wiesią oglądaliśmy w nim wspaniały rysunkowy film Walta Disneya pt. „Królewna Śnieżka”. Do dzisiaj pamiętam ten film prawie w całości, łącznie z piosenkami śpiewanymi przez siedmiu krasnoludków.

Kiedy wyszliśmy z kina czekał na nas brat naszej mamy, wujek Zebek, który wcześniej nas do tego kina przywiózł lancią (wujek był współwłaścicielem firmy Krzeczkowski i spółka, w której były montowane te samochody – wcześniej citroëny). Świat wydawał mi się wtedy piękny i bezpieczny. Zapamiętałem niewyobrażalny dla mnie ruch uliczny. Niewyobrażalny, ponieważ mieszkalem z rodziną w Pruszkowie. Ulica była rzęsiście oświetlona i chyba padał deszcz. Świadczyły o tym refleksy świetlne na jezdni i na chodnikach. Wystarczyło zmrużyć oczy.

Królewna Śnieżka jest wieczna, nasza bajka trwała znacznie krócej. We wrześniu 1939 roku w schronie, który znajdował się w tym samym pasażu co kino Majestic, chroniliśmy się przed niemieckimi bombami. Wyglądało na to, że zło zatriumfuje. Ale na szczęście – tak jak w bajce o Królewnie Śnieżce – tak się nie stało.

14. DEGRADACJA

W sierpniu 1938 roku mama kupiła mi marynarską bluzę z szerokim, wykładanym na plecy kołnierzem. Z dwóch powodów. We wrześniu tego roku miałem rozpocząć naukę w szkole powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego i musiałem – chociaż na inaugurację roku szkolnego – jakoś wyglądać. Powód drugi był taki, że miałem mieć zrobione zdjęcie legitymacyjne do dowodu kolejarskiego. Jako syn kolejarza miałem prawo do 80-procentowej zniżki, czyli do biletów ulgowych na PKP. Tego dowodu zazdrościły mi chłopaki, których ojcowie pracowali gdzie indziej.



Moja radość z posiadania bluzy marynarskiej i z dowodu kolejarskiego uległa znacznemu zmniejszeniu po tym, jak starsi zażartowali ze mnie, że ta bluza marynarska to dla mnie pewnego rodzaju degradacja, choć nie użyli tego słowa. Degradacja, ponieważ jako pięciolatek miałem mundur kapitański dwuczęściowy, składający się z szamerowanej złotem marynarki i długich spodni ze złotymi wypustkami wzdłuż nogawek. Były to pierwsze długie spodnie, jakie miałem w życiu i jednocześnie jedyne wśród łepków na naszej ulicy, jakimi wtedy byliśmy. Kto nie wierzy, może mnie zobaczyć w tym kapitańskim mundurze na zdjęciu powitalnym przy studni.

15. MÓZDZEK

Nigdy go nie jadłem i jeść go nie będę. Takie dziecinne uprzedzenie, jeszcze z 1939 roku, kiedy nie miałem nawet ośmiu lat. Wiąże się ono z katastrofą kolejową, która 7 czerwca 1939 roku o godzinie 12.07 wydarzyła się w obrębie stacji PKP w Pruszkowie. Wykoleił się międzynarodowy pociąg relacji Rzym – Warszawa.

W akcji ratunkowej brali udział strażacy ze straży pożarnej przy fabryce Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki, ze straży przy fabryce ołówków St. Majewskiego i strażacy ze straży pożarnej działającej na terenie warsztatów kolejowych w Pruszkowie.

No dobrze, ale jaki to ma związek z moją awersją do mózdzku? Ma i to zasadniczy, czyli podstawowy.

Mój tata – Czesław Jakubowski – pracował wtedy w warsztatach kolejowych i był jednocześnie strażakiem kolejowej straży pożarnej (komendantem tej straży był pan Piorunowski, ojciec mojej koleżanki szkolnej, Basi). Po powrocie z akcji ratunkowej, w której brał udział, dokładnie i bardzo plastycznie opowiadał mamie o skutkach tej strasznej katastrofy, w której byli zabici i ranni. Jak zakleszczonych wyciągał z rozbitych wagonów. O tym, co z niektórych pozostało.

To dla mnie wystarczyło, by bojkotować potrawę, która dla wielu jest rarytasem.

16. PÓŁKOLONIE W ŚRÓDBOROWIE

Od przeniesienia warsztatów Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej z Warszawy do Pruszkowa, co nastąpiło w końcu XIX wieku, Pruszków był zawsze miastem kolejarzy. Tak było do czasów prawie obecnych, ponieważ po likwidacji tych warsztatów miało nasze zmieniać charakter. W warsztatach kolejowych pracowało kilka pokoleń pruszkowian. Tak było i w przypadku mojej rodziny, oprócz dziadka i naszego taty, w warsztatach tych znaleźli zatrudnienie nasi bliźsi i dalsi krewni.

Tata nasz należał do Związku Zawodowego Kolejarzy. To ze składek członków tego związku wybudowany został w Pruszkowie nowoczesny budynek zawierający między innymi salę teatralno-kinową. Niestety, obecnie zburzony, by dać miejsce na budowę apartamentowca. Związek Zawodowy Kolejarzy organizował życie kulturalno-sportowe oraz w okresie wakacyjnym półkolonie dla dzieci pracowników warsztatów kolejowych.

W lipcu 1939 roku półkolonie takie były zorganizowane w Śródborowie za Otwockiem. Ja, jako świeżo upieczony drugoklasista, byłem w grupie dzieci młodszych; moja o trzy lata starsza siostra Wiesia, w grupie starszej. Do Śródborowa jeździliśmy malowanymi na żółto-niebiesko wagonami kolejki elektrycznej z dworca PKP w Pruszkowie. W kolejce tej, jadącej z Grodziska, cały wagon był przeznaczony dla „półkolonistów”, którzy wsiadali do niego na trasie od Grodziska do Włoch koło Warszawy. Pamiętam, że w wagonie tym zawsze był emerytowany kolejarz w kolejańskim mundurze, który się nami opiekował.

Po przyjeździe do Śródborowa zjadaliśmy drugie śniadanie przywiezione z domu. Dostawaliśmy tylko mleko lub kawę zbożową z mlekiem. Do dzisiaj pamiętam zapach lnianych serwetek, w które mama pakowała nam wałówkę oraz zapach wiklinowych, przewieszanych przez ramię koszyczków do jej transportowania.

Po śniadaniu gry i zabawy oraz wycieczki. Ze względu na usytuowanie tego ośrodka cały czas przebywaliśmy w lesie. Po obiedzie godzina obowiązkowego leżenia na leżankach przypominających leżaki. Tej godziny nie lubiliśmy najbardziej.

Po tym godzinnym odpoczynku śpiewaliśmy różne piosenki, również legionowe. To tam nauczyłem się śpiewać „Pierwszą Brygadę”.

Powrót do domu taką samą kolejką jak przyjazd do Śródborowa, pod opieką tego samego kolejarza emeryta. Ze Śródborowa często przywoziłem do domu kawałeczki kory drzewnej. Z tej kory robiłem niezatapialne łódki. Były to prawdziwe dłubanki, mimo że nie znałem wtedy tego słowa. Podobały mi się bardziej niż metalowe motorówki napędzane denaturatem na zasadzie odrzutu. To nie bajka. Przed wojną naprawdę były takie zabawki. Było miło, ale się zmyło.

17. WAKACJE 1939

Do czerwca mieszkam z rodzicami i z siostrą w Pruszkowie w domu przy ulicy 6 Sierpnia obok szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Nasz tata, Czesław Jakubowski, pracuje w warsztatach kolejowych, należy do Kolejowej Ochotniczej Straży Pożarnej i do Kolejowego Przysposobienia Wojskowego. Prenumeruje miesięcznik „Morze i kolonie”, uprawia sport: kajakarstwo, żeglarstwo i łucznictwo, korzystając z doskonałego sprzętu, który był jego dziełem. Nasza mama, Cecylia z Dzierlińskich Jakubowska, prowadzi sklep spożywczy – owocarnię. Dzielnica jest raczej biedna. Prawie wszyscy kupują na kredyt.

W końcu czerwca nasza mama kończy kurs obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej kraju. Moja siostra Wiesia kończy czwartą, a ja pierwszą klasę szkoły powszechnej. W lipcu codziennie jeżdżę z siostrą i innymi dziećmi na półkolonie do Śródborowa koło Otwocka zorganizowane przez Związek Zawodowy Kolejarzy. Nasi rodzice palą książkę z nazwiskami dłużników i likwidują sklep. Przenosimy się do domu dziadków (rodziców naszej mamy) przy ulicy Topolowej.

Na sierpień z mamą i siostrą wyjeżdżałem do wsi Przystań położonej o rzut kamieniem od granicy polsko-niemieckiej. Mieszkamy u rodziny wujka Benka (brata naszego taty), który do śmierci był tam naczelnikiem poczty. Jest spokojnie. W końcu sierpnia przed powrotem do Pruszkowa na dwa – trzy dni zatrzymujemy się w Łodzi, gdzie ciocia Marta prowadzi dużą pra-

cownię czapek oficerskich. Te czapki to były prawdziwe dzieła sztuki. Dziewczyny z pracowni szyją mi czapkę kapitana żandarmerii. Na Piotrkowskiej – oczywiście dla zabawy – salutują mi policjanci. Nie mogę doczekać się pierwszego września i początku roku szkolnego, by pójść w tej czapce do szkoły. W wyobraźni widziałem już miny kolegów.

CZĘŚĆ DRUGA

MÓJ WRZESIEŃ (z małym wyjątkiem)

W dniu wybuchu drugiej wojny światowej, 1 września 1939 r. nie miałem jeszcze ukończonych ośmiu lat. Pomimo to, a może właśnie z tego powodu, zapamiętałem z fotograficzną dokładnością szereg migawek i zdarzeń z tego pamiętnego dla wszystkich miesiąca. Część z nich miała miejsce w Pruszkowie, część związana jest z pobytem w oblężonej Warszawie.

Oto one:

1. PIERWSZA BOMBA
2. FUNDUSZ OBRONY TOPOŁOWEJ
3. NARADA WOJENNA
4. „FABRYKA” CITROËNA
5. BŁASZANKA
6. ŚMIERĆ PANA DOZORCY
7. KOŃ
8. NAJODWAŻNIEJSZY
9. „IMPERYTA”
10. ZACIERKI
11. KINO „MAJESTIC”
12. POWRÓT
13. TABORY
14. PIERWSZE LANIE
15. PRZEMARSZ I WYMARSZ
16. BOJCE

1. PIERWSZA BOMBA

w Pruszkowie spadła pierwszego września rano na dom, z którego moja rodzina przeprowadziła się w lipcu 1939 roku na ulicę Topolową, do domu, który w połowie był własnością naszych dziadków (rodziców naszej mamy). Dwa słowa o tym zburzonym domu i o przyczynach naszej wcześniejszej przeprowadzki.

Dom stał przy ulicy 6 Sierpnia i przylegał do szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Z drugiej strony tej szkoły znajdował się skład opału pana Wiktora Bukowskiego. Na parterze były dwa sklepy i fryzjer (nie było wtedy jeszcze salonów fryzjerskich). Te sklepy to mydlarnia pana Wiktora Bukowskiego i nasz sklep spożywczy – owocarnia. Fryzjer był damski i męski, nazywał się Stanisław Wójcik. Nad fryzjerem mieszkała rodzina Różyckich z dziećmi, Alą i Zbyszkciem, nad nami rodzina Jonasiaków (pan Jonasiak pracował w warsztatach kolejowych), a nad mydlarnią Tymonka ze swoją mamą, nazwiska niestety nie zapamiętałem. W pionie nad nami i nad rodziną Jonasiaków, już na drugim piętrze, mieszkała krawcowa, pani Wajzertowa z synem, na którego ze względu na kolor jego włosów wołaliśmy „Rudy”. Był od nas starszy, dlatego po każdym takim zawołaniu braliśmy nogi za pas.

Nasz tata pracował w warsztatach kolejowych, należał do Kolejowej Straży Pożarnej i do Kolejowego Przysposobienia Wojskowego. Nasza mama prowadziła wspomniany sklep spożywczy – owocarnię. Ze względu na fakt, że dzielnica była raczej biedna, prawie wszyscy klienci mamy kupowali na kredyt. Po wypłacie regulowali dług i po kilku dniach zaciągali nowy. W związ-

ku z tym nasi rodzice spalili książeczkę z nazwiskami dłużników i zlikwidowali sklep. Była to najważniejsza przyczyna naszych przenosin na ulicę Topolową.

Bomba, która uderzyła w dom, z którego przed miesiącem się wyprowadziliśmy, trafiła w sam jego środek. Od torów kolejowych dzieliły go tylko zabudowania ulicy Pięknej. To te tory były celem ataku, ale w tory akurat nie trafili. Cały środek domu przestał istnieć. Zginął pan Jonasiak, który mieszkał nad nami. Tak się złożyło, że mieszkająca nad nami pani Wajzertowa z synem Rudym stała w czasie tego nalotu na balkonie, w którym po wybuchu bomby zjechała na parter. Wkrótce po wkroczeniu Niemców podpisała volkslistę, a Rudy wstąpił do formacji wartowniczej na warsztatach kolejowych (stosunkowo niedawno z książki Mariana Skwary pt. „Pruszkowscy Żydzi” dowiedziałem się, że Rudy, czyli Edward Wajzert, czyli Weissert, zakałował na śmierć pruszkowskiego gimnazjalistę Heńka Ratha). Wartowników tych nazywano ze względu na kolor ich mundurów „czarnymi”. Okoliczni mieszkańcy te dwa fakty kojarzyli i mówili, że Wajzertowa z Rudym stali na balkonie, ponieważ w czasie nalotu dawali niemieckim lotnikom jakieś znaki.

Mogę powiedzieć, że Opatrzność czuwała nad nami. W tej wojnie zresztą nie tylko ten raz. Spalenie przez naszych rodziców książki dłużników i likwidacja sklepu ocaliły nam życie.

O zabawnym zdarzeniu związanym ze zburzeniem tego domu dowiedziałem się po latach od pana Stanisława Wójcika, którego zakład fryzjerski ocalał i w którym pracował on jeszcze długo po wojnie. Otóż po odwołaniu przez syreny nalotu przed gruzowiskiem pojawiła się kobieca drużyna ratownicza złożona z członkiń chyba Ligi Obrony Przeciwlotniczej i Przeciwgazowej Kraju. Jej drużynowa zapytała pana Wójcika, czy był gaz. Gazu nie było, ale był biały obłok, ponieważ do wiązania cegieł podczas budowy tego domu użyta była zaprawa wapienna. Tynki

zresztą też były wapienne. Powiedział jej o tym białym obłoku, po którym nie było już śladu. Wiatr go rozwiął. Wtedy drużynowa zwracając się do swojej ekipy ratunkowej, wydała polecenie: Dziewczęta (lub panie), proszę natychmiast założyć maski przeciwgazowe.

2. FUNDUSZ OBRONY TOPOLOWEJ

miał powstać niezależnie od Funduszu Obrony Narodowej, który działał już na kilka miesięcy przed wojną. Nie pamiętam, czy fundusz obrony naszej ulicy miał powstać jeszcze w sierpniu, czy myśl jego utworzenia pojawiła się dopiero pierwszego września po zbombardowaniu domu przy ulicy 6 Sierpnia, tuż przy szkole powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Mieszkańcy ulicy Topolowej, drobni urzędnicy i rzemieślnicy, pracownicy poczty, elektrowni, warsztatów kolejowych, fabryki obrabiarek Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki i pracujący na własny rachunek (w usługach) w miarę swoich możliwości wspierali Fundusz Obrony Narodowej. My zbieraliśmy złom, który odnosiliśmy do wspomnianej szkoły Józefa Piłsudskiego i do szkoły powszechnej im. Stanisława Żółkiewskiego na naszej ulicy. Ja razem z siostrą Wiesią zaniósłem stojak na kwiaty, kowalskiej artystycznej roboty, wykonany przez ojca naszej mamy, a naszego dziadka, Józefa Dzierlińskiego, który był ślusarzem i pracował w warsztacie nr 9 w Warsztatach Kolejowych w Pruszkowie.

Nie wiem, kto rzucił tę myśl, ale wiąże się ona z osobą pana Tadeusza Jaszczaka, ojca mojego kolegi Zdziśka. Tata Zdziśka pracował w fabryce obrabiarek w Pruszkowie, która w 1939 roku produkowała najnowocześniejsze na świecie działka przeciwlotnicze, tak zwane zenitówki. Działka te były drogie i produkowane na eksport, głównie do Anglii i Turcji. Otóż miesz-

kańcy naszej ulicy, którzy nie byli krezusami, postanowili zrobić zrzutkę na takie działko, które miało bronić ulicy Topolowej przed atakami bombowców niemieckich. Miało być ustawione na strychu domu w numerze policyjnym 1, w którym mieszkał Zdzisiek ze swoją rodziną. Z wyłazu na dach miała wystawać tylko lufa działka, które miał obsługiwać ojciec Zdziśka.

Nie wiem czy z braku pieniędzy, czy z powodu szybkich działań Wehrmachtu, a może z jednego i z drugiego, do realizacji tego pomysłu nie doszło. Jeżeli teraz piszę o Funduszu Obrony Topolowej, to robię to po to, żeby przypomnieć nastroje, optymizm i patriotyzm mieszkańców naszej ulicy w chwilach próby.

3. NARADA WOJENNA

w naszym domu na Topolowej miała miejsce pierwszego lub drugiego dnia wojny. Fakt ten przypominam z bardzo ważnego powodu. Świadczy on o nastrojach i nadziejach naszego społeczeństwa, o zaufaniu i wierze w siłę naszej armii. Nasz tata, jako prenumerator miesięcznika „Morze i kolonie” oraz „Kolejowego przysposobienia wojskowego”, co do tej siły nie miał żadnych wątpliwości. Cechura – powiedział do mamy – z Klarą (siostrą mamy) i z dzieciakami (moją siostrą Wiesią i ze mną) jedziemy do Zebka (brata mamy) do Warszawy. Niemcy do Pruszkowa wejdą, ale do Warszawy to tych łobuzów nie wpuszczymy.

Nazajutrz pojechaliśmy do Warszawy, gdzie przebywaliśmy do jej kapitulacji w dniu 28 września 1939 roku. Uciekliśmy z deszczu pod rynną.

4. „FABRYKA” CITROËNA

Rodzinnie i wspomnieniami jestem związany z nią i z jej najbliższym otoczeniem. Rodzinnie, ponieważ moja mama i mój wujek pracowali w firmach działających na terenie „Fabryki”. Moja mama, Cecylia Dzierlińska, jako osiemnastoletnia dziewczyna pracowała w charakterze archiwistki oraz pomocnicy korespondentki w firmie „Austro Daimler, Towarzystwo Budowy Motorów Spółka Akcyjna”. W firmie tej pracował również mój wujek Euzebiusz Dzierliński. Później był on współwłaścicielem firmy „Krzeczkowski i Spółka”, która przed wojną na terenie „Fabryki” zajmowała się montowaniem samochodów marki citroën, a później Lancia.

W 1939 roku zwiedzałem całą „Fabrykę”. Miałem wtedy siedem lat. Zapamiętałem tylko wybrukowane kocimi łbami podwórkę. Znacznie więcej zapamiętałem rok później. Po ucieczce z Pruszkowa przed Niemcami zamieszkałem z rodziną w mieszkaniu wujka w domu przy ulicy Zagórnej 16 (róg Czerniakowskiej) naprzeciwko wejścia do „Fabryki”. Początkowo w czasie nalotów chroniliśmy się w piwnicach tego domu i w rowach przeciwlotniczych na terenie szkoły powszechnej przy ulicy Zagórnej 5 (obecnie w tym miejscu jest kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej). Później, ze względu na coraz groźniejsze naloty, razem z okolicznymi mieszkańcami przebywaliśmy w schronie na terenie „Fabryki”.

Na początku września mój wujek, Euzebiusz Dzierliński, jako podoficer lotnictwa (w rezerwie) opuszcza Warszawę. To samo robi nasz tata na radiowy rozkaz czy apel pułkowni-

ka Umiastowskiego. Udał się na wschód. Na szczęście miał doskonały rower (drewniane obręcze, wolne koło – obecne „górale” mogłyby mu się, co najwyżej, kłaniać), – dzięki któremu prawie w ostatniej chwili udało mu się wrócić po zmianie kierunku ucieczki. Pamiętam (przecież miałem już wtedy prawie osiem lat!), jak po tym rozkazie polscy oficerowie brali z „Fabryki” dla potrzeb wojska nowe lanie, pozostawiając w biurze firmy „Krzczkowski i Spółka” pokwitowania.

5. BLASZANKA

Taką nazwę miała wśród mieszkańców Czerniakowa fabryka konserw na Przemysłowej. Po jej zbombardowaniu na ulicy znalazły się setki puszek skumbrii w pomidorach, śledzi i innych konserw. Kilkanaście takich puszek przyniósł do naszej piwnicy syn pani dozorczyńni. Należał do straży pożarnej w firmie „Krzczkowski i spółka”, w której naprzeciwko naszego domu po drugiej stronie Czerniakowskiej (numer policyjny 199) montowano Citroëny a przed samą wojną lancie. Puszki ze śledziami miały kształt kwadratowy. Śledzi jako małolat nie jadałem, natomiast do dzisiaj pamiętam niepowtarzalny smak skumbrii w pomidorach. Niepowtarzalny, ponieważ nigdy później tak dobrych nie jadłem. Aż się wierzyć nie chce. Robiliśmy wtedy tak dobre konserwy i to bez receptur z Unii Europejskiej.

6. ŚMIERĆ PANA DOZORCY

Obudził mnie płacz, a właściwie szloch jego żony. Byliśmy w tej samej piwnicy. Jakąś godzinę po odwołaniu alarmu lotniczego na Zagórna 16 przyszedł policjant i o śmierci dozorczy zawiadomił jego syna, strażaka. Pan dozorca został trafiony odłamkiem w serce. Miało to miejsce przy zbiegu Czerniakowskiej i Książęcej, obok szpitala kasy chorych.

Pani dozorczyńni płacząc, co jakiś czas powtarzała: Taka mała dziurka, jak dwadzieścia groszy. Taka mała.

7. KOŃ

Był zabity. Trafiony odłamkiem bomby leżał tuż przy chodniku, na kocich łbach ulicy Czerniakowskiej, przy Zagórnej, naprzeciw naszego domu. Nie leżał długo. Warszawa była wygłodzona. To chyba wtedy powstała moda na koninę, trwająca przez cały okres okupacji. Po kilku godzinach leżał tylko szkielet konia. Wyglądał bardzo dziwnie. Z balkonu na trzecim piętrze przypominał ożebrowanie pirackiego korabia pozbawionego poszycia z końską głową jako gryfem. Możliwe, że martwy koń miał otwarte oczy i to być może pozwoliło mu zachować głowę po śmierci.

Zdarzenie to przypomniało mi się stosunkowo niedawno, gdy na Krakowskim Przedmieściu oglądałem ekipę Romana Polańskiego podczas pracy nad jego filmem „Pianista”. Robiono zdjęcia z momentu wkraczania Niemców do Warszawy. W doskonałej scenografii Allana Starskiego zauważyłem szczegół, który wydawał mi się nieprawdziwy. Tym szczegółem była kukła zabitego konia obciążnięta prawdziwą końską skórą (przynajmniej tak wyglądała). Gdyby ten koń został zabity przed kapitulacją miasta, to zamiast niego leżałby jego szkielet. Przypuszczam, że nie mógł być zabity w dniu wkraczania Wehrmachtu do Warszawy, ponieważ zgodnie z warunkami kapitulacji już dzień wcześniej ustały działania wojenne w tym mieście.

8. NAJODWAŹNIEJSZY

był nasz sąsiad z trzeciego piętra, przynajmniej tak uważała jego żona. Trochę sepleniał i przez to spieszczał niektóre wyrazy, ale nie dlatego. W czasie nalotów chroniliśmy się w piwnicy. Grube na dwie i pół cegły wewnętrzne mury konstrukcyjne (69 cm) wzbudzały zaufanie. Nawet, gdyby stropy się zawaliły, to murom tym nic by się nie stało. Dlatego, gdy bomby padały blisko i drżenie ścian wydawało się większe, chroniliśmy się w sklepionych otworach drzwiowych w tych ścianach lub w przejściach korytarzowych przez te ściany. W przypadku zbombardowania naszego domu i tak bylibyśmy zasypani, ale miejsce w otworze ściennym pod sklepieniem dawało szansę przeżycia i ewentualnego odkopania lub dłuższej agonii.

Podczas nalotu bombowców rozmowy towarzyskie w naszej piwnicy cichły. Ludzie zaczynali się modlić. Najczęściej była odmawiana Litania Loretańska do Najświętszej Marii Panny. Może właśnie dlatego jeszcze teraz z wszystkich litanii tę najbardziej lubię. Nie pamiętam już, kto czytał poszczególne wersy, po których cała piwnica powtarzała: módl się za nami. Gdy bomby padały niedaleko i drżenie ścian było większe, modliliśmy się głośniejszymi głosem, by wymodlić ocalenie i zagłuszyć czy przekrzyczeć nasz strach. W tym czasie pogodę ducha i zupełny spokój zachowywał tylko nasz sąsiad z trzeciego piętra. Patrząc na żonę, prawie z uśmiechem beztrwosko sepleniał: Cio, Kochana, bombi lecia, bombi lecia? A ona wtedy przestawała się modlić i z dumą

w głosie wszystkim oznajmiała: Mój mąż to jest odważny, najodważniejszy, on się niczego nie boi. Sytuacja taka powtarzała się kilka razy. A przecież wszyscy wiedzieli, że był on głuchy jak pień. Nie bał się, ponieważ nie dochodziły do niego żadne dźwięki z zewnątrz.

9. „IMPERYTA”

Od rana było spokojnie. Świeciło słońce. Pod bezchmurnym niebem nie było samolotów. Tylko na uwięzi kołysał się balon obserwacyjny. Razem z Wiesią i naszą mamą wyszedłem przed dom przy ulicy Zagórnej 16. Cieszyliśmy się, że nie musimy biec do rowów przeciwlotniczych wykopanych na boisku szkolnym naprzeciw tego domu lub chronić się w jego piwnicach. Była to już druga połowa września.

Piękna pogoda i panujący spokój wyciągnęły z domu panią dozorczynię. Zobaczywszy nas, a właściwie naszą mamę, zaczęła biadolić:

– Pani Jakubowska kochana, co z nami będzie, oj, co będzie. Niemcy rzuciły ulotki, a w nich mówiły, że jak się Warszawa natychmiast nie podda, to spadnie na nią tysiąc bomb z „imperytą”.

Warszawa natychmiast się nie poddała. Do kapitulacji walczyła w okrążeniu jeszcze prawie dwa tygodnie. Te bomby z iperytem, czyli z gazem musztardowym w formie bezbarwnej oleistej cieczy o zapachu musztardy, nadzwyczaj trującej, przenikającej przez skórę i niszczącej tkanki, na szczęście na nią nie spadły.

10. ZACIERKI

w zupie były wyjątkowo duże, ponieważ zupę tę gotowała nasza mama w wyjątkowej sytuacji. Dokładnej daty tego wydarzenia nie pamiętam. Wiem tylko, że było to we wtorek i to w ostatni wtorek poprzedzający kapitulację Warszawy. Tego dnia miał miejsce w Warszawie najdłuższy nalot niemieckich bombowców. O ile poprzednie naloty nie trwały dłużej niż dwie godziny, a jeżeli były całodzienne, to były między nimi godzinne lub dwugodzinne przerwy, o tyle ten wtorkowy trwał bez przerwy. Jeszcze jedna fala stukasów nie rzuciła wszystkich bomb, a już nadlatywała następna. Nalot trwał od rana. Około godziny 14 lub 15 byliśmy już razem z siostrą głodni, ponieważ zbiegaliśmy z trzeciego piętra do piwnicy razem z Dianą (Diana biegła pierwsza, bo na czterech łapach) przed zjedzeniem śniadania. I wtedy nasza mama, w czasie tego nalotu, podczas którego drżały od wybuchów piwniczne mury, pobiegła na trzecie piętro, by ugotować nam coś do zjedzenia. Była to zupa zacierkowa, powszechnie znana jako „dziadówka” lub „dziadowska”. Tym się tylko – poza okraszeniem – różniła od oryginalnej, że miała wielkie zacierki. Ze względu na trwające bombardowanie wymuszające pośpiech, mama te zacierki rwała z zagniecionego ciasta. Stąd ich kształt i wielkość.

Do piwnicy przyniosła je w zupie w największym garze, jaki mieliśmy w mieszkaniu wujka Zebka i jego żony Karoliny. Garnek był opatulony ścierkami, ponieważ był gorący. Jedliśmy

z niego wszyscy. Ciocia Klara, wujek Wacek (brat naszego taty), moja siostra Wiesia, ja i nasza mama. Cierpliwie czekała na swoją kolej Diana, która jadła jako ostatnia. Przez cały czas machała z zadowoleniem ogonem.

Wszyscy w piwnicy mówili, że był to akt niezwyklej odwagi ze strony naszej mamy. Czy rzeczywiście była taka odważna? Chyba nie, chyba się bała. Wiedziała tylko jedno. Wiedziała, że byliśmy głodni. I to wszystko.

Od tego wydarzenia minęło już przeszło 61 lat, a ja ciągle czuje niepowtarzalny smak tamtych największych na świecie zacieriek. Zwłaszcza wtedy, gdy mam na obiad zupę z nimi w roli głównej. I zawsze wspominam naszą mamę.

P.S. Było to we wtorek 26 września 1939 roku.

11. KINO „MAJESTIC”

mieściło się w pasażu budynku przy ulicy Nowy Świat 43. W kwietniu lub w maju 1939 roku byłem w nim razem z siostrą Wiesią na filmie Walta Disneya pt. „Królewna Śnieżka”. We wrześniu tego roku w kinie mieściły się olbrzymie magazyny żywnościowe naszego wojska, głównie słonina i mąka.

U cioci Oli i u wujka Kazika Chodorowskich na Nowym Świecie znaleźliśmy się po ucieczce przed bombami z Czerniakowa. Dotychczas mieszkając na rogu Zagórnej i Czerniakowskiej, podczas nalotów chroniliśmy się w podziemiach fabryki Citroëna. Ze względu na coraz częstsze naloty i wybuchy bomb w pobliżu tej fabryki postanowiliśmy przenieść się na Nowy Świat. W tym czasie w mieszkaniu cioci i wujka razem z ich dziećmi, Aliną i Bronkiem przebywało dwiętnaście osób. Mimo braków w zaopatrzeniu zapamiętałem codzienne wspólne posiłki przy dużym dębowym stole w pokoju stołowym. Podczas nalotów chroniliśmy się w piwnicach, do których prowadziły zewnętrzne schodki z podwórza. Raz przy tych schodkach, już po odwołaniu alarmu, byłem świadkiem niecodziennego zdarzenia. Zdemaskowano „szpiega”. „Szpiegiem” okazał się palacz sportów, który miał je w pudełku, na które zwróciło uwagę kilka osób. Dotychczas na opakowaniu tych papierosów był dyskobol Myrona, to które miał ten palacz, było inne. Okazało się jednak, że to pomyłka, że nie był on szpiegiem. Przed samą wojną po prostu wprowadzono do sprzedaży sporty w innych opakowaniach. Piszę o tym, by przypomnieć nastroje, jakie panowały wtedy w oblężonej Warszawie. Przed działalnością sabotażystów przestrze-

gane były dzieci. Zakazywano nam podnoszenia znalezionych zabawek czy wiecznych piór, ponieważ mogły one grozić wybuchem.

Na Nowym Świecie byliśmy tylko kilka dni, ponieważ nasilały się bombardowania. Na dom, w którym mieszkaliśmy, spadło dziewięć bomb zapalających. Stosunkowo niedawno dowiedziałem się, że bomby te nie były przypadkowe. Niemcy chcieli zniszczyć magazyny żywnościowe w kinie „Majestic”. Stukasy były naprowadzane przez Niemkę, która mieszkała w oficynie tego domu na trzecim piętrze i która latarką dawała sygnały lotnikom. Niemka ta została aresztowana przez naszą żandarmerię.

Na Nowym Świecie robiło się coraz niebezpieczniej. W związku z tym wróciliśmy na Zagórnię. Po powrocie okazało się, że w czasie naszej nieobecności na Czerniakowie fabryka Citroëna została zbombardowana. Oprócz bomb burzących spadły na nią również bomby zapalające. Na szczęście obyło się bez ofiar. Uniknięto paniki. Ktoś przytomny powiedział, że alarm został odwołany i szczęśliwie wyprowadził wszystkich ze schronu.

Nazajutrz po naszym powrocie na Zagórnię cały Nowy Świat został zbombardowany. Legł w gruzach. Środkiem tej ulicy prowadziła wąska ścieżka między hałdami gruzów.

12. POWRÓT

Nazajutrz po kapitulacji Warszawy, 29 września 1939 roku, wracaliśmy pieszo do Pruszkowa. Razem z nami wracała Diana, uczestniczka polowań na kaczki, którą wujek Zebek z ciotką Lolką zostawili w Warszawie. Na początku września wyjechali do Rumunii. Była piękna pogoda. Świeciło słońce. To, co mi się rzucało w oczy i co zapamiętałem, to były potężne konie pociągowe, które mieli Niemcy. Znacznie później dowiedziałem się, że były to ardeny. Nic dziwnego – myślałem wtedy – że przegraliśmy. Przecież oni mieli znacznie lepsze konie.

Na ulicach dymiły dopalające się domy. Był to rezultat całodziennych wtorkowych nalotów w dniu 26 września. Dymiły również kuchnie polowe, wokół których kręcili się niemieccy żołnierze. Nie było już słyszeć wybuchów bomb i odgłosów strzałów naszej obrony przeciwlotniczej.

Wracaliśmy wzdłuż linii średnicowej. Razem z nami szło wielu ludzi, którzy w Warszawie szukali schronienia. Przykrym widokiem były flagi niemieckie ze swastykami, powiewające na budynkach dworcowych we Włochach, w Ursusie i w Piastowie. W tym samym czasie dużo ludzi szło w kierunku Warszawy. Wśród nich byli również niemieccy kolejarze, którzy szli objąć służbę. Byłem świadkiem wydarzeń nieprawdopodobnych, a jednak miały one miejsce. Otóż niemieccy kolejarze salutowali mijanym kolejarzom polskim. Solidarność zawodowa mimo wojny. Wtedy, przynajmniej na tej drodze, nic nie wskazywało na to, co nas miało spotkać później.

Po powrocie do Pruszkowa do naszego domu zaczęły schodzić się sąsiadki. Oglądały nas, z zaciekawieniem słuchały naszych opowieści i cieszyły się, że nic złego nam się nie stało. Chłopaki z sąsiednich podwórek zazdrościli mi, że byłem na prawdziwej wojnie. Na prawdziwej, ponieważ Niemcy weszli do Pruszkowa na początku września i według moich kolegów nic ciekawego tu się nie działo. Przez kilka dni czułem się kimś ważnym, mimo, że pod względem wieku zajmowałem w naszej grupie przedostatnie miejsce. Młodszy ode mnie był tylko Przemek.

13. TABORY

Mieliśmy po siedem – dziesięć lat. Najmłodszy był Przemek, najstarszy jego brat, Bobek. Ja miałem osiem i z tego tytułu w armii ulicy Topolowej plasowałem się na przedostatnim miejscu. Niunia, siostra „Dziada” z sąsiedniej ulicy, miała lat piętnaście lub szesnaście, przeto nic dziwnego, że była dla nas pewnego rodzaju autorytetem, również w sprawach wojskowych.

Rodzice Niuni i jej brata mieli duży sad, który często był przedmiotem naszych zainteresowań. W przeciwieństwie do niej jej brat przepędzał nas z niego, dlatego zarobił u nas na swoje przewisko. Niuni nie przeżywaliśmy, mimo że miała wadę wymowy. Może z powodu tej wady, a może z innych, Niunia nie miała koleżanek i każde nasze pojawienie się w ich sadzie ją cieszyło, ponieważ miała wtedy okazję do rozmowy.

Któregoś dnia, na początku października, dzieliła się z nami swoimi poglądami na przyczyny klęski wrześniowej. Powiedziała nam: Gdyby naprzód poszły TABORY, to by Polska wygrała. Od tego czasu myśleliśmy, że tabory to najpotężniejsza broń. Że czołgi i samoloty to w porównaniu z nimi małe piwo (wtedy jeszcze tego określenia nie znaliśmy). Trwało to do czasu, do kiedy starszy kolega Bobka nie oświecił go, że tabory to wozy konne, wprawdzie potrzebne, ale do walki nienadające się. Prawda ta do nas długo nie docierała, a gdy dotarła, poczuliśmy się wszyscy zawiedzeni. I zubożeni.

14. PIERWSZE LANIE

dostałem w październiku. Nie miałem wtedy jeszcze ośmiu lat. W budynku naszej szkoły powszechnej stał Wehrmacht. Okna z rekreacji na parterze wychodziły na ulicę, a właściwie na chodnik, który przebiegał tuż przy szkole. W oknach niemieccy żołnierze, na chodniku moi koledzy z sąsiednich podwórek i ja. Niektórzy żołnierze musieli być ze Śląska i z Pomorza, ponieważ rozmawiali z nami. Nie pamiętam już o czym, ale to jest nieistotne. Istotne było to, że zobaczyła mnie przy tej szkole moja mama, która wracała ze sklepu.

Lanie dostałem zaraz przy szkole. Po przyjściu do domu wysłuchałem kazania. Mama była zdenerwowana, ponieważ myślała, że prosiliśmy o cukierki. Kiedy jej wytłumaczyłem, że nic takiego nie miało miejsca i że dostałem niewinnie, odpowiedziała, że nic nie szkodzi, że przyda mi się na przyszłość. Że wroga nie tylko o nic się nie prosi, ale że także się z nim nie rozmawia.

15. PRZEMARSZ I WYMARSZ

W końcu września, być może było to w środę 27 po wtorkowym całodziennym bombardowaniu miasta, widziałem kilkogodzinny przemarsz naszego wojska. Defiladę tę oglądałem z narożnego balkonu na trzecim piętrze domu przy ulicy Zagórnej 16. Po kocich łbach Czerniakowskiej, z Wilanowa w kierunku ulicy Książęcej, maszerowała w pełnym ekwipunku piechota, jechały kuchnie polowe, rowerzyści, konie ciągnęły wozy z zaopatrzeniem i działa, jechali motocykliści i samochody sanitarne. Żołnierze nie wyglądali na zmęczonych. Ich widok napawał otuchą. Mimo że Warszawa była oblężona i zniszczona, nie myślałem wtedy, że z nami jest źle. Zwłaszcza, że chłopaki z sąsiedniego domu śpiewały pełną nadziei piosenkę, że ciocia Franja o nas dba, a ciocia Ania pomaga.

O tym, co warta była pomoc Francji i Anglii we wrześniu 1939 roku, miałem możliwość przekonać się niebawem. 28 września skapitulowała stolica walczącego w osamotnieniu państwa. Na początku października, już po powrocie do Pruszkowa, widziałem kilkutysięczną kolumnę polskich żołnierzy idących tak zwaną czarną drogą przy torach w kierunku dworca kolejowego. Byli bardzo zmęczeni. Może byli to ci sami, których kilka dni wcześniej widziałem na Czerniakowskiej. Szli w porozpinanych szynelach, bez pasów. Bez broni. Był to ich wymarsz do niewoli. Boże, jak bardzo było mi ich żal.

16. BOJCE

We Wrześniu, pisanym dużą literą, w Przemyśle znalazły się wojska naszych byłych największych przyjaciół i naszych największych obecnych. Na mocy zawartego między tymi przyjaciółmi porozumienia Przemyśl przypadł Rosjanom, a jego dzielnica Zasanie – Niemcom. Granicą rozgraniczającą te dwie armie była rzeka San.

Obrazek z tego miasta z tamtego okresu podarował mi inż. Edward Pluczyński, który w naszym biurze projektów na Wierbowej był normowszczykiem. Wojenne losy rzuciły go do części miasta, która przypadła Rosjanom. Naturalną rzeczą kolejną zaczynało brakować wszystkiego, głównie chleba. Właściwie był codziennie, ale w ograniczonych ilościach i przemiennie, to znaczy nie każdego dnia w tych samych sklepach. Po pewnym czasie kolejkowicze rozszyfrowali plan dystrybucji chleba i już na kilka godzin przed dostawą zbierali się przed sklepami, do których akurat tego dnia miało być dowieszone pieczywo.

Pewnego dnia system ten się nie sprawdził. Ludzie stali kilka godzin, a chleba jak nie było, tak nie było. Albo dystrybutor (człowiek, nie urządzenie) się upił, albo kartki w kajecie dostaw mu się skleły, a może sobie po prostu zażartował, dość, że ludzie w kolejce przed sklepem stali na próżno. W pewnym momencie zobaczyli szczęśliwca niosącego bochenek chleba. Okazało się, że go dowieźli, ale do innego sklepu, na końcu tej samej ulicy. Niewiele się zastanawiając, kolejka w sile ponad dwustu osób

puściła się pędem do tego sklepu. Ludzie biegli z góry całą szerokością jezdni, ponieważ każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce w kolejce, żeby się na ten chleb załapać.

W tym samym czasie z bocznej ulicy wyszedł patrol w sile dwóch bojców i (jeden?) starszyna. Spojrzeli w górę ulicy i zdrętwieli. Nie wiedzieli, co się stało, ale zobaczyli za to szarżujący tłum. Dostali boja. Bojce rzuciły karabiny i puściły się do ucieczki. Pierwszy biegł starszyna.

CZĘŚĆ TRZECIA

GG (GENERALNA GUBERNIA)

1. SZKOŁY
2. ZIMA
3. POWÓDŹ
4. BIZNES
5. TROCINY
6. SCHULWEG
7. POMYSŁ
8. GANGUS KUA
9. WOJNY
10. KOSZARY
11. REPREZENTACYJNA ORKIESTRA WOJSKOWA
ARMII ULICY TOPOŁOWEJ
12. DREWNIANE ZELÓWKI
13. TRYPTYK PIŁKARSKI
14. KUNDZIA
15. ŻABY
16. DKW
17. COWBOYE I COLTY
18. NIEBOSZCZYCY
19. OSTATNIA RUNDA
20. AWANTURA

21. LATAWCE
22. OGNISKA I MACHAWKI
23. MOŃCE, SZAJBY, PIKUTY
24. PODKÓWKI
25. JAŚMIN
26. NA BOSAKA
27. „SAMOCHÓD”
28. POPYCHACZKA
29. PŁOTY
30. „ZOŚKA”
31. HULAJNOGI
32. WYPIERDEK
33. SZYNY
34. ŁUCZNICY
35. SPÓŁA
36. DUMA
37. FUTRO
38. MOJA PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA
39. RĄBANKA
40. PISANKI
41. WALIZKA
42. RODZICE HALI I JANUSZA
43. EGZEKUCJA
44. ZENEK
45. POWSTANIE W GETCIE
46. SONIA
47. NIESPODZIANKA

48. POKRZYWY I OGIEŃ
49. ROWEK
50. STAWY KONDRACKIEGO
51. RZEKA
52. TORF
53. NADRÓBKI
54. PECH
55. ISIE BOSIE
56. ZDZISIO JASZCZAK
57. PANI PISKORSKA
58. „BOHATERSKI MIŚ”
59. NOŻE, NOŻYCZKI, GARNKI
60. WYCINANKI

1. SZKOŁY

Rok szkolny 1939–1940 zaczął się w Pruszkowie chyba dopiero w listopadzie. W budynku mojej szkoły im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przy ulicy 6 Sierpnia, później Warschauerstrasse, obecnie Bohaterów Warszawy, od Września aż do końca okupacji niemieckiej stał Wehrmacht. W związku z tym nasza szkoła była szkołą wędrującą. Początkowo przytuliliśmy się do szkoły im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, przy ulicy Topolowej, później Schulweg i obecnie Topolowej. Ale do czasu. Po roku albo dwóch zostaliśmy z budynku tej szkoły wyeksmitowani, razem zresztą z jej gospodarzami. Na budynku szkoły pojawiła się biała tablica z napisem Deutsche Volksschule. Uczyły się w niej dzieci rasy, również przyszywanej, panów (Volksdeutsche). Wiele z tych łepków paradowało w mundurach Hitlerjugend.

Zaczęła się wędrówka naszych szkół. Uczniowie szkoły powszechnej im. Marszałka Piłsudskiego uczyli się w szkole powszechnej im. Marii Konopnickiej na ulicy Narodowej, później w budynku przy ulicy Brzezińskiego, następnie u sióstr na Szkolnej, by w końcu wylądować w budynku przy ulicy Narutowicza. Zajęcia roku szkolnego 1944–1945 aż do przejścia frontu odbywały się na tajnych kompletach. Ja uczyłem się na ulicy Pańskiej w mieszkaniu naszej wychowawczyni, Pani Janiny Młodzińskiej. 18 stycznia 1945 roku Pani Janina Młodzińska za działalność konspiracyjną podczas okupacji niemieckiej została aresztowana przez NKWD.

Losy uczniów szkoły powszechnej im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego. Ich wędrówka rozpoczęła się od szkoły

specjalnej na ulicy Narodowej (Fundacja Franciszka Fuchsa). Później przenieśli się na ulicę Lipową do budynku, w którym mieściła się dyrekcja pobliskiej cegielni. Obecnie po tej cegielni nie ma śladu (w literaturze uwiecznił ją Jarosław Iwaszkiewicz), a budynek dyrekcji tej cegielni jest własnością stowarzyszenia – aż mnie korci, żeby napisać patriotycznego – PAX^{*)}. Z Lipowej moi koledzy z Żółkiewskiego zostali przeniesieni do szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Lekcje odbywały się w piwnicach domu – jak wtedy mówiono – rozrywkowego, który obecnie pełni rolę domu kultury. Ostatnim etapem odysei tej szkoły było jej przeniesienie na drugi koniec miasta, na ulicę Stalową.

Minęło wiele lat. Budynek szkoły im. Marszałka Józefa Piłsudskiego po remoncie pełni rolę budynku mieszkalnego. Budynek szkoły im. Hetmana Stanisława Żółkiewskiego został rozebrany. Na jego miejscu wybudowano nową szkołę. Mieści się w niej teraz szkoła podstawowa (przed wojną były szkoły powszechne – komu to przeszkadzało?) im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Wielka szkoda, że na tym budynku nie ma tablicy poświęconej szkole, która w tym miejscu była przedtem.

*) Stowarzyszenie nieuznawane przez Prymasa Tysiąclecia

2. ZIMA

Pierwsza wojenna zima z przełomu 1939 i 1940 roku była najcięższa i najbardziej mroźna, jaką pamiętam. Mróz skuł okoliczne stawy już w połowie listopada i trzymał do końca lutego. Słupek rtęci opadł do poziomu minus czterdzieści stopni Celsjusza. W naszym ogrodzie (i nie tylko w naszym) wymarziły wszystkie drzewka owocowe. Przetrzymały tylko krzewy winorośli (owocując do dzisiaj) i jedna grusza, klapsa – jak wtedy o niej mówiono. Przetrzymała, ale owocowała dopiero po trzech latach. Zimę tę zapamiętałam jeszcze z innego powodu. Dotkliwy brak węgla spowodował, że w pokoju ustawiono piecyk z rurą wpuszczoną do pieca kaflowego. Można w nim było palić dosłownie wszystkim, najlepiej koksem kupowanym od kiciarzy, którzy zwalali go z niemieckich transportów. Koks ten można było spalać dwukrotnie. Drugi raz po zmoczeniu go wodą.

Nasz piecyk to nie była jakaś zwyczajna koza. Był okrągły, wsparty na trzech lwich łapach, z przeźroczystym okienkiem z miki na wysokości paleniska. Ze względu na fakt, że był on źródłem ciepła, życie całej naszej rodziny koncentrowało się wokół niego. Do dzisiaj pamiętam smak obierków ziemniaczanych, które razem z moją siostrą Wiesią piekliśmy na tym piecyku. Smakowały tak jak frytki, tylko były znacznie lepsze. Może dlatego, że ogólnie, nie tylko nam, było ciężko.

3. POWÓDŹ

Po mroźnej pierwszej okupacyjnej zimie nastąpiła wczesna wiosna, szybkie topnienie śniegów i lodów. Konsekwencją tego stanu rzeczy była powódź. Utrata zalała łąki i porośnięte olszyną uroczysko, gdzie bawiliśmy się przed wojną w Indian i podeszła pod naszą Topolową ulicę. Zatrzymała się na górze przed domem Jasińskich. Starsi wojownicy próbowali pływać na balii. Niestety, balia to nie indiańska kanoe. Doszczętnie przemoczeni w domach ratowali się przed zaziębieniem.

Po tygodniu wody opadły. Utrata wróciła do swojego kooryta pozostawiając w zagłębieniach łąk i uroczysk głębsze lub płytsze kałuże, w których taplały się niezbyt duże ryby. Ryby te zbieraliśmy do kubła z wodą i wpuszczaliśmy do dwóch stawików na łąkach. Później próbowaliśmy je w tych stawikach łowić na wędki, ale nic nam z tego wędkowania nie wychodziło.

4. BIZNES

Po wybuchu wojny nasz tata nie wrócił do pracy w Warsztatach Kolejowych w Pruszkowie. Zatrudniał się w różnych niewielkich firmach lub razem z mamą i z nami prowadził rodzinny nie tyle biznes co biznesik.

Od jednego ze swoich kolegów kupował liście tytoniowe, które suszył, usuwał żyłki, kroił a następnie z mamą napełniali tak przygotowanym tytoniem gilzy dwuwatki. Część tytoniu pakowana była w małe paczuszki. Ja coś na tych paczuszkach rysowałem – nie pamiętam już co. Następnie razem z tatą jeździłem na wieś, gdzie on wymieniał je na mąkę. Woził ten tytoń na wieś i mąkę do domu w wiklinowym koszu przytwierdzonym do bagażnika. Dla kamuflażu ja siedziałem okrakiem na tym koszu. Raz tata źle ocenił szerokość przejazdu między dwoma drzewami i zostałem przez te drzewa zdjęty z kosza.

Z mąki, którą przywoziliśmy do domu, mama piekła bułki, które były sprzedawane przez moją siostrę Wiesię i przeze mnie. Zarobek z tej działalności był niewielki, ale był.

5. TROCINY

Przez pewien okres nasz tata pracował w stolarni pana Kobierskiego na ulicy Zacisze. Było tam dużo nikomu niepotrzebnych trocin. Trociny te pakowałem w worki i razem z siostrą rozwoziliśmy je sankami do sklepów, w których była kamienna posadzka. Służyły one do jej osuszania w czasie roztopów. Też można było na nich trochę zarobić. Piszę o tym teraz, ponieważ uważam, że w każdych, nawet najtrudniejszych warunkach, nie należy załamywać rąk, tylko trzeba się starać jakoś sobie radzić.

6. SCHULWEG

w czasie okupacji niemieckiej moja Topolowa została przechrzczona na Schulweg – na szkolną drogę. Szkoła powszechna na naszej ulicy, nosząca imię Hetmana Stanisława Żółkiewskiego, zmieniona została na Deutsche Volksschule dla dzieci Niemców mieszkających w Pruszkowie i dla małych Volksdeutchów. Prawie wszyscy uczniowie należeli do Hitlerjugend. Nosili krótkie czarne spodnie, chyba welwetowe, i brunatno-żółte bluzy. Na lewym ręką czerwone opaski z czarnym Hakenkreuzem w białym kole. Nie zmienili się tylko kierownik i woźny. Pan Sauter sprzed wojny i Herr Sauter w czasie okupacji to była ta sama osoba. To samo odnosiło się do woźnego Zaulusa.

W mundurkach tych paradowało również dwóch znanych mi z polskich czasów chłopaków. Jeden z nich w styczniu 1945 roku razem z rodziną opuścił Pruszków i przeniósł się do swego przyszywanego Vaterlandu. Drugiego w czerwcu tego samego roku spotkałem nad Utratą. Nieopatrzenie wypomniałem mu tamten okupacyjny mundur. Nieopatrzenie, ponieważ się zdeenerwował i chciał mnie zaciągnąć na UB. Historia tego łepka i jego rodziny świadczy o tym, że zawsze znajdują się ludzie, którzy trzymają rękę na pulsie. Bo Wallenrodem to on chyba nie był.

7. POMYSŁ

Zima była wyjątkowo ostra. U nas w ogrodzie wymarzły trzy grusze i jedna jabłonka. Ale nie o tym chciałem pisać. Przypomniało mi się, jak któregoś dnia chroniłem się przed mrozem. Tego dnia był wyjątkowo duży. Dlatego, wracając do domu, postanowiłem od czasu do czasu się trochę, jak mówiło się wtedy, ugrzać. Wpadłem na pomysł, by wstępować do sklepów i udając klienta, wybrzydzać na towar, którego i tak bym nie kupił, ponieważ nie miałem nawet złamanego grosza. Szło mi dobrze, dopóki nie wstąpiłem do sklepu z materiałami piśmiennymi na ulicy Kraszewskiego. Udawałem, że chcę kupić wieczne pióro. Wtedy właścicielka sklepu powiedziała do subiekta, żeby zademonstrował panu, czyli mnie, najnowsze modele. Pan, czyli ja, miał wtedy osiem lat i z tego powodu nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Mistyfikacja się nie udała. Właścicielka sklepu śmiała się razem ze mną. Stwierdziła, że mój pomysł był doskonały.

8. GANGUS KUA

był wodzem czerwonoskórych z ulicy Topolowej w lecie 1940 roku. Nasze wigwamy postawiliśmy na łąkach między ulicą a boiskiem piłkarskim „Znicza” Pruszków. Nasz wódz, w cywilu Wojtek Hope, był z nas najstarszy. Miał wtedy ukończone czternaście lat. Nie wymawiał litery „r”. Raz przyszedł do mojej mamy, mówiąc: Pani Jakubowska, mam ghrykę do sprzedania. Oczywiście mama tej kaszy od niego nie kupiła, przypuszczając, że podprowadził ją swojej mamie. Myślę, że indiańskie imię i nazwisko naszego wodza miało związek ze sposobem, w jaki wymawiał tę literę.

Gangus Kua dbał o swoich wojowników. Wystarczyło, że któryś z nas powiedział: Wodzu, my być głodni. Wtedy Wojtek leciał do domu i przynosił nam do wigwamów to, co mu w domu wpadło w rękę.

W 1943 roku Wojtek zniknął. Chodziły słuchy, że został wcielony do batalionów pracy (Todtorganization), budujących drogi na zapleczu Ostfrontu. Inni twierdzili, że został wywieziony na roboty przymusowe do Reichu. Nigdy później go już nie widzieliśmy. Dosłownie kilka dni temu, w Zaduszki 2001 roku, na cmentarzu w Pruszkowie – Żbikowie przypadkowo natknąłem się na jego grób. Oczywiście był to grób symboliczny Wojtek zginął w Konzentrationslager Mauthausen w październiku 1944 roku. Nie miał jeszcze dziewiętnastu lat. Przypuszczam, że nasz wódz, Gangus Kua, nie mógł znieść niewolniczej pracy i postanowił uciekać. Być może ta ucieczka mu się nie udała i Blade Twarze z plemienia Germanów zamknęły go za drutami. Został zastrzelony na tych drutach prawie przed wyzwoleniem obozu.

9. WOJNY

Nie bawiliśmy się w policjantów i w złodziei, ponieważ nikt z nas nie chciał być policjantem. Dlatego bawiliśmy się w wojnę. Armia Ulicy Topolowej, do której ja należałem, prowadziła wojny z Armią Ulicy Kochanowskiego i z Armią Ulicy Bursowej. Walki na zgniłe pomidory, ale również na procemiotające kamienie i haczyki z drutu, prowadzone były ze zmiennym szczęściem. To cud, że nikt z nas nie odniósł poważniejszych obrażeń. Raz tylko musieliśmy się salwować ucieczką przed kolicją Kochanowskiego i Bursowej. Po przybiegnięciu na naszą ulicę spotkaliśmy pana Wacława Piskorskiego mieszkańca ulicy Topolowej. „Piskorz” zareagował natychmiast.

– Panowie – powiedział do dziewięcio, jedenastoletnich łepków – Przed kim tak haniebnie spierdalacie? Nieładnie.

– Panie Wacku, ich było więcej.

– Co znaczy więcej, wracamy.

Przyłączył się do nas. Objął dowództwo. Chyba był na lekcji bani. Pełen wojennego animuszu co chwila wykrzykiwał: Niech się pokażą te śmiałki!

Do rewanżu nie doszło, ponieważ Armia Ulicy Bursowej i Armia Ulicy Kochanowskiego naszą ucieczkę z pola bitwy na ulicy Narutowicza uznały za swoje zwycięstwo i wróciły do koszar.

10. KOSZARY

naszej Armii mieściły się na podwórku domu przy ulicy Topolowej 2, należącego do rodziny Jasińskich, ponieważ chłopaki z tego podwórka: Przemek, Janusz i Bobek Jasińscy, Andrzej Pawliński (a po wyprowadzeniu się jego rodziny Zbyszek Kopeć) oraz Zygmunt Lechański stanowiły jej trzon. Spoza tego podwórka w skład jej wchodził Zdzisiek Jaszczak i ja. Głównodowodzącym był Bobek Jasiński, ponieważ był o dwa – trzy lata od nas starszy. Broń mieliśmy własnego wyrobu. Proce, ładownice na haczyki z drutu i drewniane karabiny. Uzupełnieniem naszego uzbrojenia były handgranaty, czyli drewniane tłuczki do kartofli, które podprowadziliśmy naszym mamom.

W krótkotrwałych okresach pokoju wystawialiśmy przed naszymi koszarami, czyli przed furtką nao podwórko, warty. Raz, gdy stałem na warcie – oczywiście z karabinem na ramieniu – podeszło do mnie dwóch żandarmów. Za późno ich zobaczyłem, żeby się schować. Myślałem, że mi dołożą lub, co gorsza, że zabiorą karabin. Oglądali go długo, ale na szczęście oddali.

11. REPREZENTACYJNA ORKIESTRA WOJSKOWA ARMII ULICY TOPOLOWEJ

była niewielka, ale biorąc pod uwagę ilość żołnierzy tej armii, procentowo była to największa orkiestra wojskowa na świecie. Należało do niej trzech chłopaków: Janusz Jasiński, który za polskich czasów należał do zuchów 71 MDH i miał z tamtego okresu werbel, jeden chłopak – niestety, nie pamiętam już który – grał na kotle do gotowania bielizny, wybijając rytm tłuczkiem do kartofli i ja. Instrument miałem okazały. Była to z cienkiej blachy – chyba miedzianej – trąba od gramofonu należącego kiedyś do rodziców mojej mamy. Na tych instrumentach robiliśmy hałas, nie mniejszy od tego robionego obecnie przez kiboli na meczach piłkarskich. Niestety, nie graliśmy długo. Mieszkańcy domu przy ulicy Topolowej 2, skąd pochodził trzon naszej armii oraz z sąsiednich posesji nie należeli do melomanów. Zagrozili, że jeżeli nie zaprzestaniemy tego grania, to wybiją je nam z głowy poprzez część ciała od tej głowy nieco oddaloną. Ulegając szantażowi i przemocy, Reprezentacyjna Orkiestra Wojskowa Armii Ulicy Topolowej zmuszona została do zaprzestania działalności po dwóch czy trzech koncertach.

12. DREWNIANE ZELÓWKI

Podczas okupacji niemieckiej stopniowo zaczynało wszystkiego brakować. Tak było również z butami. Pamiętam, że w związku z moją pierwszą komunią świętą mama zamówiła dla mnie buty u najlepszego szewca w Pruszkowie, u pana Sobierajskiego na ulicy Tadeusza Kościuszki. Buty te celowo były wykonane jako dla mnie za duże, ponieważ roslam i musiały mi na długo wystarczyć. Wystarczyły na długo, ale nie do końca okupacji. Po nich miałem drewniaki. Kolejne dwie pary o dwóch różnych konstrukcjach spodów (skórzane wierzchy były przybijane do tych spodów). Były spody jednolite i z „palcami” na skórzanych zawiasach. Te drugie były wygodniejsze, ponieważ dzięki tym „zawiasom” miały zginane spody. Drewniaki o jednolitych spodach przy każdym kroku „wrywały” pięty. Trzeba się było nauczyć w nich specjalnie chodzić, by temu „wrywaniu” zapobiec. Po prostu stawianie stóp maksymalnie odchylonych od środka zmniejszało znacznie te przykre doznania.

Po wojnie myślałem, że już nigdy nie będę chodził w takich butach. Myliłem się. W 1954 i 1955 roku na Rakowieckiej w Warszawie i w Rawiczu miałem tylko takie. Moje tak zwane „tyrolki” odpoczywały wtedy w worku z moim ubraniem w magazynach tych „pensjonatów”.

13. TRYPTYK PIŁKARSKI

Część pierwsza: DRUŻYNY PODWÓRKOWE

istniały prawie na każdej ulicy. Graliśmy na podwórkach, na ulicy i na łąkach między Topolową a boiskiem „Znicza”. Ze względu na fakt, że nasze boiska były nietypowe i niewymiarowe, że nie mieliśmy stoperów i że było nas niewielu, przepisy do gry w piłkę nożną musieliśmy dostosować do tych warunków. Podstawowa zmiana była taka, że przerwa następowała po strzeleniu przez jedną z drużyn sześciu goli. Wygrywała ta drużyna, która pierwsza zdobyła dwanaście bramek. Nie wykonywaliśmy rzutów różnych. Obowiązywała zasada, że trzy kornery to karny. Poza tym wprowadziliśmy instytucję tak zwanego bramkarza wylatującego. Stosowaliśmy ją wtedy, kiedy było nas mało. Bramkarz wylatujący grał w polu, w obronie lub w ataku, a w przypadku zagrożenia własnej bramki szybko wracał do niej, by pełnić swoją podstawową funkcję. Nie zawsze udawało mu się zdążyć, ale nie wynik był ważny, lecz udział i ruch na świeżym powietrzu.

Część druga: WEHRMACHT TWORKI

W drużynie tej grali niemieccy żołnierze z jednostki stacjonującej na terenie szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Mieli fioletowe spodenki i fioletowe koszulki. Mecze tej drużyny odbywały się na przedwojennym boisku „Znicza”, które istnieje do dziś. Wehrmacht Tworki był słaby i przeważnie przegrywał

z innymi drużynami niemieckimi. Nie wiem, może ja i moi ówczesni koledzy narazimy się na zarzut kolaboracji, ale chodziliśmy na te mecze. To zresztą małe piwo. Gorzej, że cieszyliśmy się, jak wehrmachtowcom z Tworek udało się strzelić gola.

Część trzecia: NIELEGALNY „ZNICZ”

Mecze piłkarskie mimo zakazów odbywały się dość często. „Znicz” grał na swoim drugim boisku (dziś już nieistniejącym) po drugiej stronie ulicy Bolesława Prusa, między Utratą a ogrodami domów z ulicy 3 Maja.

W jednym z tych domów, naprzeciw ulicy Pięknej, w mieszkaniu szewca, pana Tuleja, mieściła się klubowa szatnia. Od ogrodu tego domu do płyty boiska nie było więcej niż dwadzieścia metrów. W parkanie były odchylane sztachety, co umożliwiało szybkie wbiegnięcie graczy na boisko i jeszcze szybszą ewakuację z niego w przypadku zagrożenia. Przed takim zagrożeniem ostrzegali graczy gwizdami na palcach czujki ustawione na rogu ulicy 3 Maja (wtedy Hitlera, później Stalina, obecnie Majowej) i 6 Sierpnia (obecnie Bohaterów Warszawy) oraz na moście nad Utratą (wtedy drewnianym). Ówczesni kibice, by nie zakłócać tego systemu ostrzegawczego i nie powodować fałszywego alarmu, powstrzymywali się od wyrażania swoich emocji gwizdami, choć w niektórych przypadkach mieli do tych gwizdów prawo.

14. KUNDZIA

była u naszych sąsiadów od zawsze. Miała białe pióra i czerwony grzebień. Chodziła i grzebała w ziemi z gracją, ponieważ wśród jej przodków byli Leghornowie. Niestety, zestarzała się, była wojna i z tego powodu było ciężko. Sąsiedzi kilkakrotnie planowali ugotowanie rosołu z Kundzią w roli głównej, ale nic z tego nie wychodziło. Walczyła ona o przetrwanie, znosząc jajko w dniu, który miał być jej dniem ostatnim. Sytuacja taka miała miejsce kilka razy. Była bardzo ufna. Wystarczyło krzyknąć: Kundzia! Nie żadne tam cip, cip i zaraz w podskokach przybiegała, choć po upływie lat robiła to z trudem.

Którejś nocy włamano się do komórki moich sąsiadów. Kundzia została porwana. W komórcie na pożegnanie zostawiła jajko.

15. ŻABY

Nie byliśmy aniołami. Jeden z nas miał dziwne upodobania. Na przykład lubił przez słomkę nadmuchiwać żabę i wpuszczać ją do wody. Tak napompowana żaba nie mogła schronić się pod jej powierzchnią. Nie powiem, jak się nazywał, ponieważ dostał od nas manto (kocówkę) i mu to upodobanie przeszło.

A tak na marginesie. W naszych szczenięcych latach w ogrodach na Topolowej i na okolicznych łąkach pełno było żab i ropuch. Rano i wieczorem rozlegał się ich rechot. Obecnie żaby gdzieś się wyniosły albo wyginęły na skutek postępu, czyli chemizacji i urbanizacji. Nie ma ich nawet nad przepływającą przez Pruszków Utrąą.

16. DKW

Właścicielem motocykla tej marki był pan Stanisław Jasiński, czyli wujek Stach, jak o nim mówili moi koledzy z sąsiedniego podwórka. Z nabożnym skupieniem mogliśmy długo patrzeć, jak jego właściciel go czyścił, regulował, naprawiał i pieścił. Po Wrześniu okupanci niemieccy wywiesili Bekanntmachung o konieczności oddania tym okupantom odbiorników radiowych i motocykli. Wujek Stach swojego DKW nie oddał. Rozebrał go na części i ukrył na stryszku nad oficyną zamieszkałą przez rodzinę jego brata, Edmunda Jasińskiego. Musiał go rozebrać, ponieważ na stryszek nie było schodów. Można się było do niego dostać z daszku nad sionką poprzez niewielkie drzwi w ścianie szczytowej. Miejsce to wydawało się bezpieczne. Dla motocykla i jego właściciela okazało się również szczęśliwe.

Po aresztowaniu rodziców mojego przyjaciela Janusza, Romualdy i Edmunda Jasińskich, Niemcy niemal trzykrotnie przeprowadzali rewizję w ich mieszkaniu. Nie przyszło im jednak do głowy, że nad nim może być stryszek. Dzięki temu motocykl ocalał. Po wojnie wujek Stach złożył motocykl i dalej na nim jeździł. Zginęły tylko, do dziś nie wiadomo, w jakich okolicznościach, dwie skórzane torby podróżne przytracane po bokach tylnego koła.

17. COWBOYE I COLTY

„W szponach stepowych wilków” Freda Robertsa to pierwsza książka kowbojska, jaką przeczytałem. W ciągu kilku godzin dziennych i dwóch nocnych, przy latarce elektrycznej, z kołdrą na głowie, żeby rodzice się nie zorientowali, że nie śpię. Wypożyczalnia książek przy księgarni pani Marii Bednarskiej, szkolnej koleżanki naszej mamy, mieściła się w czasie okupacji przy ulicy Tadeusza Kościuszki, w nieotynkowanym budynku z czerwonej cegły obok poczty. Wcześniej była przy tej samej ulicy róg Szopena, ale została wyeksmitowana, ponieważ lokal ten był potrzebny na sklep spożywczy Juliusa Meinla z produktami dla rasy panów i ich przydupasów.

Do „Wiązanki” – tak się nazywała wypożyczalnia i księgarnia – chodziłem, a właściwie biegałem codziennie. Połykałem jedną książkę dziennie. Byłem pod takim magicznym działaniem tych książek, że biegnąc po nową, miałem wrażenie, że pędzę na mustangu. W związku z tym od czasu do czasu podskakiwałem.

Po trzech miesiącach, wypalając olbrzymią ilość baterijek, przeczytałem wszystkie książki kowbojskie Freda Robertsa, Maxa Branda, Zane’a Greya oraz przygodowe Jacka Londona i Jamesa Oliwiera Curwooda. Czytałem je tak szybko, że niektóre zdania, żeby je zrozumieć, musiałem czytać po dwa razy. Pierwsze zdanie „Krwawego pogranicza” Zane’a Greya zupełnie w tym pośpiechu przekręciłem. Zamiast „Camerona prześladowała twarz kobiety”, zmieniłem je na „Camerowana prześladowana twarz kobiety”. To wszystko jednak, to nic w porównaniu z roz-

czarowaniem, jakie przeżyłem, gdy dowiedziałem się, że cow-
boye to kowboje a colty to kolty. Gdy prawda ta dotarła do mnie,
książki te straciły trochę ze swego uroku. Ale nie na długo.

18. NIEBOSZCZYCY

Podczas okupacji niemieckiej na naszej ulicy – zresztą nie tylko na niej – był taki zwyczaj, że wyprowadzenie zmarłych do kościoła i na cmentarz odbywało się z ich mieszkań. Odświętnie ubrani, w trumnach ustawionych na stole, w otoczeniu kwiatów doniczkowych, często pożyczanych od sąsiadów, ostatnie godziny na tym padole przebywali w otoczeniu swoich bliskich, wśród znajomych sprzętów. Ze zmarłymi w tak eksponowanych trumnach żegnała się cała Topolowa. My – dzieci – też.

Zapamiętałem kilka szczegółów i rozmów z tego okresu. Wielu z tych nieboszczyków było chowanych w papierowych butach i to wcale nie dlatego, że skórzanych nie mieli. Mieli. I to jeszcze przedwojenne. Ale takie buty to był wtedy skarb. Mogły jeszcze służyć komuś w rodzinie lub być wymienione na wsi na żywność. Największe wrażenie na nas, dzieciach, robiły dziurki w nosie zmarłych, nigdy dotąd nieoglądane z takiej perspektywy. Niektórzy z nas nie mogą nawet teraz patrzeć od strony nóg na osoby leżące na wznak, ponieważ natychmiast przypominają się nam nieboszczycy z lat czterdziestych.

Pamiętam również niektóre wypowiedzi i komentarze towarzyszące tym oględinom i pożegnaniom. Przeważnie mówiono o zmarłych, że wyglądają, jakby spali, o innych, że się uśmiechają, o niektórych, że wyglądają tak, jakby chcieli nam coś powiedzieć.

19. OSTATNIA RUNDA

Taki tytuł miał jedyny film, na którym byłem w kinie w czasie okupacji niemieckiej. W filmie tym, wyprodukowanym przez wytwórnię UFA w Niemczech pod koniec lat trzydziestych, występowali, jak sam tytuł na to wskazuje, bokserzy. Nie jestem pewien, ale chyba jednym z nich był Max Schmeling. Byłem na tym filmie razem z moim bratem stryjecznym, Januszem. Pamiętam, że po wyjściu z kina „Sokół” w parku o tej samej nazwie w Pruszkowie było tak ciemno, że w pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, którądy wracać do domu.

Byłem tylko raz, ale nie z powodu rozpowszechnianego wtedy przez dorosłych powiedzenia, że tylko świnie siedzą w kinie. Powód był inny. Nasza mama zachorowała. Razem z moją siostrą Wiesią złożyliśmy ślubowanie, że jak mama wyzdrowieje, to do końca wojny nie pójdziemy do kina. Mama wyzdrowiała, Bogu dzięki, a my nie mogliśmy doczekać się zakończenia wojny.

A wracając do tego powiedzenia o kinie rozpowszechnianego przez dorosłych. Dopatrywałem się w nim pewnej hipokryzji z ich strony, chociaż wtedy nie znałem tego słowa. Ze sprzedaży papierosów i alkoholu Niemcy mieli znaczenie większe dochody niż ze sprzedaży biletów do kina. Nie znam jednak przypadku (może takie były), by ze względów patriotycznych w tamtym okresie rezygowano z palenia papierosów i z picia wódki.

20. AWANTURA

zbliżała się do końca. Moja ulica, podwórko moich kolegów. Emocje opadały. Ostatnim jej akordem była taka oto wymiana zdań.

– Mogłaby pani być bardziej zrównoważona.

– Patrzcie ją – śmiechu warte – jaka równo zważona.

A ja, to co? Krzywo?

21. LATAWCE

robili wszyscy moi koledzy i ja. Kłopot mieliśmy ze sznurkiem, ponieważ prawdziwego nie było. Dostępny był tylko papierowy, ale, o dziwo, okazał się on bardzo mocny. Na wszelki wypadek puszczaaliśmy je tylko przy słonecznej pogodzie.

Nie ma już łąki, nad którą wznosiły się ku niebu nasze latawce. Przeciął ją nasyp przedłużających się Alei Jerozolimskich, za którymi wyrosły mała i duża hala Znicza Pruszków. Obecnie aż mnie korci, żeby zrobić latawca o konstrukcji znanej mi z mojego nastoletniego okresu i podarować go chłopakom z sąsiedniego podwórka, z którymi się przyjaźnię od kilku lat. Z trzech powodów. Byłby to powrót do młodości, ponieważ nie odmówiłbym sobie przyjemności „odbycia” pierwszego lotu, być może skłoniłbym ich do opracowania nowych modeli latawców – obecnie nie puszczają żadnych – oraz ze względu na przeczytaną niedawno informację o warsztacie rzemieślniczym produkującym latawce. A przecież żadna zabawka – jakakolwiek by ona była – tak nie cieszy, jak ta zrobiona własnoręcznie.

Ze zrobieniem tego latawca dla moich przyjaciół z sąsiedniego podwórka poczekam do lata. Będzie on lepszy od tego robionego w latach mojej młodości, ponieważ sznurek będzie prawdziwy. Będziemy tylko musieli poszukać innego terenu do jego puszczenia, ponieważ w związku z urbanizacją okolicy ulicy Topolowej, na której mieszkamy, pojawiło się w niej wiele słupów i sieci elektrycznych.

22. OGNISKA I MACHAWKI

W czasie okupacji każdy w ogrodzie coś uprawiał. Przeważnie były to warzywa i kartofle. Najlepsza odmiana to były amerykańskie, które miały lekko różową barwę. Nie wiem, dlaczego, ale obecnie tej odmiany się nie spotyka. W związku z tymi uprawami z nastaniem jesieni w ogrodach i na okolicznych łąkach pojawiały się ogniska. Palone były głównie kartoflane łodygi, o których mówiliśmy, że są to łęciny.

Oczywiście w ogniskach tych piekliśmy kartofle. Były pyszne, zwłaszcza spieczona skórka, której nie zdejmowaliśmy, tylko jedliśmy po wytarciu upieczonej bulwy o trawę. Kartofle piekliśmy również w machawkach zrobionych z puszek od konserw. W dnie i powyżej niego robiliśmy gwoździem dziurki do dostępu powietrza, następnie mocowaliśmy do niej kawałek drutu. Tak jak do kubła, tylko dłuższego. Do puszki wrzucaliśmy trochę siana, trochę żaru i jednego lub dwa ziemniaki. Machając (stąd nazwa) lub kręcąc całym tym urządzeniem, doprowadzaliśmy do szybkiego ich upieczenia. Jednak te z ogniska, pieczone w gorącym popiele, były lepsze. Piekły się co prawda dłużej, ale miały za to grubszą i bardziej chrupiącą skórkę.

23. MOŃCE, SZAJBY, PIKUTY

Mońce to guziki z mundurów wojskowych, policyjnych i strażackich. Zabawa w mońce polegała na uderzaniu nimi o ścianę. Jeżeli tak uderzony moniec wyśladował na ziemi obok leżącego na niej na odległość mniejszą od rozstawionych skrajnych palców dłoni, gracz wygrywał i stawał się właścicielem tego leżącego wcześniej. Jeżeli nie, do gry przystępował następny. Miał ułatwione zadanie, bo celował już do dwóch. Podczas gry w mońce można je było szybko stracić, można też było szybko powiększyć swój zbiór.

Szajby to gra znacznie poważniejsza, ponieważ graliśmy na pieniądze. W środku kółka o średnicy nie większej niż dwadzieścia centymetrów ustawialiśmy słupek z pięcio, dziesięcio lub dwudziestogroszówek, orłem lub reszką jednakowo dla wszystkich monet do góry. Następnie z odległości dziesięciu metrów szajbami, które były podkładkami o średnicy pięciu – sześciu centymetrów, rzucaliśmy do tego kółka. Cały bank zabierał ten, który trafił szajbą do kółka. Taki przypadek nie zdarzył się jednak nigdy. W związku z tym właściwą grę rozpoczynał ten z nas, którego szajba upadła najbliżej kółka ze słupkiem monet. Gracz uderzał szajbą z góry w ten słupek, monety podskakiwały do góry i opadały na ziemię. Te, które podczas takiej operacji się przekreśliły, przechodziły na własność grającego. Grający tak długo uderzał w pozostałe monety, aż się one poprzekreślały. W przypadku, gdy tak się nie stało, do gry przystępował następny. W grze tej ten

z nas, który rzucił szajbą najdalej od kółka z monetami, był praktycznie bez szans, nawet na odegranie stawki.

Pikuty były zabawą z użyciem scyzoryka, finki lub noża. Nie była to zbyt bezpieczna zabawa, dlatego w obrazku tym po-przestanę tylko na jej zasygnalizowaniu. Licho nie śpi.

24. PODKÓWKI

– jakie miały starsze chłopaki z powszechniaka – budziły naszą zazdrość. Mieli je nie wszyscy, ponieważ nie wszyscy mieli przedwojenne skórzane buty z takimi samymi zelówkami, a zwłaszcza obcasami. Podkówki przybijane do obcasów zabezpieczały je przed ścinaniem podczas chodzenia i to o wiele skuteczniej niż metalowe żabki. W tym drugim przypadku wystarczyło, by starły się łebki mocujących je wkrętów, czyli śrub, co powodowało ich odpadnięcie. Ale nie funkcja ochronna tych podkówek była powodem naszej zazdrości. Podczas chodzenia po betonowym trotuarze podkówki były źródłem głośnego stukotu, co – naszym zdaniem – dodawało ich właścicielowi żołnierskiego splendoru. Poza tym można je było wykorzystać do jazdy na lodzie. Technika jazdy polegała na tym, że trzeba było mieć czubki butów uniesione ku górze przy jednoczesnym przechyleniu butów w jedną stronę. Jechało się na bocznych odcinkach podkówek. I rzecz najważniejsza – wcześniej trzeba było się rozpędzić.

25. JAŚMIN

Potrzeba jest matką wynalazków. Czasem jednak wystarczy przypadek. Takim przypadkiem było to, że miałem brudne ręce, że obok studni stała beczka z wodą do podlewania grządek w ogródku i że w wodzie tej pływały liście jaśminu (krzew rósł obok beczki).

Myjąc ręce, wziąłem przypadkowo w dłoń liście jaśminu pływające w wodzie. Zacząłem je pocierać. Ku mojemu zdziwieniu na moich dłoniach pojawiła się zielona piana jak po oliwkowym mydle Palmolive, które ostatni raz widziałem za polskich czasów. Wtedy zerwałem z krzaka więcej tych liści. Efekt pocierania przeszedł najśmielsze oczekiwania. Całe ręce miałem w zielonkawej pianie. Po ich opłukaniu były czyste i w dodatku – co dla chłopaków może nie jest tak ważne – również pachnące. Kto nie wierzy, niech sam spróbuje. Patent na takie mycie rąk oddaję za darmo.

26. NA BOSAKA

chodzili moi koledzy i ja, zwłaszcza podczas wakacji. Gra-
liśmy tak nawet w nogę, czyli w kopaną. Przeto nic dziwnego, że
stopy, a zwłaszcza palce, mieliśmy często poobijane. Na bosa-
ka chodziliśmy również po rżysku po sprzęcie zboża. Okoliczni
chłopi pozwalali nam, mieszczuchom, zbierać pozostawione na
polach kłosa. Była wojna, było ciężko i każdy kłos dla nas był
na wagę złota. Ze zmielonego na ręcznym młynku ziarna nasze
mamy robiły zacierki. Chodzenie na bosaka po rżysku wymagało
specjalnej techniki. Chodziliśmy tak zwanym krokiem posuwi-
stym, żeby nie pokaleczyć stóp.

27. „SAMOCHÓD”

Naszej konstrukcji. Cudzysłów w tytule tego obrazka jest uzasadniony. Nasz samochód sam nie jeździł. Trzeba go było pchać.

Był to jednoosobowy kabriolet. Miał drewniane podwozie, taką samą karoserię i ruchomą przednią oś, co pozwalało na skręcanie w lewo i w prawo. Początkowo miał kierownicę, którą później zamieniliśmy na dwie linki przywiązane do osi zaraz za kółkami. Rozwiązanie takie pozwalało na sprawniejsze wykonywanie skrętów, co następowało przez pociągnięcie odpowiedniej linki. Dalsze usprawnienia to wzmocnienie podwozia przez przykręcenie do niego żelaznych płaskowników i wyposażenie go w reflektor. W jeden, ponieważ drugiego nie mieliśmy. Reflektor był na karbid. Trzeba było bardzo uważać, ponieważ reflektor ten się rozgrzewał. Korzystaliśmy z niego w dzień, ponieważ wieczorem, ze względu na godzinę policyjną, było to niemożliwe.

Z jazdy samochodem korzystał głównie wódz Armii Ulicy Topolowej, Bobek Jasiński. Pozostali żołnierze tego wojska stanowią napęd, na zmianę, po dwóch. Kiedyś pchaliśmy ten pojazd za mocno, przekroczyliśmy dozwoloną prędkość i doprowadziliśmy do kraksy. Kierowca, chcąc uniknąć zderzenia z ogrodzeniem, skręcił gwałtownie w ostatniej chwili. W rezultacie tego on i my wylądowaliśmy razem z naszym wehikułem na płocie. I nic takiego by się nie stało, bo i tak byliśmy już poobijani i kości mieliśmy mocne, młode, gdyby nie to, że wypadek ten miał miejsce przy zapalonym karbidowym reflektorze. Najbardziej poparzył się Bobek i jego młodszy brat Przemek.

Tego samego dnia z samochodem rozprawili się dorośli. Nie pomogły żelazne płaskowniki wzmacniające podwozie. Po demontażu przy użyciu siekiery nie nadawał się on już do remontu.

28. POPYCHACZKA

Dzielnica i ulica, na której mieszkalem, nie zaliczała się do bogatych. Dlatego zabawki wymyślaliśmy i robiliśmy sobie sami. Dzieci z zamożniejszych rodzin miały duże kolorowe drewniane koła, wprawiane w ruch poprzez uderzanie trzydziestocentymetrowym toczonym patykiem – drewnienkiem. Nie umywały się one jednak do naszych. Nasze to były metalowe obręcze ze starych kół rowerowych napędzane przez nas przy pomocy popychaczki z grubego, odpowiednio zakrzywionego przy kole, drutu. Dodatkową atrakcją biegu przy takim kole był łoskot i hałas wywoływany przez tarcie obręczy o drut popychaczki.

29. PŁOTY

W naszych szczenięcych latach na Topolowej były drewniane płoty, takie same jak te, które malował Tomek Sawyer z Huckiem Finnem w książeczce Marka Twaina. Były znacznie ładniejsze od powszechnie później stosowanej siatki czy ostatnio ogrodzeń z kątowników. Te drewniane płoty w sposób plastyczny oddzielały ogrody od ulicy i dzięki temu ład przestrzenny wtedy był większy niż obecnie. Dla nas spełniały one również rolę instrumentu muzycznego. Biegając wzdłuż takiego drewnianego płotu z patykiem w ręku, można było wygrywać na nim różne dźwięki, przeważnie zbliżone do serii z karabinu maszynowego. Dźwięki te powodował patyk uderzający o poszczególne sztachety, z krótkimi przerwami, kiedy przeskakiwał ze sztachety na sztachetę. O sile dźwięku decydowała szybkość biegnącego, długość i nachylenie patyka w stosunku do płotu. Była to zabawa darmowa i ogólnie dostępna.

30. „ZOŚKA”

to nie dziewczyna. „Zośka” to podstawowy sprzęt sportowy mój i innych małych z naszej ulicy. Trochę kolorowej włóczki przymocowanej drutem do kawałka ołowiu. Były dwa rodzaje tego sportowego ustroju. „Zośka” meczowa i druga, służąca do bicia rekordów w podbijaniu.

Meczowa miała długą włóczkę. Gra nią polegała na tym, że podbijając ją kilkakrotnie butem, zawodnik zbliżał się do bramki przeciwnika, by już z bliskiej odległości strzelić gola. Zabawa ta była niebezpieczna, ponieważ po strzale na bramkę „Zośka” nabierała dużej szybkości i jej uderzenie było bolesne dla bramkarza. Zośka do bicia rekordów w podbijaniu do góry butem była inna. Miała krótszą i gęstsza włóczkę. Chodziło o to, by wolniej – jak na spadochronie – opadała, by w przypadku niefortunnego podbicia można było do niej podbiec przed jej opadnięciem na ziemię.

Obecnie nie widzi się chłopaków podbijających „Zośkę”. Może ze względu na prawie powszechne chodzenie w adidasach. Do „Zośki” potrzebne były bowiem solidne, skórzane, sznurowane buty z cholewkami.

31. HULAJNOGI

robiliśmy sami. Największe trudności mieliśmy z połączeniem deski poziomej z deską lekko ukośną, która była kierownicą tych pojazdów. Połączenie to musiało być ruchome. Przeważnie robiliśmy je ze skóry lub z kombinacji zawiasów z płaskownikami. Sprawę braku kółek rozwiązywaliśmy przez mocowanie w deskach łożysk kulkowych o średnicy zewnętrznej około 10 cm. Nie pamiętam, skąd braliśmy te łożyska. Być może były one kradzione.

Tak zrobione hulajnogi były wspaniałe. Przy jeździe na trotuarach łożyska powodowały łoskot, który ostrzegał pieszych przed grożącym im niebezpieczeństwem. Dzięki temu łoskotowi mieliśmy wrażenie, że jedziemy na, nie wiem jak wspaniałych, pojazdach. Deska pozioma była na tyle długa, że po rozpędzeniu się można było na niej postawić drugą nogę. Kłopoty były tylko w przypadku zjechania z trotuaru na piasek. Piasek, który dostał się do łożysk, skutecznie je unieruchamiał. Lekarstwem na tę dolegliwość była nafta, która „przegryzała” piasek i umożliwiała dalszą jazdę.

Obecnie w sprzedaży są metalowo-plastikowe hulajnogi, cichobieżne, wszystkie jednakowe, wszystkie z wadą konstrukcyjną a właściwie projektową. Ich producent chyba nigdy w dzieciństwie nie jeździł na hulajnodze. Ta wada to zbyt krótka deska pozioma. Po rozpędzeniu się nie ma miejsca na postawienie na niej drugiej nogi, którą w takiej sytuacji trzeba trzymać w powie-

trzu. Nawet się nie umywają do naszych. My robiliśmy je sami i w związku z tym rozpierała nas duma. Hulajnogi te miały duszę. Przy tych obecnie produkowanych nasze wyglądały i takie były jak harleye davidsony.



Autor na hulajnodze – jeszcze nie własnej roboty – bo za Polskich Czasów

32. WYPIERDEK

Wczesne lata czterdzieste. Wojna. Podwórko moich sąsiadów. Bawię się razem z chłopakami. Oczywiście w wojnę.

Dwóch moich kolegów z tamtego podwórka (braci) posprzeczało się o coś. W pewnym momencie starszy krzyknął do młodszego: Ty wypierdku mamuta!

Riposta była natychmiastowa: A ty wypierdku vatra. Młodszy był przekonany, że słowo mamut pochodzi od słowa Mutter*), dlatego zrewanżował się bratu tym „vatrem”.

*) W języku niemieckim słowo *die Mutter* oznacza matkę, a słowo *der Vater* ojca.

33. SZYNY

a właściwie tory kolejowe, rysowaliśmy na naszym podwórku stołkiem trzymanym ukośnie za dwie nogi. Cofając się tyłem do przodu, rysowaliśmy dwoma pozostałymi nogami dwie równoległe ciągłe krechy czyli szyny. W zależności od naszej fantazji były to tory pojedyncze jednokierunkowe lub pojedyncze dwukierunkowe. W tym drugim przypadku rysowaliśmy mijanki, żeby zapobiec zderzeniu się „pociągów”. Biegaliśmy między tymi szynami, udając pociągi. Była to jedna z zabaw wymyślona przez nas w naszych szczenięcych latach.



34. ŁUCZNICY

Dzięki jednej ze sportowych pasji naszego taty Armia Ulicy Topolowej – czyli moi koledzy z sąsiedniego podwórka i ja – mogła ćwiczyć strzelanie z łuków do tarczy. Tata nasz produkował wspaniałe, jak na czasy przedwojenne, łuki i strzały. Drugą jego pasją było kajakarstwo i żeglarsstwo, z tym że trenował i startował w zawodach na kajakach i żaglówce, które były jego dziełem. Łuki przez niego wykonywane były sklejane z dwóch gatunków drewna. Warstwa wewnętrzna była z drewna odpornego na ściskanie, warstwa zewnętrzna była wykonana z drewna odpornego na rozciąganie. Końce każdego łuku zrobione były z rogów odpowiednio wyprofilowanych do zamocowania cięciwy. Uchwyty łuków wykończone były zielonym sukniem. Nasz tata wykonywał również strzały na przygotowanym przez siebie oprzyrządowaniu. Te strzały to były prawdziwe dzieła sztuki. Szkoda, że żadna z nich się nie zachowała.

Podczas okupacji na łąkach przylegających do ulicy Topolowej i na łąkach między rowkiem a zakrętem Utraty żołnierze niemieccy skoszarowani w naszej szkole odbywali ćwiczenia. Musztra, gimnastyka i celowanie do tarcz strzelniczych. Celowanie, a nie strzelanie, ponieważ nie pamiętam huku wystrzałów. Poza tym na łąkach tych nie było wałów zabezpieczających koniecznych w przypadku strzelania. Zaraz po zakończeniu ćwiczeń przez Wehrmacht na „nasze” łąki wkraczała z łukami Armia Ulicy Topolowej. Mieliśmy również strzały i jeszcze przedwojenne tarcze strzelnicze. Tarcze te były naklejane na tarczownice z płótna workowego napiętego dwustronnie na drewnianej ramie

wypełnionej słomą. Chodziło o to, by strzała przebijając tarczę miękko wchodziła w tarczownicę. Każda tarczownica miała dwie nogi do wbijania w ziemię i do utrzymania jej dzięki temu w pozycji pionowej.

Łucznicy z Armii Ulicy Topolowej strzelali z tych łuków tylko dwa lub trzy razy. Nasi rodzice bali się, że możemy narazić się na przykrości, które w najlepszym razie mogłyby się zakończyć tylko konfiskatą łuków. W związku z tym wróciliśmy do proc, które w tamtych czasach uważaliśmy za broń bardziej nowoczesną. Poza tym proce miały większą donośność. Można było z nich strzelać do dalej znajdujących się celów.



Autor (po lewej) pomaga swojemu tacie przy budowie łodzi żaglowej. Na schodkach stoi jego siostra Wiesia. Obok niej, po lewej, Pani Ciemińska z domu po drugiej stronie ulicy (Topolowa 1).

35. SPÓŁA

W czasie okupacji niemieckiej najtrudniej było zdobyć tłuszcz. Olej rzepakowy szmuglowany ze wsi był prawdziwym rarytasem. Do kraszenia kartofli często używano rozpuszczonego szpiku z kości przesmażonego z cebulką.

Pamiętam, że kiedyś udało się kupić naszej mamie kawałek słoniny. Przed jej stopieniem razem z moją siostrą Wiesią posmarowaliśmy sobie nią kartkowy chleb. Smarowanie polegało na tym, że nożem można było z niej zeszkrobać trochę białego tłuszczu, który wyglądał i na pewno smakował jak najprawdziwszy smalec. Wiesia zjadła swoją kromkę w domu, ja zaś wyszedłem z moją na podwórko.

– Tadek, spółka! – Krzyknął mój kolega Janusz, z którym grałem w „spółę”. Zasady tej gry polegały na tym, że wszystkim, co było do jedzenia, dzieliliśmy się po połowie.

Trochę byłem zły na siebie, że akurat wtedy wyszedłem z domu. Ale tylko przez moment. Zasady, zobowiązania i reguły gry są święte. Zgodnie z nimi połowę tego niebiańskiego przysmaku odpaliłem koledze.

A tak na marginesie. Wielka szkoda, że to, co dla moich kolegów i dla mnie było oczywiste kilkadziesiąt lat temu, że z zobowiązań należy się wywiązywać, obecnie nie wszystkim trafia do przekonania, zwłaszcza politykom.

36. DUMA

Przemek – Cimu, Janusz – Jancybuła, Zygmunt – Walu i ja – Tintirla, pomagaliśmy ludziom wysiadającym na przystanku EKD (Elektrycznej Kolejki Dojazdowej) Tworki w odnoszeniu paczek do domu. Zarabialiśmy w ten sposób grosze, ale jakieś własne pieniądze mieliśmy. Najdłuższy kurs, jaki się nam trafił, to było zanieśenie paczek aż za żbikowski kościół. Pi razy drzwi jakieś trzy kilometry. Paczki odnosiliśmy siostrom zakonnym, które mieszkaly za tym właśnie kościołem. Wydarzenie to zapamiętałem jednak z innego powodu.

Kopiec i pomnik Tadeusza Kościuszki na Żbikowie (pomnik był chyba wtedy zdemontowany i ukryty) był w tamtych czasach miejscem zbiórki Pohulanki. Taką nazwę miała wtedy nieformalna grupa trochę od nas starszych łobuziaków. Dźwigając paczki zakonnice, przechodziliśmy obok nich i wtedy oni głośno krzyknęli: Patrzcie, idą tworkowscy tragarze.

Każdy z nas poczuł się kimś ważnym. Byliśmy dumni. Nie byliśmy byle kim. Byliśmy tragarzami.

Zarobiliśmy na tym kursie niewiele. Po pięćdziesiąt groszy dla każdego. Nie pieniądze były jednak wtedy ważne. Dostaliśmy również po jednej cytrynie. Nie wiem, skąd siostry je miały. Podczas okupacji niemieckiej były one nieosiągalne. Ta cytryna, którą przyniosłem wtedy do domu, była jedyną cytryną, jaką mieliśmy podczas wojny.

37. FUTRO

chyba oceloty, było przedwojenne i należało do matki jednej dziewczyny z sąsiedniej ulicy. Nie pamiętam, jak ta dziewczyna się nazywała. Otóż postanowiła ona zaimponować swojej koleżance i trochę w tym futrze pochodzić. Początkowo chodziła w nim sama, ale widząc błagalne spojrzenie swojej koleżanki, pozwoliła i jej się nim nacieszyć. Wyglądało to w ten sposób, że defilowały w nim na zmianę dróżką nad rowkiem od ulicy Narutowicza do ulicy Zacisze, tam i z powrotem. Przy zmianie kierunku zatrzymywały się na moment i futro zmieniało „właścicielkę”. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, że spacer w tym futrze odbywały podczas sierpniowego upału.

38. MOJA PIERWSZA KOMUNIA ŚWIĘTA

miała miejsce w kościele w Tworkach dnia 2 czerwca 1941 roku. Przystąpiło do niej dużo moich kolegów, wśród nich (razem ze mną) czterech żołnierzy z Armii Ulicy Topolowej: Zygmunt Lechański, Janusz Jasiński, Zdzisiek Jaszczaż i ja. Z Armii Ulicy Kochanowskiego przystąpił tylko Kazio Ciesielski. Komunii udzielił nam nasz prefekt szkolny, ksiądz Franciszek Bujalski. Ze względu na wagę tego wydarzenia, już na miesiąc przed uroczystością między naszymi armiami zawarty został rozejm, to znaczy przestaliśmy się naparzać. Czas pokoju był przez nas wykorzystywany na pobieranie nauk przedkomunijnych. Nie mając wtedy o tym nawet błędnego pojęcia, powtórzyliśmy zachowania starożytnych Greków, którzy w okresie olimpiad, a właściwie igrzysk olimpijskich, nie prowadzili wojen.

W dniu poprzedzającym komunię odbyła się spowiedź. Trochę się denerwowałem, ponieważ zgubiłem spis grzechów – oczywiście moich grzechów – zanotowanych na kartce papieru na podstawie rachunku sumienia z książeczki do nabożeństwa. Na szczęście nie było ich dużo, pamięć miałem dobrą i szybko ten spis odtworzyłem.

W pięknym małym kościółku, który pierwotnie był cerkiewką, było bardzo uroczyście. Zza ołtarza uśmiechała się do nas Matka Boska, namalowana na ścianie przez artystę malarza, pensjonariusza tworkowskiego szpitala. Miała twarz jego narzeczonej. Była bardzo dobra i pogodna. Prawdziwa matka. Cały kościół wypełniały dźwięki skrzypiec. Dochodziły one z chóru,

grał na nich nasz nauczyciel, pan Stefan Wasiak. Głos tych skrzypiec brzmiał dla nas niebiańsko.

I wtedy doszło do zabawnego wydarzenia. Obok buta kłęzącego przed nami chłopca leżał liść. Mój sąsiad podniósł go i położył na tym bucie. Nie wiem dlaczego, ale wtedy wydało nam się to strasznie śmieszne. Z trudem udało nam się opanować śmiech. A przecież śmianie się i rozglądanie w kościele według nauk przedkomunijnych było, wprawdzie niewielkim, ale zawsze grzechem. Nie było już czasu na pójście do poprawki. Przyszła nasza kolej na przystąpienie do komunii. Doszliśmy do wniosku, że Panu Bogu też może to zdarzenie wydało się zabawne. Przyjeliśmy Go.

Swoją pierwszą Komunię Świętą zapamiętałem z jeszcze jednego powodu. Miałem nowe buty. Były wprawdzie dla mnie za duże i wyglądały tak, jakby były pożyczone od dużo starszego brata. Ale nie były. Po pierwsze, nie miałem starszego brata, a po drugie, były robione na zamówienie u najlepszego szewca w naszym mieście, Pana Chaberskiego. Dowiedziałem się o tym od Kazimierza Lewandowskiego, który mieszkał na tej samej ulicy.

Mama specjalnie zamówiła większe, ponieważ miałem wtedy skończone dziesięć lat, ciągle jeszcze rosłem i miały mi one służyć przez kilka lat. Była wojna i u nikogo się wtedy nie przelewało.

39. RĄBANKA

W końcu maja albo na początku czerwca 1941 roku szosą warszawską, czyli ulicą 6 Sierpnia w Pruszkowie, w kierunku Warszawy – czyli na wschód – trwał całonocny przemarsz i przejazd niemieckiego wojska. Dużo rowerzystów i piechurów. Plecaki tych żołnierzy i inny ekwipunek jechały na wozach konnych powożonych przez polskich chłopów. Były to tak zwane podwozy, zorganizowane przez władze okupacyjne. Z chłopakami z Topolowej siedzieliśmy na schodkach domu Fabiana i oglądaliśmy ten przemarsz. Niedaleko nas stali volksdeutsche ze szkoły Hitlerjugend na naszej ulicy. Stali i wyciągniętymi rękami pozdrawiali armię narodu, do którego dopiero co wstąpili. Rozpierała ich duma. Prężyli się tak, że wyglądało to komicznie.

Wkrótce doszło do zerwania paktu Ribbentrop – Mołotow i do wojny na wschodzie. Po roku, a zwłaszcza po Stalingradzie, przez Pruszków w kierunku zachodnim często przejeżdżały pociągi sanitarne składające się z wagonów sypialnych. Przez otwarte okna było widać zabandażowanych rannych żołnierzy niemieckich. Może byli to ci sami, których wcześniej oglądaliśmy dziarsko maszerujących na wschód. Starsi mieszkańcy Pruszkowa, stojąc przed zamkniętym szlabanem kolejowym mówili, że jedzie pociąg z rąbanką.

40. PISANKI

Nie znam daty aresztowania brata naszej mamy, Zygmunta Dzierlińskiego, który po aresztowaniu przebywał w więzieniu gestapo na Pawiaku w Warszawie. Na podstawie daty na stemplu karty (11 sierpnia 1941 roku) pisanej do niego przez żonę, Stefaninę Dzierlińską, można wysunąć wniosek, że aresztowanie wujka nastąpiło nie później niż w połowie lipca 1941 roku (obecnie karta ta znajduje się w Muzeum Więzienia Pawiak).

Nie wiem, czy Zygmunt Dzierliński należał do Służby Zwycięstwu Polski, czy do innych organizacji konspiracyjnych. Nikomu z rodziny o tym nie mówił. Stosunkowo niedawno dowiedziałem się od mojej siostry Wiesi, że przed wojną aż do aresztowania go przez gestapo w 1941 roku, wujek nasz pracował w magistracie w Warszawie w charakterze urzędnika. Od siostry dowiedziałem się również, że wujek był aresztowany jako zakładnik.

W czasie pobytu wujka na Pawiaku otrzymaliśmy od niego dwie informacje. Pierwsza – to gryps. Nie wiem, w jaki sposób dotarł do nas. W grypsie wujek prosił o ranne pantofle, pisał również, że bolą go pięty. Znacznie później miałem się dowiedzieć, co oznaczały te słowa. Druga wiadomość to karta napisana oficjalnie do siostry wujka, Klary Dzierlińskiej. Jeszcze kilka lat temu karta ta była u nas w domu. Niestety, mimo dwukrotnego przewrócenia całego domu do góry nogami, nie udało mi się tej karty odnaleźć. Dlatego jej treść przytoczę z pamięci. Wujek pisał:

Liebe Klarciu!

Ich bin gesund, und fühlt mir gut.

I pomyśleć, że słowa te napisał człowiek, który nie mógł stać i nie mógł chodzić, ponieważ miał rozbite pięty.

Pamiętam jeszcze jedno wydarzenie związane z pobytem wujka na Pawiaku. Przed Świętami Wielkanocnymi w 1942 roku jako jedenastolatek razem z bratem i siostrami wujka malowaliśmy jajka – pisanki, które w paczce żywnościowej o wartości 50 zł (droższych nie było wolno), razem z rannymi pantoflami, zostały wysłane na Pawiak. Była to ostatnia paczka od nas. Według informacji uzyskanych w muzeum Więzienia Pawiak, dnia 17 kwietnia 1942 roku odszedł transport 468 więźniów do KL Auschwitz. W dniu następnym do obozu przybyło 461 więźniów, którzy otrzymali numery od 30937 do 31397. W transporcie tym był mój wujek, Zygmunt Dzierliński. Siedmiu więźniów nie dojechało.

Karty pisane do wujka na Pawiak znajdują się obecnie w miejscu, do którego były adresowane. Za ich przekazanie otrzymałem następujące podziękowanie:

W imieniu Muzeum Więzienia „Pawiak” w Warszawie uprzejmie dziękuję za przesłanie szeregu pamiątek i dokumentów związanych z pobytem Pana Wujka ś.p. Zygmunta Dzierlińskiego na Pawiaku.

Stanowiąc one będą cenny zbiór w kolekcji naszego muzeum.

Dzięki temu również zachowana zostanie pamięć o więźniu Pawiaka Zyguncie Dzierlińskim.

41. WALIZKA

Według informacji uzyskanych w Państwowym Muzeum Oświęcim – Brzezinka, wujek nasz, Zygmunt Dzierliński, został przywieziony do KL Auschwitz w dniu 18 kwietnia 1942 roku transportem z Warszawy. W obozie został oznaczony jako więzień numerem 31011. W dniu 8 czerwca 1942 odnotowano jego zgon.

Wujek nasz przebywał w KL Auschwitz tylko niecałe dwa miesiące (bez 10 dni), ponieważ przyjechał do tego obozu wyniszczony i zmaltretowany podczas pobytu w więzieniu gestapo Pawiak w Warszawie. W zawiadomieniu o śmierci wujka jako powód śmierci podano Herzs Schlag (atak serca).

Na początku sierpnia 1942 roku Klara Dzierlińska, siostra śp. Zygmunta Dzierlińskiego, otrzymała wezwanie do siedziby gestapo w Warszawie po odbiór walizki z ubraniem wujka. Jego ubranie dużo powiedziało nam o jego pobycie na Pawiaku i o pierwszych chwilach w KL Auschwitz. W rannych pantoflach, o które prosił w grypsie z Pawiaka, była krew. Ślady krwi były również na bieliźnie wujka. Spodnie zdjęte razem z kalesonami świadczą o konieczności bardzo szybkiej zmiany ubrania cywilnego na obozowe pasiaki (może ze względu na wielkość transportu).

Do ubrania przyszyty był emblemat więzienia Pawiak (kwadrat z literą P na przekątnej), w kieszeniach marynarki były cztery karty pisane przez żonę i siostry wujka w czasie jego pobytu na Pawiaku oraz wieczne pióro i wieczny ołówek firmy Pelikan. Obecnie wszystkie te przedmioty (z wyjątkiem ubrania) przekazałem do zbiorów Muzeum Więzienia Pawiak. Znajdują się w miejscu godnym.

Ciocia nasza, Klara Dzierlińska, pielęgnowała ubranie wujka jak najświętszą relikwię. Przechowywane było w walizce wujka, z „firmowymi” naklejkami obozu, z naklejonym adresem gestapo na Strasse der Polizei 25 w Warszawie i z nalepkami pocztowymi. Dla zabezpieczenia przed molami ubranie wujka obłożone było bagnem (innego środka przeciw molom wtedy nie było).

Niestety, upływający czas zrobił swoje. Ubranie wujka, kupione jeszcze przed wojną, było w bardzo złym stanie. Nie nadawało się do reperacji i do dalszego przechowywania. Miejscami się rozsypywało. W związku z tym w latach siedemdziesiątych zdecydowałem się na jego spalenie. Uznałem to za najszlachetniejszy sposób jego zniszczenia. Ubranie wujka spaliłem w ogrodzie jego rodziców, a moich dziadków, w miejscu, gdzie rosła grusza Zygmunówka. Było to drzewo posadzone przez niego jeszcze przed pierwszą wojną światową po przeniesieniu się rodziny Dzierlińskich z Warszawy do Pruszkowa. Wtedy każde z dzieci moich dziadków posadziło w ogrodzie drzewko owocowe. Grusza Zygmunówka zmarzła w czasie pierwszej wojennej zimy. W miejscu, w którym rosła, zakopałem popiół i spopieliałe resztki ubrania wujka. Symbolicznie wrócił do miejsca i czasów szczęśliwych. Żył 39 lat.

Obecnie walizka wujka, chyba jako jedyna, która odbyła dwukrotną podróż do obozu, znajduje się w zbiorach Państwowego Muzeum Oświęcim. Przekazałem ją w formie daru protokołem nr 1126/1998. Dużą satysfakcję sprawiło mi podziękowanie, które otrzymałem. Oto jego treść:

Państwowe Muzeum w Oświęcimiu wyraża Panu serdeczne podziękowanie za przekazanie w darze do tut. zbiorów oryginalnej walizy z nalepkami, w której zostały odesłane z b. KL Auschwitz rzeczy osobiste więźnia Zygmunta Dzierlińskiego oraz dokumentacji archiwalnej dot. w/w więźnia.

Waliza wzbogaciła nasze zbiory i została zaewidencjonowana w księdze muzealiów historycznych pod poz. PMO-II-1-2806, natomiast dokumenty zostaną zachowane w tut. Archiwum.

42. RODZICE HALI I JANUSZA

Mimo wojny, okupacji i raczej niedostatku, dzieciństwo w Pruszkowie mieliśmy pogodne. Bawiliśmy się w wojnę, chodziliśmy na ryby, kąpaliśmy się w Utracie, graliśmy w piłkę nożną, jeździliśmy na łyżwach. Od czasu do czasu jednak wojna w sposób gwałtowny dawała znać o sobie.

Najbliższymi moimi sąsiadami byli: mój kolega Janusz, jego trochę od niego starsza siostra, Hala – koleżanka mojej siostry Wiesi, ich mama – Romualda Jasińska i tata – Edmund Jasiński. Pan Edmund był elektromonterem. Za polskich czasów budował port w Gdyni. Zapamiętałem go jako dobroczyńcę chłopaków z Topolowej. Z nastaniem zimy przykręcał nam wszystkim do obcasów specjalne blaszki do mocowania łyżew. Wszyscy wtedy jeździliśmy na turfach i bez tych blaszek byłoby to niemożliwe. Munde, jak o nim mówili moi rodzice, był człowiekiem bardzo uczynnym. Mojej mamie, która była jego sąsiadką i koleżanką od najwcześniejszego dzieciństwa, w czasie okupacji zreperował maszynę dziewiarską do robienia pończoch.

16 listopada 1942 roku pani Romualda Jasińska została aresztowana. Przebywała w Auschwitz – Birkenau, w Ravensbrück i Buchenwaldzie. Pod koniec wojny została przewieziona z Buchenwaldu do zakładów zbrojeniowych w okolicy Magdeburga. Przed powrotem do Pruszkowa w 1946 roku przebywała w amerykańskiej strefie, gdzie poddana była leczeniu i powoli dochodziła do siebie.

Pan Edmund Jasiński był żołnierzem Armii Krajowej. Aresztowany około 20 maja 1943 roku, już 29 maja 1943 roku

został rozstrzelany na terenie więzienia gestapo Pawiak w Warszawie. Wśród wielu pośmiertnych blaszanych tabliczek przybitych do pnia uschniętego drzewa przed tym więzieniem, znajduje się również tabliczka z jego imieniem i nazwiskiem.

Po latach dowiedziałem się od Janusza, że przynależność jego taty do Armii Krajowej i pobyt jego mamy w amerykańskiej strefie okupacyjnej jeszcze w 1946 roku, przekreśliły jego szansę, by zostać lotnikiem. W 1948 roku, w czasie jego pobytu w Służbie Polsce, przeprowadzany był nabór do szkół wojskowych. Wybrał lotnictwo. Przeszedł przez komisję lekarską w tak zwanej Cebuli na Wawelskiej w Warszawie i celująco zdał egzamin w Szkole Orląt w Dęblinie. Schody zaczęły się na ostatecznej komisji mandatowej decydującej o przyjęciu i skierowaniu do odpowiedniej szkoły lotniczej. W komisji tej zasiadali ludzie w polskich mundurach, ze słabą jednak znajomością naszego języka. Byli za to doskonale poinformowani o wszystkich kandydatach. Przewodniczący komisji wytknął Januszowi fakt przynależności jego taty do Armii Krajowej i zbyt późny powrót mamy do Polski po pobycie w amerykańskiej strefie okupacyjnej. – Nu, pewnie ją Anders uczył tam dywersji – zauważył kąśliwie. I patrząc prosto w oczy, scenicznym szeptem powiedział: Nu, wam to tylko dać samolot, to zawtra byście z Polszy sp.....i. Decyzja była natychmiastowa. Janusz nie został lotnikiem.

Mama Hali i Janusza, pomimo nieszczęść, jakie były jej udziałem, była osobą pogodną. Pamiętam, że po moim powrocie z Rawicza w 1955 roku zostałem przez nią zaproszony do nich na pierwszy niedzielny obiad. Pani Romualda Jasińska zmarła 15 maja 1988 roku, 45 lat po rozstrzelaniu jej męża Edmunda Jasińskiego przez niemieckie siły „stabilizacyjne” w Polsce.

43. EGZEKUCJA

Jesienią 1943 roku Niemcy zamknęli dla ruchu niewielki odcinek ulicy Bolesława Prusa od drewnianego mostu na Utracie do budynku Związku Zawodowego Kolejarzy (w czasie okupacji Deutsches Kulturhaus). Przywieźli budami Polaków z zagipsowanymi ustami, ustawili pod murem i ich zastrzelili. Nazajutrz biegłem tamtędy (miałem 12 lat i nie chodziłem, tylko biegałem) do czytelnicy pani Marii Bednarskiej wymienić przeczytaną książkę kowbojską na nową.

Zatrzymałem się przy miejscu egzekucji. Na płytach chodnikowych i w rynsztoku była zakrzepła krew. Tak samo na ceglonym murze, na którym były wyłobienia. Były to ślady niemieckich kul. Przed murem paliły się znicze i leżały kwiaty. Po latach dowiedziałem się, że tak pomordowanych uhonorowali harcerze z Szarych Szeregów.

Po przejściu frontu na tym murze pojawiły się tablice. Ze zdziwieniem przeczytałem, że zbrodni tej dokonali przedstawiciele nigdy nieistniejącego narodu hitlerowców. Może chodziło o poprawność polityczną, by nie urazić Niemców z Enerdowa. Ta efemeryda polityczna już od dawna nie istnieje, a te tablice pozostają w niezmienionej postaci.

Po wojnie parkowy mur rozebrano pozostawiając tylko fragment z miejscem egzekucji. I to był najwspanialszy pomnik w Pruszkowie. Niestety podczas poszerzania ulicy Bolesława Prusa pomnik ten został doszczętnie zniszczony. Miejsce tej egzekucji zostało przesunięte o kilka metrów w kierunku parku. Przedtem jednak należało ponumerować cegły w murze; zrobić

fotografię. Pozwoliłoby to na wierne jego odtworzenie na nowym miejscu. Niestety, cegły ze śladami kul, zbroczone krwią męczenników, wywieziono w najlepszym razie na zwałkę. Postawiono nowy pomnik, a właściwie jego makietę z cegły klinkierowej. Jest gładka i galanta. Szkoda, że z tamtym autentycznym nie ma nic wspólnego. Nie uratowano nawet jednej cegły – relikwii. Niestety, w naszym mieście są ludzie, którzy ten produkt będący brakiem szacunku dla przeszłości nazywają rekonstrukcją.

44. ZENEK

Szymański był moim kolegą ze szkoły powszechnej. Mieszkał na ulicy 3 Maja (wtedy chyba Adolf Hitler Strasse) w Pruszkowie. Drugi parterowy dom po lewej stronie (dzisiaj już nieistniejący), zaraz za przejazdem kolejowym. Jego rodzice byli właścicielami sklepu spożywczego. Jego tata miał na imię Stefan, imienia jego Mamy nie pamiętam. W podwórzu przed wojną był zakład masarski i jakieś zabudowania gospodarcze.

Któregoś dnia nie przyszedł do szkoły. Stracił rodziców i wychowywał go ktoś z jego rodziny. Powszechnie (między nami uczniami) mówiło się, że jego rodzice zostali rozstrzelani przez Niemców za ukrywanie Żydów.

Tak więc w nasze prawie bezgrzeszne życie od czasu do czasu wkraczała wojna z jej tragicznymi skutkami.

45. POWSTANIE W GETCIE

Pamiętam, że zawsze mieliśmy piękny ogródek. W okresie okupacji niemieckiej więcej w nim było warzyw niż kwiatów. Właściwie z kwiatów, nie licząc bzu i krzaku jaśminu posadzonych jeszcze przez babcię i dziadka, mieliśmy tylko maciejkę na niewielkim pasku ziemi pod oknami. Wieczorem pięknie pachniała.

Któregoś dnia w kwietniu 1943 roku moja siostra Wiesia zauważyła na rzodkiewkach, botwinie i na flancach sałaty czarne, spalone, niewielkie kawałki papieru. Gdy spojrzałem w górę, zobaczyłem takie same skrawki papieru lecące z wiatrem z Warszawy. Nie wiedzieliśmy, dlaczego tak się dzieje. Sprawa wyjaśniła się po powrocie naszego taty z pracy w Warszawie. Pracował wtedy w warsztatach firmy Adler remontującej samochody, głównie ciężarowe. Kierownikiem tej firmy, czyli szefem, był volksdeutch Wysocki (imienia nie pamiętam).

Tata powiedział naszej mamie i sąsiadom, że w getcie podczas likwidacji tej dzielnicy Żydzi zaczęli strzelać do niemieckich oddziałów likwidacyjnych, że wybuchło tam powstanie. Niemcy chcąc ograniczyć własne straty przystąpili do palenia miotaczami ognia wszystkich domów, ulica po ulicy. W czasie tych pożarów nad gettem powstawał ogromny słup gorącego powietrza, który posuwał się ku górze, jakby zasysał palące się papiery i windował je bardzo wysoko. Nasz tata znalazł się na tym, ponieważ przed wojną, pracując w warsztatach kolejowych w Pruszkowie, należał jednocześnie do Straży Pożarnej (komendantem tej straży był pan Piotrowski z ulicy Pięknej, ojciec mojej szkolnej koleżanki

Basi). Wiatry w kierunku Pruszkowa przywiewały te skrawki spalonego papieru nad nasz ogródek, odległy od palonego getta o przeszło 17 km. Musiały to być olbrzymie pożary. Wieczorem zza naszego domu było widać czerwoną łunę nad Warszawą. Bardzo było nam żal mieszkających w getcie Żydów.

46. SONIA

była młoda, piękną i wszechstronnie wykształconą dziewczyną. Znała bardzo dobrze język niemiecki. Znajomość tego języka była jej orężem w walce o życie zagrożone tylko i wyłącznie z racji jej pochodzenia. Jej tragedia ma wymiar antyczny, ale wydarzyła się w sercu Europy, w najmroczniejszym okresie dziejów.

Tropiona schroniła się tam, gdzie jest najciemniej, czyli pod latarnią. Tą latarnią był Bawarczyk Eugen Honette, naczelny dyrektor administracyjny szpitala dla psychicznie i nerwowo chorych w Tworkach. Została jego sekretarką. Wtopiła się w środowisko. W chwilach wolnych od pracy grała w siatkówkę z dziewczynami i chłopakami, swoimi rówieśnikami, mieszkającymi w pobliżu szpitala. Razem z nimi kąpała się również w pobliskich gliniankach, oddzielonych od kirkutu torami kolejki EKD, między Pruszkowem a Komorowem.

Jednemu z tych chłopaków wpadła w oko. On jej chyba też, bo zaczęli się spotykać. Zaprzyjaźnili się. I to był jej błąd. Być może jemu tylko przyjaźń nie wystarczała. Tego nie wiem. Nie wiem też, w jaki sposób poznał jej tajemnicę. Może był konfidentem, volksdeutchem czy psychopatą? Zaczął ją szantażować. To był początek jej tragedii (nie licząc oczywiście konferencji w Wannsee). Doprowadzona przez tego szantażystę do ostateczności, postanowiła ze sobą skończyć. Nie widziała innego wyjścia z matni, w jakiej się znalazła. Nie miała jednak dość odwagi, by zrobić to sama.

Postanowiła się ujawnić. O tym, że jest Żydówką, powiedziała swojemu dyrektorowi Eugenowi Honette. Przy tej rozmowie obecny był również starszy pielęgniarz, volksdeutch Okonowski. Może ze względu na obecność świadka Eugen Honette, który nie był służbistą i ludzie wspominali go raczej dobrze, zachował się tak, jak się zachował.

– Fräulein Sonia, czy pani wie, co pani mówi. W zaistniałej sytuacji ja muszę zareagować. Jedno dla pani mogę zrobić. Daję pani trzy godziny.

– Dziękuję panu, panie dyrektorze, to nic nie da. Ja już nie mam siły, nie daję rady, dobiegam kresu wytrzymałości psychicznej.

Po tych słowach zadzwoniła do willi „Pod bocianem” przy ulicy Kraszewskiego, gdzie była siedziba żandarmerii (po wojnie NKWD).

– *Guten Tag. Der Direktor Herr Eugen Honette wolte etwas sprechen**).

Podążyła mu słuchawkę. Przyjechali po Sonię po dwudziestu minutach. Dwadzieścia minut później zastrzelili ją przed bramą zamkniętego kirkutu przy ulicy Lipowej w Pruszkowie. Na niebie świeciło piękne słońce, które było świadkiem jej śmierci. Razem z ptakami z pobliskiego kirkutu – cmentarza żydowskiego. Ptaki poderwały się do lotu i uciekły po serii ze schmeissera. Słońce świeciło nadal, ale już nie dla Soni.

Już po napisaniu tego tekstu, z artykułu Mariana Skwary „Przywracanie Pamięci” zamieszczonego w nr 03/2005 „Głosu Pruszkowa” dowiedziałem się, że Sonia była mieszkanką Warszawy i że nazywała się Sonia Perl. Od pana Mariana Skwary dowiedziałem się również, że Sonia została skierowana do pracy w szpitalu w Tworzech przez Arbeitsamt (Urząd Pracy) w Warszawie. Oczywiście na lewych papierach, na nazwisko Kobryn lub Kober.

*) Dzień dobry. Dyrektor, pan Eugen Honette, chciałby coś powiedzieć.

47. NIESPODZIANKA

Obiady u nas były przeważnie jednodaniowe. Zresztą, nie tylko u nas, tak było u wszystkich chłopaków z naszej ulicy. Na zimę wszystkie nasze rodziny zaopatrywały się w kartofle i kwaszoną kapustę. Kartofle były kupowane, jak to się wtedy mówiło, od chłopów lub sadzone były w ogródkach przy każdym z domów. Kapustę wszyscy kwasili sami. Szatkownik, dzieło naszego ojca, wszyscy pożyczali od nas. Jak ktoś miał metr czy dwa metry kartofli i beczkę kwaszonej kapusty w piwnicy, to głodu nie musiał się bać. Dużym urozmaicheniem jadłospisu był żur gotowany na zakwasie kupowanym od pani Gajewskiej spod piątego naprzeciw szkoły powszechnej im. Stanisława Żółkiewskiego. Robiła go ona ze skórek od chleba i z razowej mąki. Wszyscy moi koledzy i ja specjalnym szacunkiem darzyli jej męża, ponieważ za polskich czasów uszył on skórzane czapki pilotki dla Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury. Każdy z nas miał w swoich zbiorach podłużny zielony znaczek pocztowy za trzydzieści groszy z ich portretami i samolotem RWD-6 o znaku SP-AHN. Pilot Franciszek Żwirko i konstruktor lotniczy Stanisław Wigura zdobyli na tym samolocie pierwsze miejsce na międzynarodowych zawodach samolotów (Challenge) w 1932 roku. W tym samym roku zginęli w katastrofie pod Cierlickiem w Czechosłowacji. Niektórzy z nas mieli również ten sam znaczek z czerwonym nadrukiem Challenge 1934.

Po tej dygresji chciałbym przejść do niespodzianki, jaką zrobiła mojej siostrze Wiesi i mnie nasza mama. W dniu, w którym ją zrobiła obiad u nas był dwudaniowy. Na pierwsze danie

był żur ugotowany na zakwasie od pani Gajewskiej, na drugie na oddzielnych talerzach tłuczone kartofle. Kopce tych kartofli na naszych talerzach wydawały się nam nieproporcjonalnie duże w stosunku do żuru. Sprawa wyjaśniła się w trakcie jedzenia. Mama zrobiła nam niespodziankę, chowając w nich po mielonym kotlecie. Pisanie, że tą niespodzianką mile nas zaskoczyła, byłoby truizmem.

Obrazek ten namalowałem również z innego powodu. Obecnie cholera mnie bierze, jak widzę walający się chleb i bułki w koszach na śmieci lub obok nich oraz inne resztki żywności. Mimo że w czasie wojny o bułkach nawet nie marzyliśmy, to najbardziej boli ten brak poszanowania dla chleba.

48. POKRZYWY I OGIEŃ

Ogród Potulickich w Pruszkowie podczas okupacji naszych obecnych przyjaciół był parkiem nur für Deutsche. Moi koledzy nieopatrznie znaleźli się na lewym brzegu Utraty należącym do tego parku. Nieopatrznie, ponieważ zostali zatrzymani przez niemieckich strażników. Kazano im rozebrać się do naga, po czym przegoniono ich przez pokrzywy przy kanałku nawadniającym staw. Poparzeni wrócili do domu cali w bąblach.

W tym samym czasie inny mój kolega (wtedy jeszcze nie) został zatrzymany na Polesiu – gdzie mieszkał – przez bojców. Ruki w wierch i przesłuchanie na temat kontaktów miejscowej ludności z leśnymi. Naszymi. Gdy niczego się od niego nie dowiedzieli, przegonili go na bosaka przez palące się, a właściwie żarzące ognisko. Poparzony wrócił do domu z bąblami na stopach. Miał wtedy jedenaście lat.

49. ROWEK

Najpiękniejszy na świecie. Płynął z Michałowic poprzez reguły i Malichy. Łagodnym łukiem omijał Tworki i za drewnianym mostkiem u wylotu ulicy Mariańskiej, tuż za domem Walendziaka, skręcał w kierunku ulicy Zacisze. Po przepłynięciu tej ulicy i Narutowicza, zaraz za ogrodem Dutkiewiczów zbliżał się do mojej ulicy Topolowej, by zaraz na początku ogrodu Jasińskich skrócić prostopadle i dopłynąć wprost do Utraty. Przy tym ostatnim zakręcie biło źródółko, które zostało ocembrowane. Może to nie było higieniczne, ale przy tym źródółku był metalowy kubeczek na łańcuszku, zachęcający do picia tej kryształowej wody.

Taka sama woda jak ta źródłana płynęła rowkiem. Dno miał żółte od koloru złocistego piasku. Brzegi miał zabezpieczone drewnianymi kołkami, między którymi przeplecione były gałązki wikliny. Trawa na jego skośnych poboczach była regularnie koszona i grabiona. A przecież był on niczyj. Aż się wierzyć nie chce, ale nie mieliśmy wtedy Ministerstwa Ochrony Środowiska ani nawet żadnego komitetu tą ochroną zajmującego się. Może tak właśnie było dlatego? Nie wiem.

Rowek ten był miejscem naszych zabaw od lat najdawniejszych, czyli jeszcze za polskich czasów aż prawie do końca okupacji niemieckiej. Podobnie jak zasilana jego wodami Utrata, którą sportretowałem na oddzielnym obrazku. Było w nim pełno stynek, cierników – które określaliśmy jako kolki – piskorzy i miętusów. To nad tym rowkiem poznaliśmy po raz pierwszy zasady rozwoju i prawa natury na przykładzie tych cierników – ko-

lek, których samczyki w okresie godowym zmieniały ubarwienie na bardzo jaskrawe, żeby zawrócić w głowie dziewczynom należącym do ich gatunku. W maju nad rowkiem pojawiały się eskadry błękitnych helikopterów. Były to ważki. Miały przeźroczyste skrzydła, dlatego mówiliśmy, że są to latające szklarze.

Raz wykorzystaliśmy ten rowek do kąpieli. Nie pamiętam już, co przeskrobaliśmy, ale mieliśmy szlaban na wyprawy do Utraty i przez to na kąpiel w tej rzece. Niestety, rowek był płytki, dlatego nie słysząc wtedy jeszcze nic o bobrach, postąpiliśmy tak samo, jak te miłe zwierzątka. Zaraz za źródłem zrobiliśmy dość szeroką tamę. Z kąpieli za tą tamą korzystaliśmy znacznie krócej od czasu, jaki był potrzebny na jej budowę. Dorośli kazali nam ją szybko rozebrać i jeszcze straszyl nas karami.

Po wojnie przyszło nowe. Rowek powoli zamierał. Najpierw wyniosły się gdzieś żaby, by później zupełnie zamilknąć. Rawek zaczął zarastać. Zdematerializowały się kołki i wiklina chroniące jego koryto. Jego skarpy oczyszczane były nieregularnie. Krystaliczną wodę zastąpiły nieczystości i fekalia, płynące podobno aż z Ursusa.

W związku z przedłużeniem Alei Jerozolimskich i budową dużej hali „Znicza” zmieniona została jego trasa. Teraz w kierunku Utraty skręca on zaraz po minięciu ulicy Zacisze. Dalej od tego skrzyżowania aż do rzeki płynie on w betonowej rurze. Schował się, jakby się wstydził. A przecież to nie jego wina, że został tak zdewastowany. Że dwa razy do roku, powyżej wlotu do tej rury, w górę, prawie aż do Malich, jest on oczyszczany z garnków, starych konewek, butów, radioodbiorników, telewizorów i innych zużytych zdobyczy cywilizacji. Postęp wymaga ofiar, ale ta była wyjątkowo głupia, bezmyślna i okrutna. Zamordowano najpiękniejszy – bo naszej młodości – rowek świata.

50. STAWY KONDRACKIEGO

położone były po obu stronach drogi prowadzącej na zakręt. Nie były wielkie, wokół nich rozpościerała się łąka, a jeden z nich połączony był z najpiękniejszym rowkiem świata. Wody nie było widać. Całe były pokryte rzęsą, przy brzegach sitowie i tatarak. Były zaniedbane. Od świtu do wieczora dochodził z nich rechot żab. Ale nie tylko. Upodobały je sobie również ptaki nadwodne. Nikt z nas nie przypuszczał, że mogą tam być jakieś ryby. Wędki w tym przypadku były nieprzydatne, ponieważ woda w tych stawach była gęsta od roślin wodnych.

Przemek Jasiński, najmłodszy z Armii Ulicy Topolowej (to dzięki niemu ja miałem w tym wojsku przedostatnie miejsce) wpadł na pomysł, żeby wejść do tych stawów i sprawdzić, czy są w nich ryby. Jak pomyślał, tak i zrobił. Po chwili zaczął wyjmować z wody olbrzymie szczupaki. Wyjął ich kilkanaście. Chodził pochylony z rękami zanurzonymi w wodzie. Jak natrafił na szczupaka, to wyjmował, i wyrzucał na łąkę. Niektóre z nich były porośnięte wodorostami. Musiały w tych stawach przebywać kilka lat. Albo dostały się do nich kanalikiem – przepustem z rowku, albo ich ikra została przeniesiona do tych stawów na błonach między palcami lub na piórach ptaków. W stawach przestoczyła się w ryby, które w ten sposób znalazły się w pułapce.

Przemek był bohaterem dnia. Nic mu nie ujmując, również dlatego, że on jeden na naszej ulicy miał gumowe buty z cholewkami do kolan. A pijawek, ropuch i starych garnków w tych stawach było pełno.

Dziś już nie ma stawów Kondrackiego. Zostały zasypane. W miejscu, w których były, znajduje się nasyp przedłużonych Alei Jerozolimskich. Kończą się one zaraz za Pruszkowem (choć w Pruszkowie mają inną nazwę) przy pałacyku w Helenowie, będącym we władaniu kolejnych Ministrów Obrony Narodowej. Niektórzy twierdzą, że Aleje Jerozolimskie zostały przedłużone, żeby ministrówny miały łatwy dojazd na piknik a ministrowe po darmową rzodkiewkę, koperek i pomidory. Oczywiście nie mają racji, ale w tym co mówią, być może kryje się ziarno prawdy. Bo gdyby było inaczej, to ta droga pociągnięta byłaby dalej.

51. RZKA

Dla moich kolegów z Topolowej i dla mnie Utrata była taką samą rzeką jak Missisipi dla Tomka Sawyera i Hucka Finna. Wprawdzie była od tamtej nieporównywalnie mniejsza, ale nie wypadła sroce spod ogona. Jak dowiedziałem się znacznie później od mojego przyjaciela, Jurka Miszańskiego, artysty malarza i doktora nauk geograficznych – że wymienię tylko te dwie z jego licznych profesji – dorzecze Utraty stanowi niewielki fragment pradoliny Wisły, którą utworzyły niegdyś wody topniejącego lodowca. Dorzecze to ma charakter równinny, monotony, ożywiony malowniczo przez zatorfione doliny drobnych rzeczek, rowki i przez przylegające do nich pola uprawne, łąki i lasy. Tak było w moich szczenięcych latach. Obecnie możemy zaobserwować postępującą degradację Utraty. Dlatego w obrazku niniejszym chciałbym ją pokazać taką, jaka była w latach mojej najwcześniejszej młodości.

Używając obecnego języka, powiem że Utrata w obrębie Pruszkowa podzielona była na strefy wpływów. Od mostu kolejki EKD w kierunku Pęcic władali nią Tworkusy, czyli chłopaki z Tworek. Na odcinku od tego mostu, poprzez drewniany wodospad w Parku Potulickich, aż do drewnianego mostu przy ulicy Bolesława Prusa niepodzielnie panowały chłopaki z Topolowej, Kochanowskiego, Bursowej, 6 Sierpnia, Narutowicza i z ulicy Zacisze. Odcinek od tego drewnianego mostu w dół rzeki był domeną chłopaków ze Żbikowa. Najsilniejsi z nich tworzyli grupę o nazwie Pohulanka. Jeżeli chodzi o mnie i o moich kolegów z Topolowej, to nie zapuszczaliśmy się poza ten środkowy odcinek.

nek Utraty jeszcze z jednego powodu. W miarę możliwości musieliśmy się znajdować w zasięgu głosu naszych mam.

Zacznę od tego, że miała ona wtedy niewyobrażalnie dziś czystą wodę, zwłaszcza poniżej drewnianego wodospadu w Parku Potulickich. Powyżej wodospadu nurt był wolniejszy, stąd lekko zamulone dno, siedlisko linów, na które mówiliśmy linki. Na odcinku od mostu kolejki EKD w kierunku Parku Potulickich płynęła prosto między szpalerami drzew, by skrócić i ukosem dopłynąć do wodospadu. Jeszcze przed wodospadem wykopany był kanał nawadniający największy staw w parku. Ten odcinek rzeki był stosunkowo głęboki. Wykorzystywano go do kąpieli i na kajakowanie. Oczywiście robili to starsi od nas.

Obecnie ten odcinek rzeki nie istnieje. Jego koryto zostało zasypane śmieciami i Utrata płynie wykopanym obok kanałem. Nie ma też wodospadu, a po kanale nawadniającym staw w parku pozostało bezwodne zarośnięte chaszczami wgłębienie.

Dla nas najpiękniejszy był fragment rzeki od wodospadu do Zakrętu. Dwa słowa o Zakręcie. Mieścił się on na optycznym przedłużeniu ulicy Narutowicza. Na przedłużeniu, ponieważ kończyła się ona przy posesji Dutkiewiczów, przed drewnianym mostkiem nad rowkiem płynącym prostopadle do niej. Dalej w kierunku Utraty to już nie była ulica, lecz polna droga między łąkami. W jej połowie po obu jej stronach znajdowały się dwa stawy Kondrackiego, natomiast na końcu, prawie tuż przy Utracie, stał dom pana Bau, który pracował w elektrowni. To właśnie tą drogą chodziliśmy, jak to się wtedy mówiło, na Zakręt. Ale nie zawsze. Na łąkach przy tej drodze często odbywały się ćwiczenia wojskowe jednostki Wehrmachtu, której koszary znajdowały się w naszej szkole powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Oczywiście nas z budynku tej szkoły wyrzucili. W takich sytuacjach do Utraty wędrowaliśmy nad rowkiem, który skręcał w kierunku rzeki przy naszej ulicy. Rowek ten przekakiwaliśmy przy samej rzece. Musieliśmy uważać, bo w tym miejscu był on dość szeroki i pełno w nim było kijanek. Żeby go przeskoczyć musieliśmy się wcześniej trochę rozpedzić.

Zakręt to było miejsce szczególne. Rzeka płynąca od wodospadu w głębi parku w tym miejscu zmieniała kierunek i dalej płynęła już prosto oddzielając boisko piłkarskie „Znicza” od Parku Potulickich. Zakręt był przez nas wykorzystywany do kąpielii. Rzeka zmieniając kierunek, wypłukiwała piasek i było tam stosunkowo głęboko. Do pasa. Pływaliśmy „po piasku”, „po kozacku” i „w rozgarniankę”. Wypłukany piasek razem z piaskiem z podmytego brzegu tworzył złocistą plażę, na której opalały się na kocach dziewczyny. Od czasu do czasu piły kompot, przeważnie z rabarbaru, ponieważ rabarbar był najtańszy, a do tego jeszcze w wielu miejscach rósł na dziko. My woleliśmy siedzieć na wysokim trawiastym brzegu, skąd roztaczał się wspaniały widok na park z ukwieconą polaną na pierwszym planie i w kierunku wodospadu na meandry Utraty.

Ryby na wędki (olszyna i splawiki z kory) łowiliśmy za wodospadem, na wodospadzie i przed wodospadem. Za wodospadem linki, ale rzadko. Trzeba było mieć do nich anielską cierpliwość. Brały, brały, a potem wypływały dżdżownicę. A jak udało się już linka złowić, to trzeba było bardzo uważać, żeby nie pobrudzić jego słuzem ubrania, ponieważ potem nasze mamy nie mogły go doprać. Na wodospadzie, ponieważ miał on drewnianą podłogę, w której były dziury. W przypadku, gdy podnoszono poziom wody za wodospadem, klękaliśmy na tej podłodze i z dziur tych na czuja, bo splawika nie było widać, wyciągaliśmy okonie. W dołku tym również były sumy i szczupaki. Zdarzało się, że z jednej strony tego dołka wędkowaliśmy my, a z drugiej, od strony parku, który był wtedy *nur für Deutsche*, *volksdeutsche* z Hitlerjugend. Uważaliśmy, żeby nam się nie poplątały wędki. Nie dlatego, żebyśmy się ich bali. Po prostu woleliśmy z gnojami nie mieć nic wspólnego.

Między wodospadem a Zakrętem Utrata miała dwie lub trzy zatoczki. W zatoczkach łowiliśmy ryby, ale metoda była inna. Były one płytkie. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale linki i kielbie oraz miętusy i piskorze łowiliśmy dużym koszem do bie-

lizny. Dwóch chłopaków trzymając taki kosz za uszy, zanurzało go w wodzie, opierając go o dno, a trzech, czterech, brało się pod ręce jak piłkarze przy obronie bramki podczas rzutu wolnego i zbliżając się do tego kosza, mącąc wodę, naganiało do niego ryby.

Inaczej też wyglądał odcinek rzeki od Zakrętu do drewnianego wtedy mostu ulicy Bolesława Prusa. Przede wszystkim miał naturalne brzegi, nie takie jak teraz. Utrata nasączała przylegające do niej grunty, stąd obfitość traw, kwiatów łąkowych, ptaków wodnych i śpiewających, żab, ropuch i innej fauny. W jej naturalnych brzegach było pełno nor. Jesienią więksi od nas polowali przy tych norach na piżmowce. Ta rzeka była dla nas jak otwarta księga przyrody. Choć wtedy o tym nie myśleliśmy, była ona przykładem dobrej gospodarki. Tuż przed mostem, od strony parku, znajdowała się niewielka zatoczka. „Wypłukana” została przez wodę wypływającą przepustem z parkowego stawu. Teraz też jest, ale w stanie szczątkowym i nie ma w niej kielbików. Dzięki stałej i szybkiej wymianie wody w tym stawie on nie zarastał, nie było w nim tyle „zielicha” – jak mówią wędkarze – co teraz. I po co było to wszystko zmieniać.

Nie ma już Utraty mojego dzieciństwa. Jej obrazek pokazuję i przekazuję go najmłodszym mieszkańcom Pruszkowa.

52. TORF

Wykopywany był na łące podchodzącej do naszej ulicy, tuż za budynkiem, a właściwie za ogrodzeniem domu Huberta i Hopenego. Między rowkiem, który skręcał wtedy do Utraty tuż przy ogrodzie Jasińskich a ogrodem Huberta, był wykopany głęboki rów. Bronił on dostępu do kopalni torfu i do drogi, a raczej ścieżki biegnącej za tym ogrodem. Kostki torfu miały kształt cegieł i wyrabiane były w sposób znany już w starożytności przy wyrobie niewypalanych cegieł. Drewniane kraty o strukturze dziurawych waflów były w pozycji poziomej wypełniane mokrą masą torfową. Po wstępnym przeschnięciu torfu krata taka była podnoszona do góry. Następnie tak uformowane „cegiełki” torfu były na kilka dni układane w niewielkie ażurowe pryzmy – kopczyki. Po ich całkowitym wyschnięciu sprzedawane były mieszkańcom Pruszkowa na opał. Było to paliwo alternatywne w stosunku do węgla kupowanego od kiciarzy.

Przy ich wyrobie pracował Walu, czyli nasz kolega z sąsiedniego podwórka, Zygmunt Lechański. Miał wtedy dziesięć lat. Mówiliśmy na niego Walu, ponieważ jego tata miał na imię Walenty. Pan Lechański dostał się do ruskiej niewoli, skąd mu się udało wyrwać z armią generała Andersa. Do domu wrócił po wojnie. Póki co Walu musiał pracować, żeby pomagać swojej mamie Mariannie i siostrze Kazi.

53. NADRÓBKİ

to słowo raczej obecnie nieznane. Ponad sześćdziesiąt lat temu podczas okupacji niemieckiej nadróbki były jednym z symboli przedsiębiorczości Polek i Polaków. Podczas tej okupacji brakowało wszystkiego. Nie było co jeść, nie było czym palić, ubrania się wydzierały, buty się rozpadały i skarpetki kończyły swój żywot, głównie stopy, nękane dziurami na palcach i na piętach. Skromne przydziały produktów żywnościowych na kartki były uzupełniane szmuglem, który rozwinął się na niespotykaną nigdzie poza Polską skalę. Zapatrzeniem w węgiel zajmowali się kicjarze, którzy zrzucali go z niemieckich transportów kolejowych. Z ubraniami radzono sobie w ten sposób, że były one przerabiane, nicowane i łatane. Ze względu na brak skóry na podszwy pojawiły się drewniaki, czyli buty na drewnianych spodach. Na spodach jednolitych i na spodach zginanych. Miałem jedno i drugie. Lepsze były zginane, w których dwa kawałki grubych drewnianych zelówek połączone były przybitymi do nich kawałkami skóry. Z braków, jakie się u nas pojawiły podczas wojny, najwcześniej dał znać o sobie brak pończoch i skarpet. I tu dochodzimy do tytułu obrazka, czyli do nadróbek.

Istotą nadróbek było to, że od zniszczonych pończoch czy skarpetek odcinano „spód stopy” łącznie z „piętą” i z „palcami” i przyszywano w to miejsce nowe kompletne spody. Stąd ich nazwa. Tak nadrobione pończochy i skarpety wyglądały jak nowe. Cały ten interes rozkręcił w Pruszkowie pan Lenartowicz, który miał sklep tekstylny na ulicy Kraszewskiego obok sklepu Pamsa. Piszę, że rozkręcił, ponieważ następną fazą była produkcja

całkowicie nowych pończoch i skarpetek. Zarówno nadróbki jak i nowe pończochy i skarpety wykonywane były nielegalnie systemem chałupniczym. Pan Lenartowicz wypożyczał maszyny dziewiarskie i dostarczał przędzę. Jedną z takich chałupniczek była nasza mama, która później się usamodzielniała i po odkupieniu maszyn od pana Lenartowicza pracowała na własny rachunek. Udział w tej produkcji miał również nasz tata, który wykonywał specjalne „kopyta” do prasowania pończoch i skarpetek w celu nadania im odpowiedniego kształtu. Nie będę tu opisywał całego procesu technologicznego. Jedną z jego faz było farbowanie białej przędzy na dwa kolory. Kolor o nazwie „tango” był zbliżony do koloru lekko rozbielonej kawy zbożowej, a kolor „fokstrot” zbliżony do koloru rozbielonego kakao. Inne kolory były niedostępne. Skarpetki komunijne nie były farbowane.

Wspomnieniem tym chciałem ocalić od zapomnienia jeden z przejawów działalności i zaradności Polek i Polaków w trudnych warunkach okupacji niemieckiej.

54. PECH

Zabawy wymyślaliśmy różne. W jednej z nich główną rolę grała zapalona latarka z przywiązany do niej sznurkiem. Wieczorem zapaloną latarkę kładliśmy na ulicy przed bramą domu Jasińskich. Reflektorem do ziemi, lekko podpartym na okrągłym kamyku, tak że przechodnie widzieli, że coś się świeci, z tym, że nie wiedzieli co. Sznurek od latarki przeprowadzony był pod bramą, za którą siedzieliśmy ukryci.

Zabawa była pyszna. Gdy już widzieliśmy rękę prawie chwytającą latarkę, pociągaliśmy (na zmianę) sznurek i latarka, czasami oświetlając schylającą się postać, przesuwała się za bramę. Bezpieczni za zamkniętą bramą krzyczeliśmy wtedy: Panie, pan jest siódmy. Udało nam się dwanaście razy. Trzynastą osobę też w ten sposób nabraliśmy, ale trzynastka przyniosła nam pecha. Nabrany przez nas facet zawrócił i nie schylając się po latarkę, nadepnął na sznurek między latarką a bramą. Myśleliśmy, że będzie już po niej, ale dał się udobruchać i ją nam oddał. Od tego momentu już się tak nie bawiliśmy. Trzeba było wymyślić coś nowego.

55. ISIE BOSIE

Któregoś dnia wybraliśmy się kolejką EKD, czyli ekadzią – jak o niej mówiliśmy – do Warszawy, by zobaczyć relikwie świętego Andrzeja Boboli. Oczywiście w domu nic o tym rodzicom nie mówiliśmy, bo byliśmy jeszcze szczawie i na pewno by nas nie puścili. Pojechaliśmy na gapę, ponieważ kolejka ta tak wrosła w pejzaż podwarszawski, że traktowaliśmy ją jak składnik pejzażu. A przecież za niebo, drzewa czy rzekę, również nieodłączne elementy tego pejzażu, się nie płaci. Poza tym uważaliśmy ją za kogoś bliskiego, wydawało się nam, że jesteśmy z nią zaprzyjaźnieni.

Wysiedliśmy na ostatnim przystanku na Nowogrodzkiej, przy Marszałkowskiej. Po wyjściu z kolejki zorientowaliśmy się, że wszyscy nam się jakoś dziwnie przyglądają. Otóż albo w pośpiechu, albo żeby w domach nie wzbudzać podejrzeń, na tę wyprawę wybraliśmy się prawie wszyscy na bosaka. Prawie, ponieważ jeden z nas był w sandałkach.

Nolens volens zrezygnowaliśmy z kontynuowania wycieczki i tą samą kolejką wróciliśmy do Pruszkowa. Najbardziej niezadowolony takim obrotem sprawy był nasz kolega, który miał sandałki. Nie pamiętam już, czy to ze złością, czy z dumą lub zadowoleniem kilka razy wykrzykiwał: i sie bosie, a ja w butach. Nie bardzo wiedzieliśmy, o co mu chodzi. W końcu zorientowaliśmy się. Okrzyk ten wyrażał jego wyższość nad nami. Że isie, to wszyscy, a bosie – boś, czyli, że my wszyscy na bosaka, a on jeden w butach. Nie powiem, jak się on nazywał, ponieważ to nie jego wina, że seplenił. Był dobrym kolegą, a z czasem to seplenie mu przeszło.

56. ZDZISIO JASZCZAK

miął dwanaście lat. Zginął tragicznie w lutym 1942 roku. Dzień ten zapamiętałem również dlatego, ponieważ był to dzień pogrzebu naszej sąsiadki, pani Marii Gomulińskiej*).

Są dwie wersje tego tragicznego wydarzenia, różniące się szczegółami. Jedno jest pewne. Zginął, ponieważ po jego brzuchu przejechał niemiecki samochód. Według jednej wersji Zdzisiek uciekał przed niemieckim samochodem, który dogonił go na chodniku przy schodkach domu Fabiana na rogu naszej Topolowej ulicy i ulicy za polskich czasów 6 Sierpnia, w okresie okupacji niemieckiej Warschauerstrasse. Według drugiej wersji, szofer chciał go wyminąć, ale niestety skręcił w kierunku przebiegającego przez jezdnię chłopaka.

Samochód po przejechaniu Zdziska nie zatrzymał się. On sam zerwał się i przybiegł do domu – biegł prawie 100 metrów. – Mamo, samochód mnie przejechał – tyle zdążył jeszcze powiedzieć – i zemdlął.

Szybko na noszach został przeniesiony do szpitala na Piękną. Zmarł podczas operacji. Prawie wszystkie organa wewnętrzne miał zmiażdżone. Nigdy bym nie uwierzył, że w takim

*) Matka trzech synów. Kapitana saperów, Władysława, zamordowanego w Katyniu, pułkownika Franciszka, walczącego w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i dyrektora szkół mechanicznych przy Zakładach Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki w Pruszkowie – Juliana. Ten ostatni jest patronem ulicy Gomulińskiego w naszym mieście.

stanie, po takim wypadku, można było jeszcze przebiec prawie 100 metrów, gdyby nie to, że zdarzenie takie naprawdę miało miejsce. Nie wiem. Nerwy, a może chęć życia, dała mu jeszcze tyle siły.

57. PANI PISKORSKA

mieszkała w domu Poradowskich na naszej ulicy. Na facjacie, czyli w niewielkim pokoiku na poddaszu. W czasie okupacji niemieckiej codziennie chodziła na Domaniew za cmentarzem żbikowskim, skąd przynosiła w bańkach mleko. Jesienią i zimą, okutana kraciatą chustą, codziennie w obie strony przemierzała po kilka kilometrów. Dzięki niej mieszkańcy naszej Topolowej ulicy mieli mleko prosto od krowy, a ona i jej syn Wacek „Piskorz” skromne utrzymanie. Była niepozorna i nie rzucała się w oczy. Nie pamiętam, jak odeszła.

58. „BOHATERSKI MIŚ”

czyli „Przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie”. Nie pamiętam autora tej książeczki. Przygody misia na wojnie poznałem dzięki odwadze – nie waham się tu użyć tego słowa – Pana Stanisława Radomskiego, który w piątej klasie szkoły powszechnej – za polskich czasów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego – w Pruszkowie uczył nas polskiego. Była okupacja, czwarty rok wojny i języka polskiego można się było uczyć tylko z licencjonowanego przez władze Generalnej Guberni – taką nazwę miała wtedy Polska – miesięcznika „Ster”. Odpowiednikiem tego pisma dla szkół zawodowych był miesięcznik „Wektory”. Zarówno „Ster”, jak i „Wektory” były wyprane z wszelkich treści patriotycznych. Były nudne jak przysłowiowe flaki z olejem.

Odrutką na „Ster” były przygody pluszowego niedźwiadka na wojnie, z którymi na lekcjach języka polskiego zaznajamiał nas Pan Stanisław Radomski. Dzięki temu poznawaliśmy nie tylko piękno języka ojczystego. Poznawaliśmy również naszą historię, ponieważ wszystkie przygody bohaterskiego misia wydarzyły się na wojnie w obronie Lwowa. To dzięki temu misio-wi dowiedzieliśmy się o bohaterstwie Dzieci Lwowa, o naszych Orłętach.

Bohaterski był również Pan Stanisław Radomski. Po wojnie dowiedziałem się, że był on żołnierzem Armii Krajowej, armii jedyne Państwa Podziemnego w okupowanej przez Niemców Europie.

59. NOŻE, NOŻYCZKI, GARNKI

Za polskich czasów i podczas okupacji niemieckiej oraz dość długo po wojnie na naszej ulicy pojawiali się przedsiębiorcy, czyli faceci prowadzący – jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – własną działalność gospodarczą. Były to osoby barwne i hałaśliwe, ponieważ tego wymagał ich interes. Wyposażenie swojej firmy nosili na plecach lub ciągnęli na niewielkich wózkach.

Nożownicy, czyli faceci ostrzący noże i nożyczki oraz części maszynek do mielenia mięsa, mieli kołowrotki o konstrukcji jak maszyna do szycia i o takim samym napędzie. Napęd ten nadawał obroty okrągłym kamieniom szlifierskim, na których to kamieniach ostrzono przyniesione przez okolicznych mieszkańców noże i nożyczki. By ich przywołać, każdy z tych nożowników uderzał młotkiem w podskakującą sztabkę, która czyniła niesamowity hałas. Przymocowana luźno na jednym gwoździu podskakiwała jak wariatka. Wtórowało jej nawoływanie nożowników.

Naprawiacze garnków nie mieli takich urządzeń marketingowych, dlatego w celu przywołania klientów musieli zdzierać gardła. W związku z tym od czasu do czasu rozlegało się w okolicy przeciągłe wołanie: staaare gaaarnki druuuutuje, reeeperuje, staaare gaaarnki druuuutuje, reeeperuje. Niektórzy z nich mieli poszerzoną ofertę. Proponowali również lutowanie. Do tego potrzebna była kolba i prowizoryczny piecyk.

Tych pionierów liberalnej gospodarki wspierali szmaccarze. Chodzili po podwórkach wołając: staaare szmaaaty, staaare laaachy kuuupuje, staaare szmaaaty, staaare laaachy kuuupuje.

W rzeczywistości tych szmat i tych łachów nie kupowali, tylko wymieniali je na miski, szklanki, talerze czy salaterki. Był to więc handel barterowy, towar za towar, choć wtedy nie znałem tego słowa.

60. WYCINANKI

Dosyć długo w sklepach można było kupić przedwojenne wycinanki do sklejania. Były to lokomotywy, wagony towarowe i osobowe, wagoniki kolejki EKD i zagrody wiejskie. Samoloty i czołgi były wycofane, ponieważ samoloty miały czarno-białe szachownice a czołgi nasze orły. Wycinanki te były jednak dla nas za drogie.

Razem z chłopakami sami je więc sobie projektowaliśmy, wycinali i sklejali, zwłaszcza czołgi, samoloty i okręty. Niedościęgniętym mistrzem w tych pracach był Bobek Jasiński z sąsiedniego podwórka. Klej stolarski – bardzo mocny – dostarczał nam mój tata, który był stolarzem, farby olejne czy lakier do malowania był od ojca innego kolegi. Nasze czołgi, samoloty i okręty były wspaniałe i dość trwałe. Kadłuby okrętów miały ożebrowanie i balastowane dno. Dzięki temu balastowi utrzymywały równowagę i pozycję pionową na wodzie. Te zabawki robione przez nas samych, uczyły nas czegoś. Projektowania, zależności między geometrią płaską (wtedy nie wiedzieliśmy, że była to Euklidesowa) a przestrzenną.

Te nasze wycinanki wspominam nie tylko ze względów sentymentalnych. Obecnie żał mi dzieciaków obdarowywanych plastikowym chłamedem – żeby nie powiedzieć szajsem – i to w masowych ilościach. Nic przeto dziwnego, że dzieci tych zabawek nie szanują i porzucają je po otrzymaniu kolejnej.

CZĘŚĆ CZWARTA

MÓJ SIERPIEŃ

To tytuł wspomnień, migawek i zdarzeń z sierpnia 1944 roku w Pruszkowie, zanotowanych przez jego (wtedy i teraz) mieszkańca, czyli przeze mnie, wówczas niespełna trzynastoletniego chłopaka, uczestnika tych wydarzeń.

Oto one:

1. SIERPIEŃ. DZIEŃ PIERWSZY
2. ZIEMIANKA
3. SABINA
4. SIOSTRY
5. KOSZYKÓWKA
6. RĘCE DO GÓRY
7. UCIECZKA Z DULAGU
8. KOLEJKA EKD
9. JEDZENIE
10. CZOŁGI
11. „LATAJĄCE FORTECE”
12. PANI ORŁOWSKA
13. PSIAPSIÓŁA
14. ROWY PRZECIW CZOŁGOWE
15. WUJEK ZEBEK
16. SZKOŁA
17. KIJE Z SĘKOCINA
18. SAMOBÓJCZY I AKTORZY
19. BILANS STRAT
20. EPILOG

1. SIERPIEŃ. DZIEŃ PIERWSZY

Tego dnia razem z moim ojcem, Czesławem Jakubowskim, pojechałem kolejką EKD do Warszawy. Do dziś zastanawiam się, jaki mógł być wtedy cel tego wyjazdu. W Warszawie mieliśmy dużo rodziny, zarówno ze strony mamy, jak i ze strony taty, ale tego dnia u nikogo nie byliśmy. Nic też nie kupowaliśmy, nie byliśmy u żadnego lekarza ani w żadnym urzędzie. Coraz częściej skłaniam się do przypuszczenia, że mój tata wiedział, co się święci i że chciał mi pokazać Warszawę, chciał, żebym ją zapamiętał taką, jaka była przed jej ewentualnym zniszczeniem.

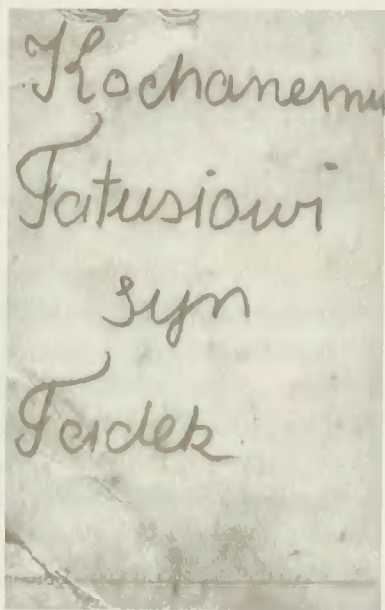
Byliśmy na Nowym Świecie, Krakowskim Przedmieściu i na Starym Mieście. Szczególnie, z fotograficzną dokładnością, zapamiętałem Plac Teatralny i kanion ulicy Nowogrodzkiej, kiedy ostatnią kolejką EKD przed godziną „W” wracaliśmy do domu, jadąc po torach ułożonych w tym kanionie od przystanku przy ulicy Marszałkowskiej. Z drugiego pomostu ostatniego (trzeciego) żółto-niebieskiego wagoniku tej kolejki patrzyłem na bezchmurne niebo obramowane gzymsami całych wtedy jeszcze budynków mieszkalnych i użyteczności publicznej.

2. ZIEMIANKA

nie była duża, miała jakieś dwa i pół na dwa i pół metra. Kopać zaczął ją mój tata w połowie lipca. Wiadomo było, że wcześniej czy później przez Pruszków przetoczy się front i trzeba było na wszelki wypadek zabezpieczyć się. Przykryta była dachem dwuspadowym o niewielkim spadku z rozebranej w tym celu altany (stąd wielkość ziemianki). Dach kryty papą przysypany został ziemią, tak że prawie nie wystawał ponad poziom terenu. W ziemiance była drewniana prycza, mieściło się w niej również łóżko polowe.

To właśnie w tej ziemiance drugiego sierpnia tata mój odbył ze mną poważną rozmowę. Swojemu dwunastoletniemu synowi przekazał obowiązek opiekowania się mamą, siostrą Wiesią i ciocią Klarą. Sam musiał odejść. Nie mówił mi gdzie, ale się domyślałem. Powiedział mi, co mam zrobić w sytuacji krytycznej i gdzie szukać pomocy. Otóż we wsi Łoś, leżącej nad rzeką chyba o tej samej nazwie, jego stryjeczny brat, Pius Jakubowski, był właścicielem młyna wodnego. Tak się złożyło, że linia napowietrzna wysokiego napięcia biegnąca przez Michałowice przecina również tę wieś. Moglibyśmy tam łatwo trafić, orientując się na słupy tej linii.

Nie wiem, czy ze względu na powagę tej chwili, czy ze względu na wzruszenie, pobiegłem do domu, napisałem na odwrocie swojej fotografii dedykację i dałem ją tatusiowi. Tę fotografię z dedykacją mam do dzisiaj.



Ze względu na brak broni i niemożność przedostania się do Warszawy, mój tata i wielu innych po dwóch – trzech dniach powrócili do domów. Przydały mi się jednak zamiary na jego stryjecznego brata. Dwa lata po wojnie razem z Bobkiem Jasińskim z sąsiedniego podwórka pojechaliśmy na rowerach na dwudniową wycieczkę do wsi Łoś. Do dziś pamiętam spanie w stodole i cudowny zapach siana. Budziły nas tylko pędraki (takie owady), które koniecznie chciały się dostać do naszych nosów. Rano w dołku poniżej młyna łowiliśmy okonie.

3. SABINA

chyba Pacholak, w chwilach próby zachowała się – w przeciwieństwie do wielu innych ludzi – jak bohaterka.

Od 6 sierpnia do 10 października 1944 roku w Warsztatach Kolejowych w Pruszkowie zorganizowany był obóz przejściowy dla mieszkańców Warszawy wywożonych z miasta w czasie Powstania Warszawskiego, Durchgangslager 121, tak zwany „Dulag 121”. Pierwsze transporty wypędzonych wjeżdżały na teren obozu bramą od strony Papierni i zatrzymywały się na torze między neogotyckim pałacym biurowym i nową parowozownią z jednej strony a ogrodzeniem obozu ze strony drugiej. Ogrodzenie to stanowił wtedy drewniany parkan. Na zewnętrzz tego parkanu biegło pięć torów kolejowych: manewrowy przy nim, dwa dalekobieżne i dwa dla linii podmiejskiej. Tuż za tymi torami, między nimi a tyłem ogródków przy ulicy Pięknej, znajdowała się gruntowa droga dla pieszych, ciągnąca się prawie od Papierni aż do przejazdu kolejowego na ulicy 3 Maja (wtedy chyba Adolf Hitler Strasse, później 1 Maja).

Któregoś dnia stałem na tej drodze. Nie byłem sam. Razem ze mną stało około stu osób. Wśród nas była również Sabina. Twarze wszystkich zwrócone były w kierunku obozu za torami, gdzie za ogrodzeniem stał transport wygnańców z Warszawy. Nie pamiętam już, czy były to wagony towarowe, czy osobowe i czy pilnowany on był przez Bahnschützów^{*)}, czy przez wartowników

^{*)}Ochroniarzy kolejowych. .

z innych formacji^{*)}. Zapamiętałem natomiast, że było ich niewiele. Być może Niemcy myśleli, że skoro transport znalazł się na terenie obozu, to nie wymaga już specjalnego pilnowania.

Zarówno ludzie z transportu, jak i stojący na drodze wpatrywali się w siebie w prawie zupełnej ciszy. Jedni uwięzieni, drudzy teoretycznie wolni. Sytuacja jak w antycznej tragedii. Ciszę przerwała Sabina.

– Co tak stoicie jak dupy, trzeba coś zrobić.

Nie odezwał i nie ruszył się nikt. Wtedy Sabina spojrzała w lewo, później w prawo, czy nie nadjeżdża jakiś pociąg i pędem puściła się przez tory. Po ich przebiegnięciu przycupnęła pod parkanem, przyklejając się do niego. Była silna. Po chwili oderwała dwie sztachety od dolnej poprzeczki tak, że trzymały się one tylko górą. Następnie odchyliła je, jedną w lewo, drugą w prawo, tak że w parkanie powstała dziura, przez którą można było przyskać. Dawała ręką znaki, że można uciekać. Ale nie ruszył się nikt.

– Na co czekacie, uciekajcie!

I te słowa też nie odniosły skutku:

– Spierdalajcie! Ja też ryzykuję!

Dopiero po tej serdecznej zachęcie z transportu uciekło około dwudziestu osób. Sabina wróciła przez tory ostatnia, uprzednio doprowadzając sztachety do pozycji pionowej, by wartownicy nie zauważyli dziury w ogrodzeniu. Uciekinierami zaopiekowali się mieszkańcy Pruszkowa.

Dzięki Sabinie już jako dwunastolatek dowiedziałem się po raz pierwszy, że słowo wulgarne, powszechnie uważane za brzydkie, może być słowem pięknym. Wszystko zależy od tego, czy jego użycie jest funkcjonalnie uzasadnione. A w tym przypadku było.

^{*)} Były to wagony bydłce. Upewniła mnie w tym Maria Kolasińska, która wtedy jako mała dziewczynka uciekła razem z mamą z tego transportu.

4. SIOSTRY

Dwie siostry naszego taty były siostrami PCK. Najstarsza, Helena Szafrńska z domu Jakubowska, legalną, a prawie najmłodsza, Cecylia Giergoń z domu Jakubowska, niezupełnie. Do Cecylii, nazywanej w rodzinie Caliną lub Celiną, z siostrą moją Wiesią zwracaliśmy się zawsze po imieniu, ponieważ była niewiele od nas starsza. Może ze względu na fakt, że i nasza mama miała na imię Cecylia, w rozmowach rodzinnych mówiono o niej jako o Czesi (a może dlatego, że nasz tata był Czesławem?).

Ciocia Hela w czasie Powstania Warszawskiego jako siostra PCK ratowała życie rannym powstańcom w szpitalu urządzonym w podziemiach kościoła pw. Świętego Aleksandra na placu Trzech Krzyży w Warszawie.

Za polskich czasów Celina należała do Związku Harcerstwa Polskiego. W 1943 roku wstępuje do Szarych Szeregów, gdzie przechodzi przeszkolenie sanitarne w drużynie „Jarzębinek”. W sierpniu i wrześniu 1944 roku jako niezupełnie legalna siostra PCK opiekuje się chorymi mieszkańcami Warszawy przetrzymywanymi w obozie Dulag 121. Mieszkała naprzeciw tego obozu (róg Bristol i 3 Maja) i kilka osób udało jej się z niego wyprowadzić. Jednym ze sposobów był wywóz „prawie śmiertelnie chorych” na furmankach, którymi okoliczni chłopcy spontanicznie i zupełnie za darmo przewozili do kuchni obozo-

wej kartofle i warzywa^{*)}. Duży udział w tym wyprowadzaniu mieli polscy lekarze, którzy wystawiali „odpowiednie” zaświadczenia lekarskie.

Podczas Powstania Warszawskiego poległ chłopak Celiny, Wiesiek Ganin z Ursusa. Walczył (prawdopodobnie) w oddziale dowodzonym przez Andrzeja Łapickiego.

^{*)} Inicjatorem i organizatorem pomocy dla wypędzonych mieszkańców Warszawy, między innymi przez stały dowóz kartofli i warzyw do Dulagu 121, był wieloletni proboszcz Kościoła pw. Świętego Kazimierza w Pruszkowie, ksiądz Edward Tyszka.

5. KOSZYKÓWKA

Nie wszystkie transporty ludności ewakuowanej z Warszawy trafiały do Dulagu 121. Były transporty, które z pominięciem tego obozu jechały dalej. Widziałem taki transport, w którym ludzie byli przewożeni odkrytymi wagonami towarowymi. Miało to swoje złe i dobre strony. Złe to narażenie na deszcz i chłód, zwłaszcza podczas jazdy nocą. Dobrze to możliwość zaopatrywania tych nieszczęśników w żywność.

Któregoś dnia, stojąc przed opuszczonym szlabanem przejazdu kolejowego na ulicy 3 Maja, byłem świadkiem wydarzenia, które zapamiętałem na całe życie. Prawie zaraz po opuszczeniu szlabanu z piekarni należącej do pana Cegielskiego wybiegło osiem lub dziesięć osób. Byli to dorośli i starsze chłopaki, wśród których znajdowało się dwóch znajomych kiciarzy^{*)}. Po dwóch dygowali kosze z chlebem. Szybciutko ustawili się przy szlabanie. Chwilę później parowóz ciągnący odkryte wagony towarowe wypełnione ludźmi przeciął ulicę. W kierunku wagonów pofunęły bochenki chleba. Leciały po takiej samej paraboli jak piłki do kosza podczas gry w koszykówkę. Wszystkie rzuty były celne. Co prawda wagony były szersze od średnicy obręczy kosza, która wynosi 45 cm, ale były w ruchu i rzucający musieli się spieszyć. Możliwe, że w grupie tej byli przedwojenni zawodnicy „Znicza” Pruszków. Do dzisiaj zastanawiam się, jak udało się zorganizować ten chleb, który wtedy – jak i marmolada z buraków czy brukwi – był na kartki.

^{*)}Kiciarze – osoby, które kosztem niemieckich transportów węglowych poprawiały zaopatrzenie ludności w opał.

6. RĘCE DO GÓRY

miałem podniesione, gdy zatrzymany zostałem podczas łapanek w pobliżu głównej bramy do Dulagu 121 na Żbikowie. Łapanek były dość częste. Głównie polowano na ludzi z warszawską kenkartą. Ja wtedy nie miałem warszawskiej ani żadnej innej. Nie miałem nawet trzynastu lat.

Zwrócony twarzą do ściany, z rękami podniesionymi do góry, stałem przy domu Cylca między ulicami Bristol i Wiosenną. Różne myśli przebiegały mi wtedy przez głowę. W pewnym momencie szarpnięciem za ramię zostałem odwrócony. Przede mną stał żandarm z przewieszonym przez szyję łańcuchem, na którym dyndała jakaś blacha. Popatrzył na mnie przez chwilę i szeleszczącą polszczyzną powiedział jedno słowo:

SZPIERDALAJ

Drugi raz nie musiał mi tego powtarzać. Biegłem jak uskrzydłony. Na rogu Bristol i 3 Maja mieszkał mój dziadek, Franciszek Jakubowski (nad restauracją Żmudzkiego), ale w pośpiechu minąłem ten dom. Na ulicy Bristol biegłem zygakiem. Teraz może się to wydawać śmieszne, ale wtedy miałem w pamięci różne zasłyszane historie związane z ucieczkami. Zmęczenia nie czułem. Zwolniłem dopiero, gdy znalazłem się po drugiej stronie torów na Czarnej Drodze.

Często myślałem później o tym żandarmie. Nie wiem, czy znał więcej polskich słów. A może pochodził ze Śląska, Pomorza lub z Wielkopolski? Może miał syna w moim wieku? Wtedy nie przypuszczałem nawet, że minie równo dziesięć lat i będę stał po raz drugi z rękami podniesionymi do góry, twarzą zwróconą do ściany. Z tym że będę stał nago i nie przy ścianie domu Cylca,

lecz przy ścianie czerwonego pawilonu w Rawiczu, i nie podczas łapanek, ale w czasie wielkiego kipiszu, w czasie którego będzie poszukiwana broń dla władzy najgroźniejsza – zwykły ołówek. I że będzie on poszukiwany w miejscach, które z piórnikiem nie mają nic wspólnego.

7. UCIECZKA Z DULAGU

Janek Zieliński, mój brat cioteczny, syn Marysi – siostry naszego taty, miał mniej szczęścia niż ja. Zatrzymany podczas polowania na mieszkańców Warszawy w pobliżu Dulagu 121 dostałem kopa od żandarma, który w niewybrednych słowach dał mi do zrozumienia, żebym uciekał. Jego zatrzymano u fryzjera. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów i wylądował za bramą obozu. Znalazł się w olbrzymiej hali wypełnionej mieszkańcami Warszawy wygnanymi z miasta. Akurat była pora obiadu. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył panią Marię Bogucką, wlewającą chochlą cienką zupkę do misek, pustych puszek i innych naczyń. Pani Maria Bogucka była matką jego kolegi Darka (obecnie wybitnego żeglarza o światowej sławie) i mojego kolegi, Jacka. Mieszkała wtedy na ulicy Narodowej w Pruszkowie i pracowała w obozowej kuchni. Janek nic do niej nie mówił, ponieważ obok niej stał żandarm. Liczył na to, że sama go zauważy. Tak się też stało.

– Co tak stoisz i nic nie robisz – krzyknęła do niego.
– Bierz się za pusty kocioł i zanieś go do kuchni. No, żywo!

Po drodze pouczyła go, że w kuchni nie może stać i nic nie robić. Musi się ruszać, by pilnujący żandarm nabrał przekonania, że on w tej kuchni jest zatrudniony, że jest funkcyjnym. Janek był tak przejęty swoją rolą, że rozpałił pod pustym kotłem. Wlano do niego szybko wody i wpadka została zażegnana.

Tego samego dnia polski lekarz wystawił zaświadczenie, że Janek jest ciężko chory, prawie umierający. Z obozu wywiózł go rolnik, który tego dnia przywiózł warzywa do obozowej kuchni.

Janek leżał na wozie z oczami utkwionymi w niebo, w złożonych dłoniach jak święty obrazek trzymał zaświadczenie lekarskie. „Na bramie” zatrzymał ich żandarm. Spojrzał na zaświadczenie, na siostrę PCK i machnął ręką. Furmanka opuściła Duląg 121.

Janek tak długo się nie ruszał, jak długo byli widoczni wartownicy przy bramie. Dopiero gdy skręcili w ulicę Narodową, umarłak zerwał się na równe nogi i prysnął do domu. Janek z rodzicami i z rodzeństwem mieszkał wtedy na pobliskiej ulicy Mickiewicza.

8. KOLEJKA EKD

w sierpniu na trasie Warszawa – Tworki woziła pasażerów tylko w jednym kierunku. Nie pamiętam już, czy ruch odbywał się wahadłowo po jednym torze czy po dwóch, z wykorzystaniem do zmiany toru zwrotnicy w Komorowie. Kolejką tą byli wywożeni mieszkańcy walczącej Warszawy do Dulagu 121 w Pruszkowie. Nie wiem, czy początkową stacją tego exodusu była Granica Miasta (nazwa przystanku EKD), czy odgałęzienie kolejki w kierunku Włoch zaraz za Szczęśliwicami. Transporty liczące 250 – 300 osób opuszczały kolejkę na przystanku w Tworkach. Eskortowane były przez sześciu – ośmiu żołnierzy, nie pamiętam, czy był to Wehrmacht, czy SS. Byli to młodzi opaleni ludzie, chyba mieli podwinięte rękawy i rozpięte bluzy (była piękna słoneczna pogoda), z przewieszonymi przez szyję szmajserami. Sprawiali takie wrażenie, jakby mogli ich w każdej chwili użyć. W przeciwieństwie do nich eskortowani przez nich ludzie mieli jesienno-zimowe ubrania. Wychodząc z Warszawy na poniewierkę, starali się zabezpieczyć przed zimnem.

Transport od przystanku EKD w Tworkach szedł pieszo ulicą Mariana do drewnianego mostku nad rowkiem na jej wylocie. Dalej rozciągnięty szedł wzdłuż tego rowka, mijając wyłoty ulic Zacisze i Narutowicza. Zbliżając się do ulicy Topolowej, która wtedy nazywała się Schulweg i była węższa niż obecnie, zwalniał tempo przed górką na jej początku obok domu Jasińskich, gdzie formowany był w zwartą kolumnę. Już w kolumnie transport ten przechodził obok naszego płotu, prawie ocierając się o niego. Oddzieleni bramą i furtką od idących ludzi wypatry-

waliśmy wśród nich naszych krewnych mieszkających w Warszawie. Przy bramie stała moja siostra Wiesia, nasza mama, nasza ciocia Klara i oprócz mnie chyba jeszcze nasi sąsiedzi. I wtedy wpadłem na pomysł, żeby wyrwać parę osób z tej maszerującej kolumny. Ci ludzie szli tak blisko naszego płotu, że wystarczyło otworzyć furtkę i pociągnąć ich za rękę. Z kilku transportów udało mi się tak ocalić po dwie – trzy osoby. Starłem się, żeby to były osoby starsze lub matki z dziećmi. O powodzeniu tej akcji decydował fakt, że po zamknięciu furtki ludzie ci nie uciekali w głąb podwórka, lecz stawali za żywą osłoną, jaką stanowiła moja rodzina. Odchodziliśmy od bramy i zabieraliśmy ich do naszego domu dopiero wtedy, gdy eskortowana kolumna, mijając szkołę powszechną im. Stanisława Żółkiewskiego, skręcała w lewo w ulicę 6 Sierpnia. Osoby te u nas były już bezpieczne, natomiast kolumna wygnańców, dochodząc do ulicy 3 Maja (obecnie Majowej), skręcała w prawo i przechodząc przez przejazd kolejowy na tej ulicy, dochodziła do bramy Dulagu 121, prawie naprzeciw ulicy Bristol.

Uratowane przez nas osoby po kilkudniowym odpoczynku wyjeżdżały do rodziny, do miasta lub na wieś, gdzieś w GG^{*)}, byle dalej od Pruszkowa. Tam gdzie obławy (łapanki) na ludzi legitymujących się warszawską kenkartą były rzadsze lub gdzie ich w ogóle nie było. Jednocześnie zwalniały miejsce dla swoich następców.

^{*)} GG – Generalna Gubernia. Nazwa okrojonej Polski okupowanej przez Niemcy w czasie drugiej wojny światowej.

9. JEDZENIE

nie było wyszukane, ale nie chodziliśmy głodni. Największy kłopot był z chlebem, który był na kartki, chyba 25 dag na osobę dziennie, a kartek nasi goście, czyli mieszkańcy Warszawy wyrwani z transportów, nie mieli. W sierpniu i wrześniu mieliśmy takich gości około 35, z tym że jednocześnie nie przebywały u nas więcej niż 3 osoby. W związku z tym nasze dzienne porcje chleba malały o połowę. Sytuację ratowała nasza mama, prawie codziennie gotując spory gar mlecznej zupy. Mleko mieliśmy pełnotłuste. Dwie bańki tego mleka codziennie, przez cały okres okupacji, przynosiła na plecach matka „Wacka Piskorza” z naszej ulicy, pani Piskorska. Dygowała je ona ze wsi Domaniew. Na tym mleku mama gotowała czarne zacierki z żytniego ziarna skręconego na ręcznym młynku do kawy. Spory zapas tego ziarna mieliśmy z letnich wypraw na kłosa. W tym miejscu chciałbym wyjaśnić młodemu czytelnikowi, na czym polegały nasze letnie wyprawy na kłosa. Otóż po sprzącie zboża na okolicznych polach pozostawały pojedyncze kłosa. Chłopi pozwalali je zbierać. Mojej mamie, cioci Klarze, siostrze Wiesi i mnie udało się sporo tych kłosów uzbierać.

Ratował nas również niewielki ogródek przydomowy. Ziemniaki, pomidory, ogórki, rzodkiewkę, cebulę i szczypior mieliśmy własne. Również jabłka i gruszki, a nawet winogrona, posadzone przez moich Dziadków w 1908 roku (owocują do dziś). Obiady były jednodaniowe, ale takie, że w zupie łyżka stawała. Na kolację czasami bywała jajecznicą. Mieliśmy trzy czy cztery kury w komórce, w której trzymałem również króliki. Do

jajecznicy mama dosypywała mąkę, żeby było jej więcej. Raz była potrawka z moich królików, której nie jadłem.

Nasza mama częstowała również zupą uciekinierów mieszkających u naszych sąsiadów.

10. CZOŁGI

dywizji pancerniej SS Herman Goering wjechały lub zostały przywiezione do Pruszkowa na lorach^{*)} około 10 sierpnia – dokładnej daty nie pamiętam. Dwa z nich chyba zabłądziły i wjechały w naszą ulicę. Nie wiem, czy były to pantery, czy tygrysy, w każdym razie nie były to ferdynandy, ponieważ te ostatnie na ulicy Topolowej by się nie zmieściły. Stały trzy – cztery dni, powodując różne spekulacje topolowian odnośnie do celu tej wizyty. Nazajutrz po ich wjeździe gruchnęła jak wystrzał armatni porażająca wiadomość, że czołgi te będą z naszej ulicy ostrzeliwać powstańczą Warszawę. Żeby umożliwić im to działanie, miała być zburzona parzysta strona ulicy Topolowej, obie strony ulicy Kochanowskiego i ulicy Bursowej. Na szczęście tak się nie stało. Po trzech – czterech dniach czołgi te z chrzęstem gąsienic opuściły naszą ulicę, a ja po parzystej jej stronie mieszkam do dzisiaj.

^{*)} Lory – platformy kolejowe.

11. „LATAJĄCE FORTECE”

O tym, że były to Latające Fortece, dowiedziałem się znacznie później. 18 września 1944 roku zobaczyłem je na bezchmurnym niebie, w biały dzień, przy pięknej słonecznej pogodzie, jak leciały w kierunku powstańczej Warszawy. Bym ich nie zauważył, gdyby nie zwielokrotniony klang ich motorów i odgłosy wybuchów pocisków niemieckiej obrony przeciwlotniczej. Przelatywały nad naszym ogrodem przy ulicy Topolowej w Pruszkowie. Jeszcze nad Pruszkowem leciały na bardzo wysokim pułapie, tak że niemieckie pociski mogły im gówno zrobić. Widziałem, jak pod tymi samolotami rozkwitały białe pióropusze wybuchów.

Po latach dowiedziałem się, że były to Latające Fortece, czyli samoloty B 17 wchodzące w skład 8. floty amerykańskiej. Z bazy w Brindisi we Włoszech leciały z zaopatrzeniem nad powstańczą Warszawę. Po dokonaniu zrzutów wracały do Włoch, ponieważ Wąsate Słoneczko nie zgodziło się na ich lądowanie za prawym brzegiem Wisły. Z tego powodu nie wszystkie Latające Fortece wróciły do bazy.

12. PANI ORŁOWSKA

O tym, że nazywała się Kazimiera Orłowska, przypomniało mi się stosunkowo niedawno. Porządkując domowe archiwum, znalazłem kartkę pocztową z dnia 2 grudnia 1956 roku, adresowaną do naszej mamy, Cecylii Jakubowskiej. W tym czasie mama od dwóch lat już nie żyła. Zmarła w czasie mojego pobytu w Rawiczu. Nadawczynią tej kartki była pani Hanna Łaguna z Poznania, córka pani Kazimieri Orłowskiej. A oto treść tej kartki pocztowej:

Szanowna Pani!

Matka moja Kazimiera Orłowska zmarła dnia 24XI1956. Piszę o tej smutnej wiadomości, bo jednocześnie pragnę Pani donieść, że Matka moja z wdzięcznością wspominała Panią za udzieloną pomoc po spaleniu Warszawy przez okupanta.

Łączę wyrazy szacunku

H. Łagun

Hanna Łagun!
Matko moja Kazimiera Orłowska zmarła
dn. 24 XI 56. Piszę o tej smutnej wiadomości
bo jednocześnie pragnę Pani donieść, że
Matka moja z wdzięcznością wspominała
Panią za udzieloną pomoc po spaleniu
Warszawy przez okupanta.
Łączę wyrazy szacunku
H. Łagun

NADAWCA
Hanna Łagun
 POCZTA *Porzecz*
 POWIAT *ul. Popława 31/6*

KARTKA POCZTOWA
H. Łagun
Jakubowska
Porzecz
 POCZTA *ul. Popława 31/6*

Zauważyłem ją w kolumnie mieszkańców Warszawy eskortowanej naszą ulicą w przemarszu do obozu w warsztatach kolejowych (Durchgangslager 121). Przystanęła przy domu Jasińskich dla odpoczynku, ponieważ dźwigała, nieproporcjonalnie do jej wyglądu dużą, walizkę. Nieproporcjonalnie, ponieważ była drobna i wydawało mi się, że jest osobą w starszym wieku. Postanowiłem ją wyrwać z tego transportu, jak to już wielokrotnie robiłem. W momencie, gdy zbliżała się do naszej furtki i bramy, otworzyłem furtkę, chwyciłem ją za rękę i za rączkę od walizki i wciągnąłem ją na nasze podwórko. Była uratowana. Przed wzrokiem eskorty chronił ją żywy mur mojej rodziny, która stojąc na podwórku przy bramie, wypatrywała w kolumnie idącej naszą ulicą krewnych mieszkających w Warszawie.

Pani Kazimiera Orłowska zamieszkała u nas w pokoju na poddaszu, na tak zwanej facjatce, nad naszym mieszkaniem, tak jak wiele osób przed nią i po niej, którym udało się uciec z transportu do obozu. Nie pamiętam, jak długo mieszkała. Była bardzo pogodna. Małej Basi, też ocalonej z transportu, która razem z ciocią mieszkała w naszym domu w pokoiku nad mieszkaniem sąsiadów (dom jest dwurodzinny), opowiadała bajki. Bajek tych słuchały również dzieci z naszej ulicy.

Któregoś dnia przyjechało po nią dwóch jej synów. Wiodocześnie wcześniej nawiązała z nimi kontakt. Byli wdzięczni moim rodzicom za pomoc udzieloną ich matce i wdzięczność tę chcieli wyrazić również w zmaterializowanej formie. Oczywiście – mimo że się u nas nie przelewało – na taką formę wdzięczności moi rodzice się nie zgodzili. Mama powiedziała, że u nas za gościnę się nie płaci i że cieszy się, że chociaż w takiej formie może mieszkańcom Warszawy pomagać. Stąd kilka ciepłych słów córki pani Kazimiery Orłowskiej pod adresem naszej mamy (miałem jeszcze siostrę Wiesię) na kartce pocztowej, którą odnalazłem stosunkowo niedawno.

13. PSIAPSIÓŁA

W facjatce nad mieszkaniem naszych sąsiadów, zwanej również przygórką, zamieszkała pięcioletnia Basia ze swoją ciocią. Obie wyrwałem z transportu przechodzącego obok naszego płotu. W takim samym pomieszczeniu nad naszym mieszkaniem przebywała pani Kazimiera Orłowska. Ją też uratowałem z transportu. Moja mama miała duży garnek, gotowała dużo zupy, tak że starczyło dla wszystkich. Na podwórku pięcioletnia Basia stawiała babki z żółtego piasku, a pani Orłowska opowiadała jej bajki, w których były dobre wróżki i złe czarownice. Było ciepło, słonecznie i bezpiecznie. Nasza mama smażyła im naleśniki z kartkową marmoladą z buraków. Prawie sielanka. Ale do czasu.

Podobnie jak w bajkach, również w prawdziwym życiu występują dobre wróżki i złe czarownice. Mieliśmy się wkrótce o tym przekonać.

Ciocia Basi zabierała ją na spacer na łąkę, tuż za naszą ulicą i nad płynącą za tą łąką Utratę. Któregoś dnia przy stawie Kondrackiego (dziś w tym miejscu stoi hala sportowa „Znicza”) ciocia Basi poznała psiapsiółę. Była ona zmartwiona, ponieważ w domu, w którym znalazła lokum albo jej się nie podobało, albo nie podobała się ona. Wtedy ciocia Basi zaproponowała jej wspólne zamieszkanie na przygórku u naszych sąsiadów, którzy wyrazili na to zgodę.

Po trzech dniach wspólnego zamieszkania z piapsiółą wyszła zła czarownica. Narobiła u sąsiadów rabanu. — Wy nie wiecie, kto u was mieszka, żebyście później nie mówili, że was nie ostrzegałam,

to się może dla was i dla mnie źle skończyć – krzyczała. I scenicznym złowieszczym szeptem dodała: – Basia i jej ciocia to Żydówki.

Oczywiście sąsiedzi opowiedzieli o tym zdarzeniu cioci Basi. Ponieważ zachodziła obawa, że psiapsiółka może na ten temat rozmawiać i z innymi osobami lub z ludźmi, którzy tylko na takie wiadomości czekali, ciocia Basi postanowiła razem z Basią zmienić lokum. Zrobiły to następnego dnia rano.

Tragedia cioci Basi polegała na tym, że z powodu odruchu serca – zlitowała się jak dobra wróżka nad psiapsiółką, która okazała się złą czarownicą – musiała się z córką siostry udać na dalszą tułaczkę. Tragedia Basi – choć sobie z tego nie zdawała sprawy – na tym, że jeszcze tego samego dnia, dosłownie kilka godzin później, przyszedł ojciec Basi, który jej szukał, który miał jakieś namiary i który ją prawie odnalazł. Był zawiedziony i rozpaczony, choć usiłował trzymać się dzielnie. Nie wiem, czy kiedykolwiek udało mu się Basię odnaleźć.

Dwa dni po tym wydarzeniu, psiapsiółka, jak niedobra czarownica z bajek opowiadanych dzieciom na naszym podwórku, zmyła się. Odeszła jak niepyszna z powodu okazywanej jej niechęci. Od tych wydarzeń minęło już tyle lat, a ja ciągle widzę uśmiechniętą buzię pięcioletniej Basi.

14. ROWY PRZECIWCZOŁGOWE

były kopane przez mieszkańców Pruszkowa od połowy sierpnia między granicą miasta i Szczęśliwicami, na prawo od torów kolejki EKD, idąc w kierunku Warszawy. Idąc, ponieważ do kopania rowów chodziliśmy pieszo. Byłem na tym kopaniu dwa czy trzy razy razem z mamą, ciocią Klarą i siostrą Wiesią (tata chyba się wtedy gdzieś ukrywał), ponieważ tyle wynosił obowiązek kopania wyznaczony przez władze niemieckie dla mieszkańców poszczególnych dzielnic.

Kierownikiem – grupowym – dla dzielnicy Żbików był wybrany przez kopających pan Wastkowski z ulicy Narodowej, ojciec mojego kolegi Tadzia. Tu mała dygresja. Tadzio zmarł na zapalenie płuc przez zbrodniczy wygłup jego kolegów 7 czerwca 1944 roku. W tamtych czasach wśród chłopaków, nie tylko z mojej Topolowej ulicy, istniała rywalizacja, kto pierwszy zacznie chodzić na bosaka, kto najwcześniej zacznie kąpać się w Utracie czy na gliniankach i kto pierwszy najdalej pójdzie po trzeszczącym lodzie. Tadzio kąpał się najwcześniej i nic by może z tego nie było, gdyby nie to, że koledzy schowali mu ubranie. Było zimno, a on długo go szukał. Ja zaś 22 listopada, w imieniny mojej mamy, wygrałem tę trzecią konkurencję. Przemoczony, suszyłem się przy piecyku w domu u pani Lechańskiej, matki mojego kolegi Zygmunta z sąsiedniego podwórka. Mokry bałem się wrócić do domu.

Ale dosyć tych dygresji. Po dotarciu do przystanku EKD Szczęśliwice widziałem sceny jak z obrazów Francisco Goi. Z tym że na obrazach były one statyczne, ja zaś widziałem je w ruchu.

Od strony kapliczki otoczonej bzami w polu po lewej stronie torów kolejki pędziło wprost na nas na niedużych konikach dwóch kałmuków w służbie niemieckiej. Pędzili wprost na nas. Przypomniły mi się mimo woli sceny z pochodu Dżingis Chana. Na nasze szczęście wyminęli nas i pognali w kierunku zabudowań wsi, w sąsiedztwie których kopane były rowy przeciwczołgowe. Po pewnym czasie mieliśmy się dowiedzieć, dokąd i po co im tak się śpieszyło.

Razem z Niemcami wypędzali z domostw mieszkańców Szczęśliwic, a domostwa te podpalali. Przy pięknej słonecznej pogodzie pod bezchmurnym niebem strzelały języki ognia i kłębił się dym. Grozę sytuacji wzmacniał ryk bydła wyprowadzanego z podpalanych budynków gospodarczych. I w takiej scenerii przez wieś przechodziła kolumna mieszkańców Warszawy, eskortowana przez Niemców do przystanku kolejki EKD, którą miała być dowieziona do Tworek, a następnie pieszo pędzona do Dulagu 121. Widziałem, jak w całym tym zgiełku wypędzeni z walczącego miasta ludzie zrywali dorodne pomidory z ogródków przydomowych i z pól, obok których przechodzili.

Do domu wracaliśmy również pieszo, z tym że byliśmy w markotnym nastroju z powodu obrazów, jakie widzieliśmy. Mojego nastroju nie poprawiła nawet czapka niemieckiego kolejarza, znaleziona w Opaczy przy torach. Była to miękka czapka z nausznikami. Chodziłem w niej przez całą jesień 1944 roku i zimą 1945. Innej nie miałem.

15. WUJEK ZEBEK

miał podwójne szczęście, udało Mu się uciec z transportu, a kilka dni później uniknął pewnego uwięzienia w Dulagu 121.

Euzebiusz Dzierliński, brat mojej mamy, uczestnik prawie wszystkich rajdów Automobilklubu Polski organizowanych za polskich czasów, wychowywał się w Pruszkowie, po przeniesieniu się moich dziadków z Warszawy do tego miasta. Znał wszystkie kąty, podwórka, ogrody i tajemne przejścia nie tylko na ulicy Topolowej, lecz prawie w całym mieście. Ta wiedza pomogła Mu być może urwać się z transportu.

Któregoś dnia, nie później niż godzinę po przejściu transportu obok naszego płotu (patrz wspomnienie pt. „Kolejka EKD”), w domu naszym ku ogólnej radości pojawił się wujek Zebek. Nie pamiętam już, czy przysnął z tego właśnie transportu, może gdzieś przy ulicy Zacisze, czy z transportu kolejowego gdzieś między Piastowem i Papiernią, gdzie transporty te zwalniały przed wjazdem na gałązkę prowadzącą do Dulagu 121. Faktem jest, że był z nami i że bardzo się z tego powodu cieszyliśmy. Ale niedługo.

Trzy dni później do mojej mamy przybiegła Jadźka Pacholak, mieszkająca w domu przy ulicy Topolowej 3. – Pani Jakubowska! – krzyknęła do mojej mamy – Niemcy wyciągają z domów Warszawiaków – Z tą wieścią pobiegła dalej, do domu Jasińskich.

Na szczęście poza wujkiem akurat w tym dniu nie mieliśmy gości z warszawską kenkartą. Dwie panie przechowywane u nas odnalazł dzień wcześniej ich syn i mąż i wyjechał z nimi gdzieś dalej do rodziny. Wujek Zebek, niewiele się namyślając,

schował się w wygodce w ogrodzie, zaraz za komórką. Tak się szczęśliwie złożyło, że była ona trochę zasłonięta krzakiem jaśminu (rośnie do dziś). Za chwilę na nasze podwórko wkroczył trzyosobowy patrol: dwóch żandarmów i jeden granatowy^{*)}. Wujek mógł ich obserwować przez okrągłe okienko w drzwiach wygodki.

Patrol przeszukał nasze mieszkanie i mieszkanie sąsiadów. Pokręcili się na podwórku i zabrali się do wyjścia. Wujek widział ich, jak się zbliżali do bramy. Przed furtką na ulicę zatrzymali się, naradzili chwilę i wrócili. Zapomnieli zajrzeć do miejsca, gdzie król piechotą chodzi. Na szczęście dla wujka, na terenie posesji przy ulicy Topolowej 4 były dwa takie miejsca. Nasze w ogrodzie, w którym akurat w tym momencie on przebywał, i naszych sąsiadów, za ich częścią domu. Właśnie tam skierował się patrol prowadzony przez granatowego. Oczywiście, nikogo nie znaleźli. Poszli na polowanie do innych domów. Nawet przez myśl im nie przeszło, że przy tak niewielkim domu jak nasz mogą być dwa takie przybytki. Uratowało to mojego wujka. I to było jego szczęście drugie.

^{*)} Granatowy – funkcjonariusz policji, tak określany ze względu na kolor munduru. Ten był gorliwy. Inni polscy policjanci współpracowali z Armią Krajową.

16. SZKOŁA

Pierwszego września poszedłem do szkoły, z tym że mieściła się ona dla naszej klasy w mieszkaniu Naszej Pani przy ulicy Pańskiej. Nasza Pani to nasza wychowawczyni od pierwszej klasy w 1938 roku, Pani Janina Młodzińska. Bardzo ją lubiliśmy i zawsze ją określaliśmy naszą panią. Mimo że nauczanie było tajne, na przerwy wychodziliśmy na przydomowe podwórko. Kierownikiem naszej szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego był pan Zygmunt Gize. Specjalnie zaznaczam, że był on kierownikiem, a nie dyrektorem, ponieważ „dyrektoriat” na każdym szczeblu, nawet w przedszkolach, to wymysł władzy, która do Pruszkowa wjechała na czołgach T-34 w dniu 17 stycznia 1945 roku. I mimo że władza ta już nie istnieje, to ten „dyrektoriat” dodający „blasku” pozostał do dziś. Panu kierownikowi Zygmuntowi Gize ten blask nie był potrzebny. Cieszył się powszechnym szacunkiem ze względu na swoją działalność. Między innymi organizował akcję dożywiania dla młodzieży szkolnej.

W ramach tej akcji kilkakrotnie dostaliśmy po pięć jajek. Zarówno nasz kierownik, Pan Zygmunt Gize, jak i Nasza Pani, Janina Młodzińska, brali czynny udział w konspiracji. Ostatnie zajęcia szkolne na tajnych kompletach w Jej mieszkaniu przy ulicy Pańskiej w Pruszkowie odbyły się 16 stycznia 1945 roku. Na jutro był 17 stycznia. Dla wielu początek nowej udręki.

17. KIJE Z SĘKOCINA

Nie pamiętam, czy było to przed upadkiem Powstania, czy już po nim. Któregoś dnia w domu naszym, a konkretniej u naszych sąsiadów (dom był dwurodzinny), pojawił się pan Mietek. Pan Mietek uciekł z transportu w Piastowie. W sierpniu i wrześniu walczył w Warszawie, wcześniej był narzeczoną córki przyjaciółki naszych sąsiadów. Był pełen entuzjazmu mimo tego, co się stało i w bardzo niekorzystnym świetle przedstawiał mieszkańców mojego miasta. – Trzeba było z kijami z Sękocina przyjść nam na pomoc do Warszawy – mówił z naganą w głosie. A przecież mój tata, Czesław Jakubowski, i wielu innych nie przez tchórzostwo nie przyszło z tą pomocą. Przecież on i inni pierwszego czy drugiego sierpnia udali się na miejsce zbiórek. Przecież po dwóch czy trzech dniach wrócili do domu nie z własnej woli. Taki był rozkaz. Nie było broni ani możliwości przedostania się do Warszawy.

18. SAMOBÓJCY I AKTORZY

W okresie po Powstaniu Warszawskim wiele osób zakotwiczyło się w Pruszkowie. Między innymi Władysław Walter i brat mojej mamy, Euzebiusz Dzierliński. Któregoś dnia, a może wieczoru, wujek spotkał tego aktora w restauracji w domu Pera (przy ulicy 3 Maja, między Mickiewicza a Szkolną). Zbliżała się godzina policyjna i wujek zaprosił go do nas, do domu na Topolową, w celu kontynuowania „rozmowy”.

To właśnie wtedy od Władysława Waltera dowiedziałem się, że w XIX i na początku XX wieku samobójcy i aktorzy byli chowani przy murze cmentarnym, na końcu cmentarza, z dala od bramy wejściowej. Było to miejsce niehonorowe. Miała to być przestroga dla żywych. Niestety, takie pochówki były dodatkowym udręczeniem dla rodzin zmarłych. Tak działo się w moim rodzinnym Pruszkowie.

Obecnie, po powiększeniu cmentarza w Pruszkowie – Żbikowie, groby tych napiętnowanych zmarłych z dnia na dzień znalazły się przy jednej z głównych alei cmentarza. Można powiedzieć, że znalazły się w jego centrum. Zupełnie przez przypadek ci, co po śmierci zostali poniżeni, po upływie wielu lat zostali wywyższeni.

19. BILANS STRAT

W czasie Powstania Warszawskiego zginęły trzy osoby z naszej rodziny. Wujek naszej mamy, Bolesław Zajde, został zastrzelony przez snajpera 22 sierpnia 1944 roku. Nieopatrznie podszedł do okna w swoim domu przy ulicy Pańskiej 107. Pochowany na podwórku, ekshumowany w lutym 1945 roku, znalazł miejsce w grobie swoich rodziców, a moich pradziadków na Cmentarzu Powązkowskim. Jego siostra Marynia zaginęła bez wieści po ewakuacji mieszkańców ulicy Pańskiej dnia 8 września 1944 roku. Była ona osobą niepełnosprawną. Ze względu na wiek (miała wtedy około 80 lat), ale głównie na przebyte choroby, miała niesprawne nogi i nie mogła się samodzielnie poruszać (nie mogła chodzić). Do czasu zorganizowania transportu dla niej i dla innych niepełnosprawnych osób, została przeniesiona do pomieszczenia w piwnicach domu przy ulicy Pańskiej nr 109. Nigdy nie udało się nam natrafić na jakikolwiek jej ślad po wojnie.

Siostra mamy, Bronisława z Dzierlińskich Ryjewska, po upadku Woli znalazła schronienie u swego wujka, Bolesława, na ulicy Pańskiej 107. Na kilka godzin przed ewakuacją tej ulicy 8 września 1944 roku została ranna w szyję, miała krwotok tętnicy. Przyniesiona do szpitala przy ulicy Śliskiej 51, zmarła w nim dnia 12 września 1944 roku. Jej grobu i ciała nie udało się nam odnaleźć, mimo że już 18 stycznia udałem się pieszo do Warszawy na jego poszukiwanie razem z mamą, ciocią Klarą i siostrą Wiesią. Grobu cioci Broni nie znaleźliśmy, na podwórzu był tylko grób brata babci. Nocowaliśmy w częściowo spalonym i zburzonym domu. Później nasza mama i ciocia Klara brały

bierny udział przy ekshumacjach prowadzonych w okolicy tego szpitala, ale cioci Broni nie rozpoznały. Ma ona grób symboliczny na Cmentarzu Żbikowskim, który jest jednocześnie takim samym grobem dla jej brata Zygmunta Dzierlińskiego, zmarłego 8 czerwca 1942 roku w KL Auschwitz, wkrótce po przewiezieniu go do tego obozu z więzienia gestapo, Pawiaka.

Łut szczęścia spowodował, że straty mojej rodziny nie były większe. Mój brat cioteczny, Zdzisław Ryjewski, z żoną Marianną znalazł się w transporcie do KL Auschwitz. Na stacji Szczakowa transport ten został podzielony na dwie części. Pierwsza część została skierowana do tego obozu, druga do Reichu. Wagon, w którym znajdowała się Marysia ze Zdzisiem, był pierwszym wagonem tej drugiej części transportu.

20. EPILOG

tych wydarzeń miał miejsce kilka miesięcy później. 17 stycznia 1945 roku od strony Pęcic ulicą Pęcicką (dziś aleja Armii Krajowej) na czołgach T-34 przez drewniany most nad torami kolejki EKD wjechała do Pruszkowa nowa władza. Wraz z nią przybyli do mojego miasta polscy żołnierze, którzy szli do niego setki kilometrów ze Wschodu. Ludzie cieszyli się i jednocześnie byli rozgoryczeni. Rozgoryczeni, że przyszli za późno, że czekali, kiedy Warszawa walczyła, konała i umarła. Że wyzwolili miasto, które było cmentarzyskiem ludzi, domów i ulic. A przecież mogło być inaczej.

I wtedy, przy tak różnych i sprzecznych nastrojach, byłem świadkiem zdarzenia, które zapamiętałem na zawsze, zdarzenia, które pomogło mi zrozumieć działania i knowania oraz kunktatorstwo możliwych tego świata, dla których byliśmy i jesteśmy obecnie – mam nadzieję, że się teraz myślę – przedmiotem, a nie podmiotem działania. Zdarzenie to miało miejsce 20 stycznia 1945 roku na ulicy Narutowicza. Mieszkańcy Pruszkowa rozmawiali z żołnierzami polskimi, którzy przyszli zza Wisły. Ludzie pytali ich z pretensją w głosie, dlaczego przyszli tak późno, dlaczego nie przyszli wcześniej. Usłyszałem ich odpowiedź w pięknym kresowym zaśpiewie:

My chcieli, nie dali.

CZEŚĆ PIĄTA

WCZESNY PRL

Od 17 stycznia 1945 roku do mojego aresztowania 27 czerwca 1953 roku (uzupełnienie opowieści zawartych w mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony”).

1. NASZA PANI
2. PIROTECHNICY
3. ROWERY
4. RYBY
5. PISTOLETY
6. KOLEDZY ZZA BUGA
7. LISTA OBECNOŚCI
8. „KOZIOŁ”
9. AFRODYTA
10. ZAWÓD
11. KOŚCIEC
12. PRAWIE ZAWAŁ
13. UNRA
14. KOCIOŁ
15. KRZYŻE
16. AWTOWSZCZYK
17. DEMOKRACI Z DOŁU
18. PROSO
19. NOWY
20. LATRYNA
21. WYPRACOWANIE
22. WAGARY

23. SKARBY
24. PAN PIECZYCHLEBEK
25. ZASADZKA
26. GRATULACJE
27. KORKI
28. FARAON
29. WSTYD
30. CZARNY
31. PRZYJAŹŃ POLSKO-RADZIECKA
32. EROTYK
33. NIEDUŻY KWARTET
34. STUDENT FIGURSKI
35. RYSUNEK WAKACYJNY
36. GEOMETRIA WYKREŚLNA
37. NAŁÓG
38. TORSZON
39. PISZ PAN
40. JAZZ
41. MIŁOŚĆ
42. KABARET
43. STATYKA
44. OSA
45. OKRĄGLE OKNO
46. TAKI JEDEN
47. DWIE W JEDNYM
48. „SEKRETARZ REJKOMU”
49. SZTYPER
50. KRZYWE GWOŹDZIE
51. WAZELINA
52. FIGURANCI
53. PAŚNIK
54. LEKKA KAWALERIA
55. CIEŃ RZUCONY
56. SĄD
57. „HALLO, FREDDIE”
58. PAŁAC
59. KARAWANA

1. NASZA PANI

to oczywiście Pani Janina Młodzińska. Moja wychowawczyni od pierwszej klasy szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego od 1 września 1938 roku aż do tajnych kompletów w zakresie klasy siódmej, które odbywały się w jej mieszkaniu przy ulicy Pańskiej w Pruszkowie – Żbikowie. Ostatnie zajęcia mieliśmy 16 stycznia 1945 roku.

Nazajutrz, to jest 17 stycznia, do Pruszkowa wkroczyła armia „wyzwoleńcza”. Tego samego dnia nasza Pani została aresztowana i przewieziona do siedziby NKWD we Włochach pod Warszawą. Po przesłuchaniach wywieziono ją za Ural do łagru w Jaiwie, powiat kozielski, obłast Mołotowskaja.

O działalności konspiracyjnej naszej Pani, czyli Janiny Młodzińskiej, pseudonim „Teresa”, dowiedziałem się stosunkowo niedawno ze wspianej książeczki mojego przyjaciela, Jurka Kalińskiego, pseudonim „Szczur”, pt. „Gasnąca pamięć”. Książeczka ta jako próba szkicu faktograficznego historii Szarych Szeregów Hufca „Zielony Dąb” w Pruszkowie jest jednocześnie bardzo interesującą literaturą faktu.

Nasza Pani – bo tak zawsze o niej w szkole mówiliśmy – do pracy konspiracyjnej została zaprzysiężona 8 maja 1940 roku w Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. Jako porucznik Wojskowej Służby Kobiet Armii Krajowej i inspektor, „stróż lewobrzeżny” tej organizacji, opiekowała się harcerkami z Szarych Szeregów, kryptonim „Jarzębiny”, w Pruszkowie. Biorąc pod uwagę osobowość, wygląd zewnętrzny i sumienność, dobierała również harcerki do patroli wywiadowczych.

Jerzy Kaliński pisał w „Gasnącej pamięci”, że w 1944 roku Nasza Pani pracowała przy nasłuchu radiowym w Pruszkowie i opracowywała biuletyn „Serwis radiowy”. Podczas Powstania Warszawskiego organizowała pomoc sanitarną i żywnościową dla wygnańców z Warszawy, przetrzymywanych w obozie przejściowym w Pruszkowie, urządzonym w halach fabrycznych Warsztatów Kolejowych (Durchgangslager 121).

Po reorganizacji Armii Krajowej w październiku 1944 roku została szefem Wojskowej Służby Kobiet AK nowego Obwodu Warszawskiego o kryptonimie „Wrona”.

Porucznik Janina Młodzińska – „Teresa” – została odznaczona między innymi Krzyżem Zasługi z Mieczami i Krzyżem Armii Krajowej nadanym jej przez Kapitułę w Londynie. Ta działalność Naszej Pani była wystarczającym powodem dla sojuszników naszych wiarołomnych sojuszników do jej aresztowania.

Po powrocie z łagru aż do przejścia na emeryturę pracowała z młodzieżą jako nauczycielka. Cały czas w naszej szkole, oczywiście już bez patrona Marszałka Józefa Piłsudskiego. Zastąpiła go urzędowa (kazionna) „Jedynka”.

To, że zawsze mogę patrzeć ludziom prosto w oczy, również i Jej zawdzięczam. Wierzę, że tam, gdzie jest teraz, zgodnie ze swoją pasją, zajmuje się nauczaniem małolatów.

2. PIROTECHNICY

Po przejściu frontu w styczniu 1945 roku w okolicy Pruszkowa pełno było dynamitu – który ze względu na kształt był przez nas określany jako mydełko – lontów, spłonek, pocisków i min. Szczególnie dużo tego ustrojstwa znajdowało się w Komorowie, gdzie w majątku stały w czasie Powstania Warszawskiego oddziały RONA^{*)} brygadiera Kamińskiego, które dobijały Warszawę.

Cały ten arsenał przyciągał jak magnes chłopaków z Pruszkowa i okolicy. Wybuchy, jakie codziennie się rozlegały, świadczyły o działalności młodych pirotechników. Niestety, nie wszystkie próby zdetonowania tej amunicji kończyły się pomyślnie, zwłaszcza dla najodważniejszych. Między innymi zginął Leszek Cichocki, z którym razem przystępowałem do pierwszej komunii w 1941 roku.

Moi koledzy z Topolowej i ja byliśmy mniej odważni i dlatego pewnie przeżyliśmy tamten czas bez uszczerbku na zdrowiu. My po prostu mieliśmy pietra.

Nie, nie będzie już więcej ani jednego słowa w tym wspomnieniu, żeby nikomu nie przyszła do głowy chęć powtórzenia naszych prób z amunicją.

^{*)}Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia.

3. ROWERY

Pierwszy dostałem za polskich czasów^{*)}. Miałem pięć lat, a rower miał trzy. Oczywiście nie lata, a kółka. Nie cieszyłem się nim długo. Usiadł na nim mój wujek i rower pod nim się złożył. Na szczęście nie został on – rower, nie wujek – wyrzucony. Kilka lat później przydał się nam do budowy samochodu.

Podczas okupacji jeździłem na rowerach rodziców. Były to wspaniałe rowery, firmy „Kamiński” lub „Łucznik”. Miały tak zwane wolne koła, drewniane obręcze i balony firmy „Dunlop”. Początkowo jeździłem na damce mamy. Niestety, jedzenie było ważniejsze i rower mamy został sprzedany. Przesiadłem się więc na rower taty. Ponieważ nie sięgałem do pedałów nawet z najniżej opuszczonego siodełka, na rowerze tym jeździłem – jak to się wtedy mówiło – pod ramą. Jazda taka była trochę męcząca, bo rower był odchylony od pionu i na dłuższą metę – niemożliwa. Pod ramą nie jeździłem jednak długo. Rower taty został ukradziony.

Boom rowerowy rozpoczął się w Pruszkowie po wojnie. Powstawały warsztaty rowerowe, których wtedy było chyba niewiele mniej niż obecnie samochodowych. W warsztatach tych wytwarzano składaki z używanych części rowerów różnych marek. Przestrzegano tylko jednej podstawowej zasady. Chodziło o to, by w takim składaku koła były jednakowej wysokości. Nie dotyczyło to jednak opon i obręczy. Mój rower na przykład miał pierwsze koło z oponą drutowką, drugie z fartuchówką. Fartu-

^{*)} Polskie czasy – tak moja ciocia Klara określała międzywojnie.

chówki były lepsze, ponieważ na zużyte miejsce takiej opony można było nakładać kawałki wycięte ze starej fartuchówki. W przypadku drutówki byłoby to niemożliwe.

Zaraz po wojnie rowery mieli prawie wszyscy koledzy z mojej Topolowej ulicy. Na rowerach tych jeździliśmy nie tylko na wycieczki. Graliśmy na nich również w piłkę i walczyliśmy ze sobą. Polegało to na tym, że przez gwałtowne skręcenie kierownika uderzaliśmy w rower kolegi, powodując jego wywrotkę. Wygrywał ten, który na rowerze utrzymał się do końca walk jako ostatni. Dzisiaj, kiedy patrzę na nasze niewielkie podwórka, aż mi się wierzyć nie chce, że było to możliwe. A przecież na tych podwórkach „kręciliśmy” również ósemki.

Na wycieczki jeździliśmy do Leśnej Podkowy, do Żółwina, do Pęcic na ryby, do Lasu Sękocińskiego i do Żelazowej Woli. Robiliśmy też wycieczki okrężne, przez Otrębusy, Nadarzyn do Warszawy i z Warszawy do Pruszkowa. Ze względu na fakt, że nasze stalowe rumaki były mocno sfatygowane, na wycieczki te często jeździliśmy dopiero po południu, ponieważ prawie codziennie od rana do południa trzeba je było reperować. Kleić dętki i prostować obręcze. Gdy któryś z nas nie zdążył lub nie mógł sobie poradzić z naprawą, jechał na wycieczkę na ramie roweru jednego kolegi, ale by było sprawiedliwie, wracał na ramie roweru innego kolegi.

Jeszcze jeden szczegół. Przed powrotem z wycieczki do Leśnej Podkowy między szprychy wplataliśmy gałązki brzozy. Z tymi gałązkami jechało się ciężiej, ponieważ gałązki te uderzając o widelec przedniego koła i ramę tylnego, działały trochę hamująco. Robiliśmy tak jednak, ponieważ dzięki monotonnemu szumowi spowodowanemu tymi uderzeniami mieliśmy wrażenie, że jedziemy na motorach.

O jeździe bez trzymanki nie będę pisał, bo robili to wszyscy rowerzyści wtedy i robią obecnie. W dzisiejszych czasach ulice, drogi i ścieżki zostały zdominowane przez inwazję górali. Trochę szkoda, że te rowery prawie zupełnie wyparły klasyczne,

tradycyjne jednoślady. Większość rowerów górskich, zwłaszcza tych tańszych, to pojazdy wyjątkowe ciężkie, zupełnie niedostosowane do możliwości fizycznych ich młodocianych użytkowników. Nie mówiąc już o tym, że komiczny jest wygląd współczesnego cyklisty jadącego wolno przy szybkim pedałowaniu. Nie wiem, może nie mam racji, ale takie jest moje odczucie.

4. RYBY

W styczniu 1945 roku Janusz Jasiński z sąsiedniego podwórka był najlepszym minierem spośród chłopaków z naszej ulicy. Po przejściu frontu wszędzie w okolicznych lasach wałało się pełno dynamitu, spłonek i różnego rodzaju ustrojstwa. Opowiadał mi stonkowo niedawno, jak z własnoręcznie wykonaną miną wybrał się do Potulika, czyli nad staw w Ogrodzie Potulickich, na ryby. I wcale nie dlatego, że lubił huk i chciał ogłuszyć ryby dla przyjemności. Zmuszała go do tego konieczność. W tym czasie mieszkał z siostrą Halą, bez rodziców. Ich tata, pan Edmund Jasiński, został zamordowany w więzieniu gestapo Pawiak w Warszawie, a ich mama, pani Romualda Jasińska, po ewakuacji więźniarek z obozu Auschwitz przebywała wtedy w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. W związku z tym jego siostrze Hali i jemu często głód zaglądał w oczy.

Minę zdetonował w przerębli. Huk był ogłuszający. W górę wraz z fontanną wody poszybowały karpie, by po chwili wylądować na lodzie. Było ich bardzo dużo. Niestety, trud Janusza poszedł na marne, przynajmniej dla niego. Wszystkie ryby wybiebrały starsze chłopaki, a właściwie to już dorośli. Jemu nie dali ani jednej. Do domu na Topolowej wrócił z pustymi rękami.

5. PISTOLETY

Po przejściu frontu prawie wszędzie można było znaleźć różnego rodzaju amunicję, lonty, splonki, naboje i materiały wybuchowe. Zdarzało się, że niektórzy chłopcy znajdowali broń krótką, czyli pistolety. O granatach ręcznych, tak zwanych Handgranatach, nie wspomnę. Po tym wprowadzeniu przejdę do przypomnienia wydarzenia, jakie miało miejsce w Pruszkowie przy ulicy Lipowej w końcu marca 1945 roku.

Naukę w pierwszej klasie gimnazjum Tomasza Zana rozpocząłem 1 marca 1945 roku na tej właśnie ulicy w budynku szkoły powszechnej im. Henryka Sienkiewicza. Nasz budynek na Klonowej nie nadawał się do tego celu, ponieważ po tym, jak gospodarował w nim Wehrmacht, nadawał się tylko do remontu. Nie wiem dlaczego, ale chłopakom z Lipowej i z okolicznych ulic nie przypadliśmy do gustu. Ciągłe byliśmy zaczepiani, nękani i bijatka wisiała w powietrzu. Oni byli u siebie, my zaś byliśmy elementem napływowym, żeby nie powiedzieć – przybłędami. Byliśmy nowi, a wiadomo, że nowym należy się wycisk.

Niewiele brakowało, aby do tego doszło. Prawie zaraz po wyjściu ze szkoły zostaliśmy zaatakowani przez miejscowych. Wtedy Bronek Chyliński („Myszka”, „Mynia” z Szarych Szeregów) z naszej klasy podniósł rękę do góry. Na ten znak koledzy powyciągali z kieszeni to, co który miał. Dwóch czy trzech wyciągnęło z książkami pistolety. I wtedy stała się rzecz nieprzewidziana. Napastnicy powiedzieli do nas:

– Chłopaki, nie wygłupiajcie się, na żartach się nie znacie, czy co?

I uśmiechnięci, z wyciągniętymi do zgody rękami, zaczęli do nas podchodzić.

– Zamiast się wygłupiać, lepiej dajcie nam potrzymać.

Oczywiście, chodziło o pistolety. Były bez naboí. Potrzy-
mali, pogadali, cześć, cześć i poszli.

Od czasu tego drobnego incydentu już nigdy nie byliśmy
nękani i zaczepiani. Była zgoda. Sprawdziła się rzymska maksy-
ma: *Si vis pacem para bellum**.

*) *Si vis pacem para bellum* (łac.) – Jeżeli chcesz pokoju, szycuj wojnę.

6. KOLEDZY ZZA BUGA

pojawił się w naszej klasie w połowie marca 1945 roku, dwa miesiące po przejściu frontu. Było ich kilku. Wyróżniał ich piękny kresowy zaśpiew i nazwiska inne od naszych, takie jak Nazaruk, Pawluczyk, Hołowacz, Daniluk i Okluczyk. Nie pamiętam. Może było ich więcej. Mówili też trochę inaczej niż my. Była to piękna, trochę archaiczna polszczyzna. Uśmiechnięci, pogodni, nie bardzo chcieli mówić, skąd się wzięli i dlaczego wylądowali w Pruszkowie. Trochę się domyślałem, ale dopiero po latach dowiedziałem się, dlaczego tak się stało. Stało się to dzięki haniebnym handlom zapoczątkowanym w grudniu 1943 roku w Teheranie (a więc na długo przed bitwą o Monte Cassino i lądowaniem w Normandii), w których to handlach przywódcy naszych wiarołomnych sojuszników – nie informując nas o tym – oddali nas w pacht największemu językoznawcy świata. Nie ma się zresztą czemu dziwić, skoro jeden z tych przywódców miał problemy alkoholowe (u niego to rodzinne) i często chodził nawalony jak stodoła, a drugi – zaburzenia psychiczne. O tym, że miał nierówno pod sufitem, wypowiadali się niedawno uczeni za wielką wodą. Tak mu wtedy szajba odbiła, tak był zauroczony Wąsatym Słoneczkiem alias Generalissimusem, że określał go jako dobrotliwego wujaszka Dżo. Nie dość, że nas przehandlowali, to jeszcze zgodzili się na odrąbanie połowy Rzeczypospolitej.

W drugiej gimnazjalnej tych kolegów już nie było. Nie wiem, co się z nimi stało. Został tylko jeden i to aż do matury w 1950 roku. Nazywał się Nazaruk.

7. LISTA OBECNOŚCI

w interpretacji pana profesora Choinki, który w pierwszej klasie gimnazjalnej uczył nas biologii, to był wspaniały spektakl. Czytał ją nieśpiesznie, przyglądając się każdej wyczytanej i każdemu wyczytanemu, komentując zabawnie ich nazwiska. Żałuję, że wcześniej nie notowałem tych komentarzy. Obecnie, po sześćdziesięciu latach od tamtych lekcji biologii, pamiętam tylko dwa. A przecież było ich prawie tyle, ile uczennic i uczniów w naszej klasie. A wyglądało to:

– Effler – i spoglądając sponad okularów na Efflera, dodawał – Szelma jedna.

– Kaczanowski – i przecierając okulary, mówił: wisus!

Nic więc dziwnego, że czytanie listy obecności trwało prawie pół lekcji. Pozostawało mniej czasu na sprawdzanie naszych wiadomości. Specjalnie nas to jednak nie cieszyło, ponieważ nasz nauczyciel był człowiekiem tak bardzo łagodnym, że chyba nigdy w życiu nie postawił nikomu dwóji.

I jeszcze trzy zdania na koniec tego obrazka. Szelmy jednej Efflera, który był w naszej klasie najstarszy, nie ma już wśród nas. Wisus Kaczanowski jest obecnie wybitnym artystą malarzem, polskim i amerykańskim. Natomiast ja „namalowałem” ten obrazek, by utrwalić postać niezwykle przyjaznego pana profesora Choinko od biologii.

8. „KOZIOŁ”

to ani mąż kozy, ani przyrząd do ćwiczeń gimnastycznych. Tak po prostu nazywaliśmy przemilego pana profesora Zielińskiego. I to wcale nie dlatego, że był uparty. O ile dobrze pamiętam – a chyba się nie mylę – nazywaliśmy go tak z powodu jego bródki.

Pan profesor uczył nas w drugiej gimnazjalnej geografii. Był wspaniałym gawędziarzem. Często przekazywał nam swoją wiedzę również w tej formie. Według mnie miał on jeszcze jeden plus dodatni – jak by to powiedział dziś jeden z byłych prezydentów. Był filatelistą. I to prawdziwym. Zbierał prawdziwe marki pocztowe. Takie, które były wcześniej naklejone na karcie lub przyklejone do listu, które były ostemplowane i które w związku z tym odbyły krótszą lub dłuższą podróż, a nie takie dziwolągi jak teraz, które mogą być również ostemplowane, ale muszą mieć klej na odwrocie.

Pasję pana profesora często wykorzystywaliśmy do niecnych celów, zwłaszcza – gdy zbliżał się koniec okresu i gdy trzeba się było przed nim pochwalić swoją wiedzą z geografii. Wystarczyło przynieść kilka okazów filatelistycznych, by odwlec lub znacznie skrócić odpytywanie (przepytywanie?) i przemienić lekcję geografii w zebranie kółka filatelistycznego. Było miło.

I jeszcze jedna uwaga. Zbieranie znaczków pocztowych wspomaga naukę geografii. Ale nie tylko. Również historii, biologii i historii sztuki. Oczywiście, jeżeli ktoś ma takie zainteresowania. Do dzisiaj państwa, stolice, prezydentów, królów, bitwy i inne wydarzenia historyczne zawsze kojarzę z odpowiednimi znaczkami. Często pamiętam ich kolor i nominały. Kropka.

9. AFRODYTA

była piękna i niewiele od nas starsza. Była to pani profesor – tak określaliśmy naszych nauczycieli w Państwowym Gimnazjum i Liceum Nr 26 im. Tomasza Zana w Pruszkowie – która uczyła nas historii starożytnej według podręcznika Mrozowskiej i Moszczyńskiej (imion nie pamiętam). Lekcje pani Aleksandry Gruszczyńskiej – bo o niej tu mowa – były bardzo interesujące, ale nie dla wszystkich z tego samego powodu. Ze względu na fakt, że była to pierwsza powojenna klasa, kilku uczniów było starszych od nas i nie zawsze na lekcjach zachowywało się spokojnie. Jednych interesowały wojny punickie, inni zachwycali się panią profesor. Największych rozrabiaków za takie zachowanie spotykała kara. Musieli siedzieć na historii starożytnej w pierwszej ławce. Pani profesor chciała ich mieć na oku.

Dla nich nie była to kara, bo siedzieli prawie przy Afrodycie, bogini miłości, znacznie atrakcyjniejszej od jej mitologicznej imienniczki. Atrakcyjniejszej, bo żywej. Gdy ona, lekko się pochylając, sprawdzała listę obecności, to oni tak samo lekko powstając, zaglądali do – powiedzmy – naszego dziennika klasowego.

10. ZAWÓD

i to olbrzymi sprawilem panu profesorowi Wacławowi Prusakowi, który przez cały czas nauki w gimnazjum i w liceum uczył nas rysunków. Nie, nie dlatego, że źle rysowałem. Rysowałem nieźle i dzięki profesorowi Prusakowi zostałem architektem. Zawód, jaki mu sprawilem, polegał na czymś innym. Po prostu nie umialem śpiewać. A pan profesor zawsze twierdził, że kto dobrze rysuje, to i dobrze śpiewa. Widocznie byłem wyjątkiem potwierdzającym tę regułę. Z tego powodu swoje popisy wokalne ograniczam do występów w łazience.



11. KOŚCIEC

– a właściwie jego budowa – był przyczyną trzech moich kolejnych dwój z biologii. Przedmiotu tego uczyła nas pani Niklewska, mająca ksywkę nadaną jej przez nas, nie tyle źle świadczącą o niej, lecz raczej o nas. Nie będę tu tej ksywki przypominał. Ci, co wiedzą, to wiedzą, ci, co nie wiedzą, to wiedzieć nie muszą. Na usilne prośby mogę tu tylko uchylić rąbka tajemnicy. Wiązała się ona z jej..., nie, nie powiem. Mimo wszystko, byłoby to bardzo nieeleganckie z mojej strony.

Wracamy do moich trzech kolejnych dwój. Druga lekcja biologii (na pierwszej mieliśmy zadane): – Jakubowski, budowa kośćca.

Oczywiście nie wiedziałem. I to była pierwsza dwójka. Na trzecią lekcję biologii się nie nauczyłem, ponieważ myślałem, że byłem już pytany i że będę miał spokój.

Trzecia lekcja.

– A o budowie kośćca opowie nam, opowie..., któż może nam opowiedzieć? Pewnie Jakubowski. Będzie chciał się poprawić. Jakubowski, budowa kośćca – oczywiście druga dwójka.

Do trzech razy sztuka – pewnie pomyślała pani Niklewska – i zapytała mnie o tę budowę po raz trzeci na kolejnej lekcji. Niestety, ja tak nie pomyślałem i zainkasowałem dwóję trzecią.

Na następną lekcję wykułem budowę kośćca na blachę. Zresztą, wcale to nie było takie trudne. Niestety, pani Niklewska machnęła na mnie ręką. Do poprawki z biologii musiałem pocze-kać do końca okresu.

Korzystając z tego, że jestem przy głosie, przypominam budowę kośćca człowieka według podręcznika do biologii Rabego. Oto ona:

„Kościec człowieka składa się z kości głowy, z kości tułowia, z kości kończyn górnych i z kości kończyn dolnych”.

Prawda, jakie to łatwe. A ja przez lenistwo zarobiłem za nieznaną budowę w sumie szóstkę. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pamiętam ją do tej pory. Rabego cytowałem z pamięci.

12. PRAWIE ZAWAŁ

groził mojej mamie podczas wywiadówki na półroczu w drugiej gimnazjalnej. Od tego nieszczęścia uratowała nas – moją mamę i mnie – moja ocena z rysunków. Wywiadówkę prowadziła pani profesor Maria Gawałkiewicz, później Husarska – żona wybitnego historyka sztuki, Wacława – która była naszą wychowawczynią i uczyła nas niemieckiego. Jej przezwiska tu nie przytoczę, bo – delikatnie mówiąc – nie było przyjemne. Ale do *ad rem*, jak mawiał jeden z moich licznych szefów w biurze projektów.

– Pani syn nie dostanie promocji do następnej klasy. Ma trzy oceny niedostateczne: z języka polskiego, z historii i z matematyki. Przeszkadza na lekcjach. Jest niegrzeczny. Nawet z rysunków ma ocenę ledwie dostateczną.

– Mój syn ma ocenę dostateczną z rysunków? Nigdy w to nie uwierzę. Musiała pani pomylić mojego Tadeka z kimś innym.

W tym momencie mama odetchnęła z ulgą.

– Jak pani powiedziała, Tadek? Bardzo panią przepraszam. Pomyliłam panią z matką – tu wymieniła imię i nazwisko mojego kolegi. Nie będę go tu przypominał. Rzeczywiście, nie otrzymał promocji do trzeciej gimnazjalnej. Miał jednak uzdolnienia w innym kierunku i życia nie zmarnował.

13. UNRA

Zaraz po wojnie pomagali nam nasi wiarołomni sojusznicy, którzy wcześniej nas, ale nie tylko, bo przy okazji pół Europy, wystawili do wiatru. Prawie za frajer oddali nas w pacht Wąsatemu Słoneczku. Nie wiem, czy ta pomoc była spowodowana wyrzutami sumienia z wyżej wymienionego powodu, czy chęcią opróżnienia magazynów, a może jednym i drugim. Faktem jest, że pomoc od nich napływała.

Pomoc ta była organizowana poprzez organizację wymienioną w tytule. Były to niepotrzebne już sorty mundurowe, buty, ale chyba nie wojskowe, tylko wyprodukowane może specjalnie dla mieszkańców już nie trzeciego, ale piątego świata, wojskowe racje żywnościowe, konserwy (krwawa kobasica), ale nie tylko. Również konie, dla których Polska była przystankiem w podróży na wschód, ziarno siewne i traktory potrzebne do zagospodarowania Ziemi Zachodnich zwanych wtedy Ziemiami Odzyskanymi.

Moja rodzina i ja też korzystaliśmy z tej pomocy. Moi rodzice dostali w pracy paczki żywnościowe zawierające po dwa-dzieścia dziennych racji żywnościowych żołnierzy amerykańskich, ja zaś dostałem w szkole wspomniane uprzednio buty przeznaczone dla piątego świata. Ucieszyłem się, bo zbliżała się zima, a chodzenie w drewniakach (innych butów wtedy nie miałem) było bardzo niewygodne. Niestety, buty te nie były przeznaczone do chodzenia w naszym klimacie. Wierzchy, czyli cholewki brezentowe, sznurowane, z piętami i noskami dodatkowo pokrytymi tworzywem ceratopodobnym. Uzupełnieniem

tego cacka były cienkie spody z tworzywa gumopochodnego. To cud, że ja w tych butach nie odmroziłem nóg. Może były za duże i ratowałem się podwójnymi skarpetami lub dodatkowymi onucami. Dokładnie nie pamiętam.

Angielski Battle Dress i wojskowe spodnie mama kupiła mi na bazarku na Emilii Plater w pobliżu Nowogrodzkiej. Sprzedawał je ktoś, kto miał dojsć do magazynów Unry w Warszawie. Szczytem marzeń były wtedy angielskie luźne kurtki z kapturem z wielbłądziej wełny zapinane na drewniane zatyczki. Były to tak zwane kapuzy i nosili je tylko najbogatsi i jednocześnie najwięksi eleganci. Dzięki tym kapuzom trafili oni do ulicznej piosenki warszawskiej. To o nich śpiewał Stanisław Grzesiuk:

Nie bądź za cwany, w unrę odziany.

I jeszcze jedna migawka z tamtego okresu. Dotyczy ona amerykańskich traktorów, jakie otrzymaliśmy wcześniej w ramach pomocy. Po uruchomieniu produkcji traktorów w Ursusie w „Wieczorze” początkowo wydawanym jako dodatek „Życia Warszawy” ukazał się artykuł pt.

„URSUS URODZI 500 BULDOGÓW BY ZASTĄPIĆ AMERYKAŃSKIE CHUCHERKA”.

Ale im dołożyliśmy!

14. KOCIOŁ

– ale taki nie do gotowania. „Kocioł” to również zasadzka. Podczas okupacji zasadzki takie urządzali Niemcy, a po przejściu frontu – Ubowcy. Zdarzało się, że jedni i drudzy polowali na tych samych konspiratorów. Zasadzki takie urządzano w mieszkaniach osób podejrzanych o działalność niepodległościową, a według „myśliwych” – wywrotową lub antypaństwową. Każdy, kto przychodził do takiego mieszkania, czyli do kotła, już nie był z niego wypuszczany. Chodziło o to, by nie mógł ostrzec innych, że do tego mieszkania przychodzić nie należy.

Do takiego kotła w Pruszkowie wpadł po wojnie Kazimierz Sosnowski, harcerz Szarych Szeregów, pseudonim „Sum”, i jego żona, Hanka. Do domu wrócili nieprędko. W 1955 roku podczas mojego pobytu w Rawiczu dowiedziałem się, że wylądowali w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie. Powiedział mi o tym Artur Miterand, rawicki więzienny bibliotekarz, który wcześniej razem z nimi (albo tylko z Hanią) zatrudniony był w magazynie ubraniowym na Rakowieckiej.

15. KRZYŻE

Zdzisław Plewiński, którego poznałem później, w końcu lat czterdziestych był na swoim pierwszym obozie harcerskim. Należał do 27 CDH w Częstochowie. Jego drużynowym był Jan Świąć. Świat jest mały. Po latach Jan Świąć został architektem i pracował ze mną w tym samym biurze projektów na Wierzbowej w Warszawie. Ale wracajmy do obozu harcerskiego.

W swoim harcerskim opowiadaniu pt. „KRZYŻE” Zdzisio opisuje dzień po dniu gry i zabawy harcerskie, obozowe życie i przygotowania do egzaminów na pierwszy stopień harcerskiego wtajemniczenia, to jest o uzyskanie oficjalnego tytułu młodzika.

Egzamin zdaje. Otrzymuje krzyż harcerski. Jest przedostatnia sobota na obozie. Nazajutrz z całą drużyną maszeruje na mszę świętą do oddalonej o 7 kilometrów wioski. Msza nie jest radosna, jest pogrzebowa. W kościele sześć drewnianych trumien, w nich młodzi, nieznani mężczyźni. Zwłoki odkryte w powojennych bunkrach przez chłopców pasących krowy.

Kazanie księdza przerywa przeraźliwy krzyk kobiety. W jednym z zabitych poznaje swojego syna:

– To Adaś, mój syn, w październiku zabrała go bezpieka.

Pada krzyżem przed trumną syna. Coraz ciszej rozpacza.

Strażacy razem z harcerzami pełnią wartę honorową przy trumnach. Trzy godziny po mszy świętej miał się odbyć pogrzeb pomordowanych. Ale się nie odbył. Godzinę przed tą uroczystością przyjechała bezpieka. Trumny załadowano na samochody i wywieziono, nie wiadomo dokąd.

Zdzisio Plewiński widział niejedno. Podczas okupacji niemieckiej jako dziecko był świadkiem wielu okrutnych scen. Oglądał ustawianie pod murem zakładników, wśród których był jego stryj. Patrzył na rozstrzeliwanie. Widział wywózkę Żydów przed likwidacją częstochowskiego getta. Najbardziej traumatycznym przeżyciem był jednak widok rozpaczającej matki, leżącej krzyżem przed trumną zamordowanego syna. Do dzisiaj słyszy jej przechodzący w szept krzyk.

Po zwinięciu obozu harcerze wracają do domu z krzyżami na piersiach i tragedią, jakiej byli świadkami w wiejskim kościółku, w pamięci. Zdzisio zastanawiał się, czy te krzyże będą jedynymi, jakie przyjdzie mu nieść w dalszym życiu?

Nie były. W lutym 1954 roku spotkaliśmy się w tej samej celi na ogólniaku w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie. Drugiego kwietnia 1954 roku tym samym transportem przyjechaliśmy do Rawicza. Ale to jest już zupełnie inna historia.

16. AWTOWSZCZYK

bratniej armii był pijany i fakt ten dość nieprzyjemnie od-
cisnął się na życiu mojego wujka Zebka, rodzonego brata naszej
mamy. Dwa słowa o nim. Za polskich czasów był uczestnikiem
10 rajdów Automobilklubu Polski z 12, jakie wtedy zostały roze-
grane oraz rajdów zimowych i gwiazdzistych. Był wielokrotnym
triumfatorem tych imprez. Był wybitnym mechanikiem samo-
chodowym i współwłaścicielem firmy „Krzczkowski i spółka”
w Warszawie, w której początkowo montowane były citroëny,
a przed samą wojną lancie.

Po wojnie Euzebiusz Dzierliński krótko był dyrektorem
Państwowych Warsztatów Samochodowych w Olsztynie. Krót-
ko, ponieważ miał pecha. Pech polegał na tym, że w warszta-
tach tych był remontowany ZIS PIAĆ^{*)} bratniej armii. Zaraz
po odbiorze prowadzący go awtowszczyk rozbił go w drob-
ny mak. Wujek został oskarżony o sabotaż i spędził kilka lat
w Sztumie. I nie pomogło mu to, że awtowszczyk był na podwój-
nym gazie. Ktoś wtedy powiedział – nie pamiętam już kto – że
u nich to norma i że w związku z tym fakt ten nie może być oko-
licznością łągodzącą.

^{*)} ZIS PIAĆ. Samochód ciężarowy ZIS wyprodukowany w zakładach imie-
nia Stalina. Popularna opinia o nim w PRL-u: ZIS PIAĆ – z góry jedzie,
pod górę pchać.

17. DEMOKRACI Z DOŁU

Na początku września 1948 roku rozpocząłem naukę w czwartej klasie gimnazjalnej u Zana w Pruszkowie. Było to niecałe dwa miesiące po powstaniu we Wrocławiu Związku Młodzieży Polskiej utworzonego przez połączenie przybudówek młodzieżowych. Związku Walki Młodych związanego z PPR-em, Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych związanej z PPS-em i Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” związanej ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym. Możliwe – ale nie jestem tego pewien, zresztą nie jest to istotne – że dołączył do nich również Związek Młodzieży Demokratycznej.

Członkowie tych organizacji w naszym gimnazjum i liceum zebrali się w sali na paterze, czyli na dole, by się policzyć i wybrać zarząd nowej organizacji. Pozostali uczniowie „bezpartyjni” w tym czasie mieli lekcje wychowawcze. Nasza klasa mieściła się wtedy na piętrze. Lekcję wychowawczą prowadził chyba nasz dyrektor, Bazyli Ogłoblin. Truł o jutrzence swobody i radosnym życiu oraz o tym, że jutro mogą przyspieszyć czyny społeczne, nawet te niewielkie. Takim niewielkim czynem miało być sprzątnięcie naszego boiska szkolnego i terenów Parku Bersohna, do których to prac nas żarliwie zachęcał.

Po tym przemówieniu wstał Antek „Hrabia” Przeszkodziński i powiedział:

– Panie dyrektorze. Udział w takich czynach to duże wyróżnienie. Niech to zrobią demokraci z dołu. Ten zaszczyt im się należy.

18. PROSO

W domu na sąsiednim podwórku mieszkał nasz kolega, Zygmunt Lechański, z młodszą siostrą Kazią i mamą, Marianną Lechańską. Jego tata, pan Walenty Lechański, jak poszedł na wojnę, to wrócił z niej w czerwcu lub w lipcu 1947 roku. To od niego, z pierwszej ręki, poznaliśmy warunki życia w raj, do którego trafił po 17 września. W raj, tym pracował w WSPD (Wyższej Szkole Piłowania Drzewa) na Dalekiej Północy. W obozie, w którym przebywał, wszyscy karmieni byli prosem. Garstka prosa na jeden dzień na osobę. Słuchając tej opowieści, mimo woli spojrzałem na jego dłoń. Taka jedna na cały dzień, to się nam w głowie nie mieściło.

Pan Walenty Lechański opuścił raj z armią generała Władysława Andersa. Brał udział w bitwie o Monte Cassino. Wypoczywał w willi Mussoliniego na Capri. Opowiadał nam o swoich wojennych przygodach. O wielu z nich już zapomnieliśmy. Utkwiła nam w głowach tylko ta garstka prosa dziennie. Ta garstka prosa taty Zygmunta między innymi skutecznie broniła nas przed indoktrynacją i propagandą, która usiłowała nas osaczyć.

19. NOWY

Świetlica naszej drużyny harcerskiej mieściła się w domu kultury (nie pamiętam, jak on się wtedy nazywał) na terenie szpitala psychiatrycznego w Tworkach. Połowa druhów to byli synowie osób zatrudnionych w tym szpitalu. Jeden z tych druhów coś przeszkrobał, czy czymś naraził się niezbyt mądrymu pielęgniarzowi, dość, że ten pielęgniarz zamknął go w sali, w której przebywali pensjonariusze szpitala.

– Witamy, witamy – rozległy się okrzyki – Hura, hura, mamy nowego – brawo, niech żyje, niech żyje.

Wiwatom i okrzykom radości nie było końca. Nastrój euforii przerwał jeden z pacjentów:

– Panowie, coście powariowali? Przecież to nowy. Czyście zapomnieli o naszych ustaleniach dotyczących każdego nowego?

Na chwilę zapanowała cisza. Ale tylko na chwilę. Wśród okrzyków „mamy nowego” i „masz, a masz” rozpoczęło się zbiorowe łanie. Na szczęście dla naszego kolegi jego krzyki usłyszał przechodzący pielęgniarz, który wybawił go z opresji.

20. LATRYNA

była długa, miała około stu metrów i urządzona była na stadionie olimpijskim we Wrocławiu. Konstrukcja typowa dla tego rodzaju obiektów. Po dwa rzędy poziomych żerdzi przymocowanych do kozłów nad głębokim rowem. Dwa słowa wprowadzenia, jak się w tym miejscu znalazłem.

W lipcu 1948 roku hufiec Pruszków obozował w miejscowości Pilichowice – Ząbora na Dolnym Śląsku. Nasze namioty stały na polanie, łagodnym spadkiem schodzącej do lustra wody. Tak się złożyło, że harcerze z naszego hufca razem z harcerzami z Dębicy (lub z Mielca – dokładnie nie pamiętam) zostali zaproszeni w charakterze gości na zlot zjednoczeniowy młodzieży do Wrocławia. 21 lipca na stacji kolejowej w Kamiennej Górze miała miejsce nieudana próba wyrzucenia nas z wagonów (były potrzebne dla delegatów na zlot). Wieczorem dojechalismy do Wrocławia. Zakwaterowanie w namiotach na stadionie olimpijskim. W nocy silna burza. Żle wbite śledzie*) wyrwało z ziemi i przeniosło namioty w inne miejsce.

Świt 22 lipca 1948 roku zastał mnie zawieszonoego na żerdziach nad dołem latryny. W pozycji takiej przyjmowałem kolumny delegatów ćwiczących przed defiladą, która miała się odbyć za kilka godzin. Maszerowali i skandowali rytmicznie jeden okrzyk: Bie-rut! Bie-rut! Bie-rut!

Zdarzenie to tak mnie rozśmieszyło, że musiałem się mocno trzymać górnej żerdzi (na dolnej stałem w pozycji kucznej), żeby ze śmiechu nie wpaść do dołu.

*) Nie było to nasze dzieło.

Kilka godzin później przemarsz ulicami Wrocławia. Idziemy razem z harcerzami z Dębicy (lub z Mielca). Milkną gwizdy. Pojawiają się brawa. Słysząc okrzyki: Jedna atomowa i wracamy do Lwowa.

21. WYPRACOWANIE

To była moja praca z języka polskiego. W 1949 roku byłem uczniem pierwszej klasy (typ matematyczno-fizyczny) Liceum Ogólnokształcącego im. Tomasza Zana w Pruszkowie (po reformie 10 M). Tematem tej pracy było skomentowanie „Pijaństwa” Ignacego Krasickiego i „Pieśni kurdeszowej” Franciszka Bohomolca.

Nie pamiętam już, z jakiego powodu nie miałem czasu na napisanie tego wypracowania. Prawie w ostatniej chwili przepisałem oba te utwory (nie były długie) i podsumowałem je jednym zdaniem – że nie wymagają one żadnego komentarza.

Nasza Stasia, czyli pani profesor Stanisława Ostrowska, właściwie oceniła mój wysiłek intelektualny. Dostałem dwóję, czyli cwaję, bombę, lufę, określaną również jako gała.

22. WAGARY

W 1949 roku w naszym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym Nr 26 im. Tomasza Zana w Pruszkowie miała odbyć się akademie żałobna w pierwszą rocznicę śmierci generała „Waltera”, który jeżeli wierzyć Janinie Broniewskiej, kulom się nie kłaniał. Nie chcieliśmy uczestniczyć w tej akademii. W związku z tym prawie cała nasza szkoła uciekła razem ze sztandarem na wagary. Uciekliśmy przez okno na parterze od strony ulicy Klonowej, ponieważ w celu zapewnienia frekwencji drzwi zostały zamknięte na klucz. W akademii poza aktywistami wzięło udział kilkunastu strachliwych dudków.

Na wagarach powstał hymn naszej szkoły, śpiewany obecnie na rocznicowych spotkaniach koleżeńskich. Po tych wagarach szereg uczniów było represjonowanych, zwłaszcza z klas maturalnych (były u nas dwie: matematyczno-fizyczna i humanistyczna).

A oto pierwsze słowa hymnu powstałego na tych pamiętnych wagarach:

*Była u Zana rzecz niesłychana,
której nie było od wielu lat.
Nasz oddział wiary, zwiął na wagary,
by sobie rumpaj pumpaj uprzyjemnić świat.*



Liceum Ogólnokształcące im. Tomasza Zana w Pruszkowie. Nasza klasa maturalna (1950). Część. W przyszłość maszerują od lewej: Jan Przywecki, Grzegorz Sitarski, Janusz Makowski, Tadeusz Jakubowski, Krzysztof Jeliński, Henryk Kubiński, Jerzy Miszalski, Tadeusz Łosiewicz.

23. SKARBY

W grudniu 1949 roku z koleżankami i z kolegami z naszej klasy maturalnej przebywałem na zimowisku w Szklarskiej Porębie. Niestety, zachorowałem na szkarlatynę i na dzień przed wigilią znalazłem się w szpitalu w Mysłakowicach koło Jeleniej Góry, w pobliżu wsi Łomnica.

W oddziale chorych na szkarlatynę, mieszczącym się w wydzielonym baraku, byłem najstarszym pacjentem. Bardzo szybko zaprzyjaźniłem się z siostrami, Zofią Pochopień i Zofią Kitzman, pielęgniarką – kucharką panią Wacławą (nazwiska niestety nie pamiętam) i z panem Pieczychlebkiem, palaczem w szpitalnej kotłowni. Wieczorami do późnych godzin nocnych w moim pokoju kwitło życie towarzyskie. Pan Pieczychlebek – wilniuk z Armii generała Andersa – opowiadał o bitwie o Monte Cassino, siostra Zofia Kitzman opowiadała o swoich przeżyciach z obozu, a siostra Zofia Pochopień o pracy na robotach przymusowych.

Pod koniec mojego pobytu w szpitalu pani Wacława przysłała do mojego pokoju i chciała mi podarować na pamiątkę piętnaście stron diariusza ręcznie pisanego z 1633 roku, mówiąc, że znalazły go dzieci w jednym z zabudowań w Łomnicy. W Łomnicy, gdzie mieszkała pani Wacława, była papiernia. Początkowo myślałem, że zbiory z polskich bibliotek były tam przewożone na przemiał. Stosunkowo niedawno dowiedziałem się, że było inaczej. W czasie panicznej ucieczki Niemców zostały one po prostu tam i w innych miejscowościach Dolnego Śląska ukryte.

Zbaraniałem. Powiedziałem pani Wacławie, że tego prezentu nie mogę przyjąć, ponieważ jest to własność narodu pol-

skiego. Zaproponowałem jej przyniesienie do szpitala całego znaleziska. Zrobiłem spis przyniesionych druków i rękopisów, na którym pokwitowałem przyjęcie tego skarbu, zobowiązując się do przekazania go do Biblioteki Narodowej w Warszawie. Wziąłem również adres pani Wacławy, obiecując, że dostanie podziękowanie z Biblioteki Narodowej w Warszawie i że być może przyjedzie ktoś z Biblioteki do Łomnicy w celu dalszych poszukiwań.

Po powrocie do Pruszkowa (byłem uczniem gimnazjum i liceum im. Tomasza Zana) pokazałem znalezisko dyrektorowi szkoły, panu Romanowi Kubińskiemu. Tego samego dnia, 23 stycznia 1950 roku, paczkę zawierającą dwadzieścia pięć drobnych druków i rękopisów polskich znalezionych w Mysłakowicach koło Jeleniej Góry przekazałem dyrekcji Biblioteki Narodowej (podziękowanie mam do dzisiaj).

Po około dwóch tygodniach list ze szpitala od siostry Zofii Kitzman i od siostry Pochopień. Między innymi pisały, że pani Wacława dostała podziękowanie z Biblioteki Narodowej i że w związku z tym płakała ze szczęścia. Nie pamiętam, czy ktoś z biblioteki wtedy do Łomnicy przyjechał.

Nie będę szczegółowo opisywał tych druków i rękopisów, ale o kilku wspomnieć muszę. Oprócz diariusza Wiktorii Smoleńskiej z 1633 roku, spisane go przez polskiego szlachcica i dotyczącego zwycięskiej wyprawy króla Władysława IV na odsiecz temu miastu, był tam regulamin artylerii konnej wojska polskiego z 1825 roku, napisany ręcznie w języku polskim, rozkaz podpisany przez Wielkiego Księcia Konstantego, by zmienić w wojsku polskim guziki płaskie na wypukłe z zachowaniem wszelako rysunku, fragment XIX-wiecznego sztambucha z nieco inną niż znany wersją Mazurka Dąbrowskiego, „Statut Stowarzyszenia Polaków Pracujących w Paryżu” dotyczący kas zapomogowo-pożyczkowych Wielkiej Emigracji, plan sejmu galicyjskiego z nazwiskami wszystkich posłów.

Największe wrażenie wywarły na mnie wykazy aresztowanych ochotników polskich przedzierających się do powstania listopadowego z Wielkopolski. Sporządziła je carska straż graniczna. Były tam następujące rubryki: imię i nazwisko pojmanego, data ujęcia go, miejsce aresztowania, imię i nazwisko konfidenta, który go wydał oraz wynagrodzenie konfidenta.

W marcu 1999 roku rozmawiałem na temat tych druków i rękopisów z redaktorem Włodzimierzem Kalickim. 8 kwietnia 1999 roku w „Magazynie”, dodatku do „Gazety Wyborczej”, rozmowa została opublikowana w siódmym odcinku jego cyklu „Sztuka zagrabiona”. To z tego właśnie odcinka pochodzą dwa ostatnie akapity przedstawione przeze mnie w obrazku pt. „Skarby”. Wcześniej, bo w styczniu 1996 roku, ukazał się na temat tych skarbów mój artykuł w „Życiu Warszawy”.

24. PAN PIECZYCHLEBEK

miał piękne nazwisko. Może jego pradziadek był piekarzem. Tego nie wiem. Wiem za to, że był wilniukiem, że poprzez Syberię i Irak dotarł do Włoch, gdzie brał udział w zwycięskiej bitwie o klasztor na Monte Cassino.

Poznałem go w szpitalu zakaźnym w Mysłakowicach koło Jeleniej Góry, gdzie był zatrudniony w charakterze palacza. W szpitalnej kotłowni znalazł schronienie przed inwigilacją. Nie wiem na jak długo. Na przełomie 1949 i 1950 roku byłem pacjentem tego szpitala. Chorowałem na dziecięcą chorobę, czyli na szkarlatynę. Byłem najstarszym pacjentem baraczk szpitalnego przeznaczonego dla szkarlatynników. W związku z tym w moim pokoju kwitło życie towarzyskie. Udział w nim brali oczywiście, oprócz mnie, siostra Zofia Kitzman, siostra Zofia Pochopień, pielęgniarka i jednocześnie oddziałowa, kucharka, Pani Wacia.

Relacja Pana Pieczychlebka znacznie uzupełniała moje wtedy skąpe wiadomości o tej jednej z najważniejszych bitew polskiego oręża. Szczególnie utkwił mi w pamięci epizod z Churchilllem. Nie, nie z premierem Wielkiej Brytanii, lecz z nożem noszącym jego imię. Wszyscy żołnierze armii kresowej dodatkowo byli wyposażeni w noże, które żartobliwie nazywali czerczylami.

Niedaleko Pana Pieczychlebka, podczas silnego, żeby nie powiedzieć – huraganowego, ostrzału niemieckiego, w czasie którego nie można było nawet podnieść głowy, leżał jego ranny kolega. Błagał go o czerczyla. Widocznie nie mógł się odwrócić, by wyjąć swojego. Błagał go bezskutecznie, ponieważ był

w szoku i Pan Pieczychlebek bał się, że w takim stanie może popełnić samobójstwo. W pewnym momencie odwrócił się, wyciągnął swojego czerczyla i odciął sobie zdruzgotaną rękę powyżej łokcia, która trzymała się prawie tylko na skórze. Odrzucił ją i zemdlął.

Dlaczego pokazuję ten drastyczny obrazek? Dla pamięci. Coraz częściej zapominamy o daninie krwi naszych żołnierzy i o „zapłacie”, jaką otrzymali po powrocie do Polski, a właściwie do kraju, bo Polska to by ich latami nie nękała.

25. ZASADZKA

się nie udało, ponieważ czerwonoskórzy się niecierpliwi i zachowywali się głośno. Na pomysł zorganizowania zasadzki na blade twarze wpadłem w czasie mojego pobytu w szpitalu zakaźnym w Mysłakowicach koło Jeleniej Góry. Miałem wtedy osiemnaście lat, a moi koledzy po sześć – siedem. Byli bardzo ruchliwi i hałaśliwi. Co to dużo ukrywać. Byłem w stosunku do nich nie w porządku. Organizując zasadzkę, trochę ograniczałem ich ruchliwość i hałaśliwość i miałem dzięki temu może pół godziny, ale nie więcej niż jedną, na czytanie książek.

Od tamtych czasów minęło przeszło pół wieku, a ja jeszcze do dzisiaj pamiętam najwaleczniejszego z czerwonoskórych. Był nim Grześ Potempa z Tarnowa.

26. GRATULACJE

W grudniu 1949 roku cała nasza klasa maturalna przyjechała do Szklarskiej Poręby. Ja byłem w niej zaledwie kilka dni, ponieważ zachorowałem na szkarlatynę. Wylądowałem w powiatowym szpitalu zakaźnym w Mysłakowicach koło Jeleniej Góry. Tak się złożyło, że do 1 grudnia tego roku szpital ten funkcjonował jako wyłącznie skórno-wenerologiczny.

Po wypisaniu ze szpitala, w końcu stycznia 1950 roku, rano, przy pięknej słonecznej pogodzie, czekałem na autobus do Szklarskiej Poręby. Przed powrotem do domu musiałem tamjechać po pozostawioną walizkę czy plecak. Na przystanku czekało na autobus wiele osób, a wśród nich jeden niewysoki kolejarz. Przytupywał nogami na mrozie i cały czas kręcił się koło mnie, jakby chciał zagadać. W końcu podszedł do mnie.

– Panie, gratuluję. Według mnie jak chłop chociaż raz w życiu nie złapie, to nie jest chłop.

W tym momencie wszyscy oczekujący na autobus spojrzeli na mnie:

– Ja na szkarlatynę.

– Panie, wszyscy tak mówią, nie ma się czego wstydzić.

Na szczęście nadjechał autobus i rozmowa ta nie miała już dalszego ciągu.

27. KORKI

Tak określane były korepetycje w moich szkolnych latach (matura 1950), które były niesłychanie rzadkie. W porównaniu z dzisiejszymi można powiedzieć, że ich w ogóle nie było. Jeżeli się zdarzały, to tylko w przypadku choroby któregoś z nas. Udzielał ich kolega z tej samej klasy. Bardzo rzadko zdarzało się, żeby udzielał ich profesor i to w dodatku z przedmiotu, którego uczył w klasie ucznia, któremu udzielać miał korepetycji. Wynikało to z tego, że mieliśmy doskonałych profesorów. Nasz wychowawca, profesor Józef Paprocki, wprowadzał nas w arkana fizyki, algebry, trygonometrii i geometrii analitycznej. Po jego lekcjach właściwie nie trzeba było się uczyć. Wszystko było dla nas zrozumiałe. Rysunków, znajomości perspektywy i proporcji uczył nas artysta malarz, profesor Wacław Prusak. Rezultat – dwóch artystów malarzy i trzech architektów z naszej klasy. Niezwykle ciekawie lekcje z języka polskiego prowadziła pani profesor Stanisława Ostrowska. Spod ręki Stasi – bo tak o niej mówiliśmy – wyszli Wojciech Żukrowski, Leonid Teliga, Wojciech Młynarski i Zbigniew Jerzyna, Sławomir Kryski i Sławomir Łubiński. Do kręgu kultury śródziemnomorskiej włączyła nas pani dr Lidia Winniczuk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i długoletnia redaktor miesięcznika (lub kwartalnika – dokładnie nie pamiętam) „Meander”, poświęconego kulturze starożytnej.

Drugą przyczyną braku korków w moich szkolnych latach był doskonale skonstruowany – jeszcze przed wojną – program nauczania. Na przykład historia i literatura wspierały się nawzajem. Wypisy literackie dla klas gimnazjalnych, ujęte w podręcz-

nikach „Mówią wieki”, były tak dobierane, że korespondowały z równolegle przerabianymi okresami i wydarzeniami historycznymi. Każdy okres czy epoka historyczna dodatkowo były kończone referatem na temat sztuki tej epoki czy okresu. Mając takich profesorów – oczywiście wszystkich tu nie wymienię – wspieranych przez logiczny program nauczania, do matury przystępowaliśmy bez zdenerwowania.

Obecnie jest inaczej. Jak czytam o wszechobecnych korepetycjach, cenach za nie i nerwowości panującej w szkołach, być może związanej z wyścigiem szczurów, to bierze mnie cholera. Jeżeli włosy mi nie stają dęba na głowie, to tylko dlatego, że ich już nie mam.

28. FARAON

był moją pierwszą w życiu nagrodą za dokonania twórcze. Wprawdzie w ochronce, czyli w przedszkolu, też byłem nagradzany za rysunki, ale nie były to tak znaczące nagrody jak ta. Autora „Faraona” nie podam, ponieważ znają go wszyscy, a ci, co go nie znają, na pewno nie będą czytali tego tekstu.

A było to tak. Dawno, dawno temu, bo w 1950 roku, byłem uczniem klasy maturalnej Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Tomasza Zana w Pruszkowie. W czerwcu tego roku razem z kolegami brałem udział w wystawie dokonań artystycznych naszej szkoły, zorganizowanej na terenie pruszkowskich zakładów pracy. Była to wystawa wędrująca. Obecnie młodym pruszkowianom może się to wydawać nieprawdopodobne, ale rzeczywiście wtedy takie zakłady na terenie naszego miasta istniały.

Za rysunki eksponowane na tej wystawie oprócz mnie nagrodzeni zostali również moi koledzy. Przyszli – tak, jak i ja – architekci, Krzysio Stańczyk i Jurek Kuźmionko oraz przyszły artysta malarz, Jurek Miszański. Cała ta czwórka wyszła spod ręki Wacka, czyli pana profesora Wacława Prusaka.

Koledzy zazdrościli mi mojego „Faraona”. Oni też dostali nagrody książkowe, być może według ówczesnych sponsorów – a należał do nich między innymi Komitet Opieki Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Tomasza Zana przy Zakładach Przemysłu Obrabiarkowego i Maszynowego w Pruszkowie – bardziej wartościowe od mojej. Niestety, te nagrody nie przypadły im do gustu. Nie pamiętam już, co który z nich dostał, ale pamiętam tytuły tych dzieł. Był to „Manifest”, nie powiem jaki, bo jako

stary harcerz nie używam nieprzyzwoitych wyrazów, „Kapitał” – tego samego autora oraz jedna z wielu prac największego językoznawcy świata, określanego w kręgach zeków (zakluczonych) jako Wąsate Słoneczko.

Do dzisiaj mam kilka rysunków z tej wystawy. „Faraona” już nie. Dałem go dzieciom z sąsiedniego podwórka, Ani, Mańkowi i Michałowi Karaskom. Są to od lat moi przyjaciele. Obecnie chodzą do szkoły.

P.S. Nie jestem politykiem. Dlatego bardzo proszę o niezamienianie słowa „obecnie” na słowo „aktualnie”.



„Laureaci” na wycieczce rowerowej w Żelazowej Woli. Od lewej: Krzysio Stańczyk, Jurek Miszański i Tadeusz Jakubowski.

29. WSTYD

się przyznać, ale po maturze raz piłem benedyktynekę i raz ratafię. Na szczęście, tylko po razie. Taki sam zajzajer jak alasz, aquavit czy goldwasser. Oczywiście według mnie.

Wolałem piwo. Dowód rzeczowy na załączonym zdjęciu.



Rok 1950. 26. Brygada PO Służba Polsce w Michałkowicach. Po szychcie... Autor (po lewej) z Jackiem Krupińskim.

30. CZARNY

Taki pseudonim miał najlepszy bramkarz „Znicza” Pruszków w latach czterdziestych. Lekko przygarbiony, bronił wspaniale. Odgadywał lot piłki jeszcze przed jej skierowaniem do bramki. Był niezwykle skoczny, a jego robinsonady zachwycały wszystkich. Był to Zdzisław Stępniewski. W obronie dzielnie mu sekundował Długoborski, określany przez nas jako Długobora. Miał on potężny wykop, po którym piłka lądowała w pobliżu bramki gości. Z okresu tego zapamiętałem jeszcze prawoskrzydłowego Janka Lewandowskiego, którego centry były doskonałe i który potrafił strzelić gola z kornera (z rzutu różnego).

Zbliżał się termin meczu decydującego o mistrzostwie w klasie A Warszawskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej. Przeciwnikiem „Znicza” był „Grochów”, który po zmianach organizacyjnych miał już niedługo występować jako WKS „Gwardia”. Przed samym meczem stało się nieszczęście, „Znicz” został poważnie osłabiony, ponieważ Czarny został zamknięty. Nie wiem, z jakiego powodu to się stało, ale groziła nam kompletna klapa. Nie miał kto bronić naszej bramki, ponieważ jego dubler chorował. W takiej sytuacji doszło do porozumienia działaczy klubowych z milicją i Czarny prawie w ostatniej chwili został przywieziony z aresztu na boisko „Znicza”.

Nie pamiętam wyniku tego meczu. Jego bohater piłki przyszłych gwardzistów wyłapywał z kocią zręcznością. Po końcowym gwizdku zawodnicy „Grochowa” i „Znicza” oraz pilnowany przez blacharzy Czarny rozebrali się nad Utrata, która oddzielała stadion od parku i była wtedy jeszcze czysta, by

się umyć i odświeżyć. Moment nieuwagi i Czarny znalazł się na przeciwnym brzegu. Milicjanci chyba go nie gonili – musieli by zmoczyć służbowe buty i mundury. On sam zniknął w parku. Podobno byli tam jego koledzy z ubraniem.

Po dłuższym czasie spotkałem go w kopalni Rozbark w Bytomiu, na przodku, pięćset metrów pod ziemią. Dostarczałem na ten przodek sztomple^{*)} i fele^{**)} do odbudowy wyrobiska.

Nosiłem je lub ciągałem za sobą chodnikami, które w niektórych miejscach na skutek parcia górotworu miały bardzo niewielką wysokość. W takich przypadkach musiałem się czołgać. On był wtedy w Karnej Kompanii lub w Wojskowych Batalionach Pracy, ja w 26. Brygadzie Powszechnej Organizacji „Służba Polsce” stacjonującej w Michałkowicach koło Siemianowic. Było to w czasie wakacji 1950 roku, tuż po mojej maturze.



Rok 1950. 26 Brygada PO „Służba Polsce”. Autor książeczki (z lewej) z Jackiem Krupińskim, przyszłym budowniczym rurociągu przyjaźni (opowiadał mi, że gdyby nie wystawiali wart do pilnowania materiałów budowlanych, to ten rurociąg nigdy by nie powstał).

^{*)} Sztomple – słupy drewniane.

^{**)} Fele – deski do obudowy stropu.

31. PRZYJAŻŃ POLSKO-RADZIECKA

Nie jestem autorem tego obrazka. „Namalował” go w liście do mnie Zdzisio Plewiński z Częstochowy, z którym pół wieku temu usiłowałem obalić ustrój i z którym w związku z tym wylądowałem w Pałacu Mostowskich, na Rakowieckiej i w Rawiczu (on dodatkowo jeszcze w Jaworznie). Oddaję mu głos:

... 7 listopada 1950 roku w rocznicę rewolucji październikowej, któryś z naszych bonzów wpadł na pomysł, by z tej okazji zorganizować wspólną akademię dla młodzieży wszystkich szkół średnich naszego miasta. Ściągnięto nas do hali jednej z fabryk włókienniczych. Nie była to hala produkcyjna, bo nie było w niej żadnych maszyn, a prawdopodobnie hala magazynowa, przed tym świętem opróżniona z produktów przez „przyjaciół”. Wzdłuż jednej ze ścian ustawiono (raczej zestawiono) długi stół prezydialny, z czego – nie wiadomo, nakryty czerwonym płótnem (ukrytym przed „przyjaciółmi” czy odkupionym?). Szkoły wchodziły czwórkami i ustawiały się jedna obok drugiej. Nie było krzeseł ani żadnych ław. Udział w akademii był przecież zaszczytem, a nie wygodnym odpoczynkiem. Za stołem prezydialnym zasiedli władcy z komitetów (miejskiego i powiatowego) PZPR, z zarządów ZMP i TPPR. Akademię rozpoczęła Międzynarodówka, a potem posypały się przemówienia (czytaj – przeczytania). Szkoły średnie u nas wówczas były jednoplciowe. Koedukacyjne, jeśli dobrze pamiętam, to tylko Technikum Handlowe, Technikum Włókiennicze i nasze Liceum Pedagogiczne. Tak więc każda z kolumn miała przynajmniej po jednej stronie kolumnę płci odmiennej. Zamiast wsłuchiwania się w cenne słowa płynące

od prezydium, zaczęły się „podrywki”, najpierw szeptem, na co odpowiedzią były śmiechy, również najpierw ciche, lecz z czasem zarówno pogawędki, jak i śmiech stawały się coraz głośniejsze i obejmujące coraz szersze kręgi. Doszło do tego, że słowa z prezydium nie tylko nie były słuchane, ale i słyszalne. Prowadzący akademię wreszcie nie wytrzymał. Przerwał czytającemu referat i doniosłym głosem powiedział:

„Proszę koleżeństwa, proszę nie przeszkadzać i nie śmiać się. PRZYJAŻŃ POLSKO-RADZIECKA TO NIC WESOŁEGO”.

Hala ryknęła nie tylko śmiechem, ale olbrzymią owacją. Nawet chyba żaden utwór Fredry nie doczekał się nigdy takiej owacji.

Co się stało z tym nieszczęśnikiem, mógłbyś się chyba dowiedzieć tylko w czasie penetracji akt UB.

Wśród młodzieży naszego miasta długo potem krążyło powiedzenie: „Czego się śmiejesz, skoro wiesz, że przyjaźń polsko-radziecka to nic wesołego?...”

32. EROTYK

Wszystko jest względne. Dla mnie było to prawie wczoraj. Dla młodych ludzi, którzy mają tyle lat, co ja wtedy, jest to już zamierzchła przeszłość, prehistoria. Było to w czasach, w których „Przekrój” miał szesnaście stron i nikomu nawet się nie śniło, że zostanie on, niestety, przeniesiony do Warszawy. Telewizja nie była nawet w powijakach. No dobrze, ale jak się ma do tematu zasadniczego, którego jeszcze nie widać, to wprowadzenie?

Ma. Byłem wtedy, tak jak i „Przekrój”, o przeszło pół wieku młodszy, a ona była urocza, gdy mówiła, że jestem drugi i że ten pierwszy to był straszny drań.

33. NIEDUŻY KWARTET

Na drugim i na trzecim roku Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej mieliśmy obowiązkowe zajęcia na studium wojskowym. Ja, z przyczyn ode mnie częściowo niezależnych, chodziłem na te zajęcia tylko na drugim roku. Wtedy, wcześniej i później, była moda na tworzenie w wojsku, a więc i na studium wojskowym, zespołów artystycznych. W zależności od ambicji naczalstwa – ulubione słowo naszych wykładowców wojskowych – były to zespoły taneczne (tylko na medycynie, bo tam obowiązek szkolenia wojskowego dotyczył również dziewczyn), chóry, chórki oraz deklamacje indywidualne.

Porucznik Kominek (imienia nie pamiętam) zaproponował nam utworzenie chóru. Studenty – powiedział do nas – warto by stworzyć jakiś nieduży kwartet. Może pięć, maksimum sześć osób. Zgłaszać się na ochotnika.

34. STUDENT FIGURSKI

– imienia nie pamiętam. Był na drugim roku Wydziału Inżynierii Sanitarnej Politechniki Warszawskiej. Studenci tego wydziału razem z nami, studentami architektury, mieli wspólne zajęcia na studium wojskowym. Kiedyś zgłosił się na ochotnika, że wygłosi referat o braterstwie broni. Punktem wyjścia do tego referatu była bitwa pod Lenino.

Miał niesamowite gadane. No, bo jak długo można było mówić o tym, że już w początkowej fazie bitwy zabrakło Polakom naboji? Sytuacja z minuty na minutę stawała się nie do pozazdroszczenia. W sukurs przyszli im jednak żołnierze bratniej armii. Sami mieli niewiele, ale się podzielili z Polakami. Janku – mówił Sasza – daję ci połowę moich naboji, a nawet dwa więcej, żebyś nie mówił, że jestem chytry. Chcę, żebyś wiedział, że ja i moi koledzy mamy dobre serce, że nigdy nie opuścimy przyjaciół w biedzie. Nie wiem, czy student Figurski wcześniej czytał bajki Zoszczenki, bo w tym stylu nawijał prawie czterdzieści minut. Ale chyba nie, bo bajki te były u nas wydane dopiero po Październiku 1956 roku.

Zaciskaliśmy usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Wykładowca ze studium wojskowego wziął jednak te jaja za dobrą monetę. Student Figurski otrzymał piątkę i został zwolniony z egzaminu po czwartym semestrze.

35. RYSUNEK WAKACYJNY

był obowiązkowy dla studentów Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej po pierwszym roku studiów. Ocena i zaliczenie rysunków wakacyjnych odbywało się na początku trzeciego semestru w październiku. Oceniał profesor Zygmunt Kamiński „Zimek”, któremu towarzyszyli asystenci z Katedry Rysunku Odręcznego, między innymi trochę ode mnie starszy Karol Żarski z Pruszkowa.

Rysunki przedstawia do oceny Eulalia Dudzińska z naszego roku. Rysunki i akwarele kamieniczek i fary z Kazimierza Dolnego nad Wisłą. Według naszej oceny – kolegów studentów – wspaniale.

– Proszę pani, co tutaj pani narysowała i namalowała – perorował „Zimek”. – Wydział Architektury to nie Akademia Sztuk Pięknych. Rysunek architektoniczny powinien zupełnie inaczej wyglądać. I te akwarele. Piękne, ale nie takie. Dlaczego się wszyscy na mnie uwzięli. Przecież ja was zupełnie inaczej uczyłem.

W czasie tej oracji Eulalia truchlała ze strachu. W mniejszym stopniu asystenci, ponieważ niezaliczenie rysunku wakacyjnego nie ich dotyczyło.

– To co, panie profesorze, zaliczamy na cztery? – powiedział Karol Żarski, najodważniejszy z nich.

Zapanowała cisza. Przedłużała się. Przerwał ją Adam Krawczyk, też asystent i mój kolega, tyle że z Piastowa. – Panie profesorze, te rysunki nie są takie złe, to może chociaż zaliczyć je z oceną dostateczną?

– Jaka czwórka! Jaka trójka! – wybuchnął profesor Zygmunt Kamiński. PIĘĆ! PIĘĆ! TYLKO PIĘĆ! – wykrzykiwał zadowolony. Nie muszę tu dodawać, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Głównie Eulalia.

36. GEOMETRIA WYKREŚLNA

11 listopada 1951 roku. Wydział Architektury na Koszykowej. Wykład z geometrii wykreślnej dla pierwszego roku. Prowadzi profesor Leon Marek Suzin. Przerywa, podchodzi do okna. Kilka chwil w zupełnej ciszy w audytorium patrzy na Warszawę.

I pomyśleć – mówi do siebie, na tyle jednak głośno, że wszyscy jego słowa słyszą – że 33 lata temu rozbrajaliśmy Niemców.

Wraca do przerwane go wykładu.

Podobnie nasz pan profesor zachował się niecały miesiąc wcześniej. Październik był ciepły, więc wykład odbywał się przy otwartych oknach. Lekki wiaterek spowodował, że do audytorium wpadł liść klonu i wylądował obok katedry. Leon Marek Suzin podniósł liść i patrząc na niego, powiedział:

– Liść, symbol myśli. I pomyśleć, że teraz są i tacy, którzy usiłują tę myśl zabić.

Zachowanie pana profesora zostało zauważone i odnotowane przez oczy i uszy królewskie. Notatki na ten temat wylądowały w odpowiedniej teczce z jego nazwiskiem na okładce.

37. NAŁÓG

Lesio z naszej grupy (imię nieprawdziwe) zaglądał trochę częściej tam, gdzie my wszyscy zaglądaliśmy rzadziej. Może dlatego, że mieszkał w akademiku, gdzie okazji było więcej, a może z innych powodów. Sprawa by się nie wydała, bo głowę miał mocną, gdyby go ktoś nie zakapował. Wtedy postanowiono go uratować. Przydzielono mu opiekuna, który miał go namawiać do bojkotu najbardziej dochodowej produkcji jednego z państwowych monopolii. Opiekun ten z Lesiem zamieszkał w tym samym pokoju w akademiku.

Los spłatał mu figla. Okazało się, że kablownik i opiekun to ta sama osoba. On zaopiekował się Lesiem, a Lesio w ramach rewanżu nim i to tak skutecznie, że przy nim mógłby uchodzić za wzór trzeźwości.

38. TORSZON

Był to rodzaj papieru w moich latach studenckich niedostępny. Czerpany, o nierównej powierzchni, idealnie nadawał się do akwareli. Hanka Moczulska, dziewczyna z mojej grupy, na swoje nieszczęście miała kilka takich arkuszy, chyba jeszcze sprzed wojny. Na nieszczęście, ponieważ wykorzystwała ten papier do prac studenckich. Na nieszczęście, ponieważ była uzdolniona i jej akwarele na tym nieszczęsnym torszonie zostały ocenione bardzo wysoko. Najwyżej. I tu zaczęły się schody.

Tego torszonu nie mogli jej darować aktywiści płci obojga. Przecież nie każdy miał torszon sprzed wojny, a nawet gdyby go można było kupić, to nie każdego byłoby na niego stać. Została uznana prawie za wroga klasowego, co było równoznaczne z byciem wrogiem ludu, a to już nie przelewki. Nie wiem, jakby się ta sprawa zakończyła, gdyby ktoś rozsądny – niestety, nie pamiętam już kto – nie powiedział: Koleżanki i koledzy, puknijcie się w łeb.

39. PISZ PAN

Było to w szkole lub na studiach, ale chyba na studiach, bo w szkole nie zwracano się do nas per pan.

Nie pamiętam, czy było to na ćwiczeniach, czy na egzaminie i czy w zdarzeniu tym oprócz mojego kolegi brał udział profesor czy asystent.

Mój kolega miał na tablicy rozwiązać jakieś zadanie. Nie bardzo jednak wiedział, jak zacząć. W kompletnej ciszy bez ruchu szukał natchnienia, wpatrując się w tablicę. Między tymi dwoma doszło w końcu do takiej rozmowy:

– No, pisz pan!

– Dyktuj pan!

40. JAZZ

Pisanie, że w końcu lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych jazz był muzyką zakazaną, byłoby truizmem. Jako wytwór „amerykańskiego imperializmu” był oficjalnie potępiany, zwalczany i rugowany. W końcu lat czterdziestych zespół Skowrońskiego i Górkiewicza zdążył nagrać na płytach Wytwórni „Muza” kilka amerykańskich melodii o wyraźnie jazzowym brzmieniu. Zapamiętałem z tych płyt między innymi „Trębacza” (boggie-woogie), „Georgię” i „Tea For Two”. Płyty te odtwarzane były na wszystkich naszych prywatkach (tak wtedy nazywały się imprezy) aż do ich całkowitego zdercia.

W roku 1951 i w 1952 dość często jazz tradycyjny grano na Wydziale Architektury na Koszykowej w Warszawie (oczywiście po kryjomu). W kreślarni na drugim piętrze (tam było pianino) grał nasz kolega Rysio Nowicki. Jego koncerty często były przerywane. Gdy do kreślarni wchodziła jakaś niepowołana osoba (na szczęście u nas było takich niewiele), święci przestawali wkraczać do nieba, ustępując miejsca dziewczeczce, co szła do łaseczka.

41. MIŁOŚĆ

nie była dobrze widziana, chyba że była to miłość do Związku Radzieckiego. Dziewczyna z naszego roku zakochała się w aktywiście studiującym rok wyżej lub on w niej. I tu zaczęły się schody. Aktywiści z naszego roku mieli jej za złe, że odciąga tamtego chłopaka od roboty. Oczywiście od ideologicznej, to jest od utrwalania nowego i od zwalczania starego. Jego koledzy zaś zarzucali mu, że odciąga dziewczynę od nauki, która wtedy była też uważana za walkę o światowy pokój. I pomyśleć, że tak zachowywali się dorośli ludzie, opętani jedynie słuszną ideą. A może tylko udawali, że w nią wierzą.

42. KABARET

W obrazku pt. „OKRĄGLE OKNO” wspomniałem o nieobowiązkowych – z którego to nieobowiązku prawie nikt się nie wyłamywał – śpiewach na przerwach między wykładami na Wydziale Architektury na Koszykowej. Podczas występów w mojej trzeciej grupie przerywnikiem w tych śpiewach były elementy kabaretu polityczno-obyczajowego, co dawało nam dodatkowe punkty w eliminacjach studenckich grup artystycznych. Ostrze satyry było skierowane przeciw Planowi Marshalla, piętnowało również studentów grających w brydża. Wyglądało to mniej więcej tak.

Po zakończeniu przez naszą, stojącą jak do zbiorowej fotografii, grupę kolejnej pieśni chwalcącej radosne jutro u nas lub szczęśliwe dzisiaj u naszych sąsiadów, zabierała głos (natchniony) jedna z naszych koleżanek. Mówiła, że nie wszyscy się uczą, że nie wszyscy budują i że nie wszyscy są za. O – wołała – już słyszać ich krzyki. W tym momencie zza pleców pierwszego rzędu rozległ się mój głos: a ja w piki.

Po tych pikach śpiewaliśmy pieśń dokerów francuskich, czastuszki lub kantatę o Wąsatym Słoneczku. Ostatnie słowa tej kantaty zlewały się z głosami bumelantów zza pleców wspomnianego już pierwszego rzędu śpiewaków, którzy to bumelanci markowali obce ideologicznie rozpasanie polegające na piciu wódki. Jeden z nas pytał – Chłopaki, to pod co teraz wypijemy? – Jak to pod co? Pod Plan Marshalla! – padała odpowiedź.

Występ naszej grupy nagradzany był brawami. Do dzisiaj, po prawie pięćdziesięciu latach, nie mam pewności za co. Może za ten toast?

43. STATYKA

Statykę na pierwszym roku wykładał profesor Wenczesław Poniż, ojciec naszej koleżanki, Ewy*. Każdy jego wykład był jasny, precyzyjny, tak że nie mieliśmy kłopotu z opanowaniem materiału. Ale nie wszyscy. Wydziałowi hunwejbini – być może ci, którzy dostali się na studia z listy rektorskiej – uznali, że tej statyki mamy stanowczo za dużo. Nie wiem, może nauka statyki pochłaniała cały ich czas, tak że brakło im go na zbawianie świata pod sztandarem Chorażego Pokoju. Zaczęła się wojna podjazdowa z panem profesorem. Sprawa stanęła na egzekutywie, wysłano też delegację do prodziekana do spraw studenckich.

Riposta profesora Poniża była natychmiastowa i wyjątkowo skuteczna. Na kolejny wykład przyniósł pięć podręczników do statyki w języku rosyjskim i dwa w języku polskim. Ustawił je w dwóch słupkach na katedrze. Przed rozpoczęciem wykładu poprosił wszystkich o chwilę uwagi. Ten niższy słupek – powiedział – to program statyki na naszym wydziale na Koszykowej. Ten wyższy, to program statyki na pierwszym roku studiów w Instytucie Architektury w Moskwie. Po tych słowach rozpoczął swój wykład. Niezadowolenie i wynikające z niego ataki na profesora Wenczesława Poniża ustały jak nożem uciął. Jeszcze dwa słowa o niecodziennym imieniu pana profesora. Był on Słoweńcem mieszkającym od dziesiątków lat w Warszawie.

* Ewa Parandowska, żona – też architekta – Zbyszka Parandowskiego, brata Joanny Szczepkowskiej i syna Jana Parandowskiego.

44. OSA

Taki tytuł miała gazeta ścienna, która ukazywała się na Wydziale Architektury na Koszykowej w 1953 roku. Zajmowała prawie połowę tablicy ekspozycyjnej na półpiętrze na wprost schodów z parteru. Dlatego nie „gazetka”, lecz gazeta. Jej pełna nazwa miała następujące brzmienie: O SZTUKĘ ARCHITEKTONICZNĄ. Ukazały się jej dwa lub trzy wydania i byłoby tych edycji więcej, gdyby redagujący ją koledzy nie nabrali przekonania, że żyją w normalnym kraju. Strzeliło im coś do głowy, żeby zrobić zebranie redakcyjne w kawiarni. Poprzez szybę okienną wypatrzyły ich „oczy i uszy królewskie”, czyli wydziałowi hunwejbini. Zrobiła się afera na dwadzieścia cztery fajerki. Na nic zdały się tłumaczenia, że kawiarnia była socjalistyczna na socrealistycznym MDM-ie. Socjalistyczna czy nie socjalistyczna, zawsze to jednak kawiarnia, a z niej to już chyba tylko jeden krok do zachodniego stylu życia i do oderwania się od grupy. Po latach już nie pamiętam, czy groźniejszy był wtedy zachodni styl życia, czy oderwanie się od grupy, dość, że koledzy redagujący tę gazetę, ratując się przed wykopaniem ze studiów, złożyli szczerą samokrytykę. Najlepiej wypadł redaktor naczelny, który słabość swojego kośca ideologicznego motywował faktem, że był synem lekarza. Ta szczerza skrucza go uratowała. Przydzielono mu aktywistę, który miał pracować nad wzmocnieniem tego kośca i czuwać nad jego prawidłowym rozwojem.

45. OKRĄGŁE OKNO

Nawet nie przypuszczałem, że okragłe okno może stanowić zagrożenie dla studenckiego bytu. Niewiele brakowało, by przez takie okragłe okno Mirek Jagiełło wyleciał z drugiego roku architektury w 1953 roku. Byłby to dla niego poważny cios, ponieważ na studia dostał się za trzecim podejściem (ja za drugim). Jego pech polegał na tym, że okragłe okno znalazło się w jego projekcie, co było – jak się później okazało – niezgodne z kanonami realizmu socjalistycznego w architekturze. Przez to okragłe okno do projektowania mógłby się wedrzeć kosmopolityzm. Na początek skazać, a w dalszej kolejności wyprzeć jedynie słuszne zasady przyjęte od naszego ówczesnego Wielkiego Brata. Tak więc okragłe okno Mirka było zagrożeniem dla architektury socjalistycznej w treści i narodowej w formie.

Sprawa tego okna stawiała się groźna. Dlatego nad Mirkiem odbył się sąd. Miał on miejsce w ówczesnym audytorium im. Belojannisa (do dzisiaj nie wiem, kto zaczął) w obecności całego naszego roku z udziałem dziekana. Do tego doszły i inne zarzuty. Oskarżono Mirka o to, że odrywa się od grupy. Nie dość, że nie śpiewał na przerwach między wykładami, to jeszcze do tego nie brał udziału w ćwiczeniach a tym samym w eliminacjach artystycznych grup studenckich. Śpiewy te wprowadzie nie

były obowiązkowe, ale prawie nikt się z nich nie wyłamywał. Nawet, gdy nie miał słuchu i odpowiedniego głosu. Za stuprocentowy udział w śpiewaniu grupa studencka podczas eliminacji otrzymywała dodatkowe punkty. Dlatego absencja w śpiewaniu była piętnowana.

Nie zdzierżyłem. Wystąpiłem w obronie Mirka. Powiedziałem, że znam jego sytuację rodzinną, ponieważ przed rozpoczęciem studiów pracowałem w tym samym biurze projektów, w którym on pracował w dalszym ciągu. Pracował, ponieważ miał na utrzymaniu chorą matkę. Pracował na pełnym etacie i czternaście godzin cotygodniowego zwolnienia z pracy na naukę na wydziale architektury nie pozwalało mu na śpiewanie w przerwach między wykładami a ćwiczeniami. Ćwiczenia były obowiązkowe, wykłady nie, dlatego niektóre mógł opuszczać. Trudno było pogodzić pracę na pełnym etacie i dzienne studia. Koleżanki i koledzy – powiedziałem na zakończenie – Myślicie, że Mirek nie wolałby śpiewać niż czasami dwa razy dziennie wędrować między Wierzbową (tam się mieściło nasze biuro projektów) a Koszykową (przy tej ulicy był Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej)? Na pewno by wolał. Ale był dobrym synem, musiał matce zapewnić materialny byt i inaczej postępować nie mógł.

Po moim wystąpieniu zapanowała cisza. Przycichła również sprawa Mirka. Kilka koleżanek i kilku kolegów cichutko gratulowało mi odwagi.

Studia ukończyłem znacznie później od Mirka. W międzyczasie mieszkalem w Pałacu, na Rakowieckiej i w Rawiczu. Mirek Jagiełło został wybitnym architektem. Dużo projektował, również w Azji i w Afryce. We wszystkich rozmowach ze mną po jego przyjazdach do Polski zawsze wracał do tamtego mojego wystąpienia. Mówił, że był zaskoczony, że nie przypuszczał, że ktoś stanie w jego obronie. Spotkań tych mieliśmy kilka. Gdyby było ich więcej, moja wątroba byłaby zagrożona.

46. TAKI JEDEN

Był ze starszego od mojego roku. O rok lub dwa. Ale to nie on był taki jeden. Opowiadał mi, jak w ramach akcji „Łączność miasta ze wsią” lub po prostu „Miasto wsi” pojechał z dużą ekipą studentów, by hasło to wcielić w czyn.

Nie pamiętam już, czy były to żniwa, czy wykopki, ale chyba żniwa, bo na wykopki jeżdżono w listopadzie, a wtedy była piękna słoneczna pogoda. Po żniwach miejscowa władza robotniczo-chłopska zorganizowała zabawę ludową. W tamtych czasach wszystkie zabawy były ludowe. Oczywiście w remizie strażackiej, specjalnie na tę okoliczność udekorowanej. Zawieszone pod sufitem linki wyznaczały dwie przekątne sali, a zamocowane do nich kolorowe wstążki z falistej bibułki miały stwarzać nastrój beztroskiej zabawy. Może taki by i był, gdyby nie zawieszone na ścianach portrety przywódców partyjno-rządowych, naszych i naszych sąsiadów. Opowiadał mi, że odnosiło się wrażenie, że ta cała kolekcja ściennych wisielców miała baczenie, by młodzi zachowywali w tańcu przepisową odległość między swoimi ciałami i by przestrzegali jedynie słusznych rytmów. Ale to było później. Przed rozpoczęciem tańców miała miejsce najważniejsza część zabawy ludowej. Przemówienia gminnego sekretarza przewodniej siły narodu, gminnego przewodniczącego stronnictwa sojuszniczego i wójta. Nie były na szczęście długie, za to o tym samym. O kulakach, średniakach i biedocie. O tym, że średniaka trzeba wyrwać spod kurateli kulaka. Mówili jeszcze o konieczności wykonania planu sześcioletniego, do czego zachęcał również stosowny plakat na ścianie pod portretami dostojników.

Bufet był skromny. Herbatniki, jakieś kanapki i trochę słodkości. Do picia oranżada, wymawiana przez niektórych przez „e” w środku wyrazu i piwo – chyba reszelskie. Ważny szczegół. Płyn w niektórych butelkach był mętny. Wyglądało to tak, jakby pływały w nim glony z mazurskich jezior.

Stracyk, dla nadwrażliwych – wygodka, na zewnątrz, w końcu podwórza. Ktoś dowcipny, a może był to efekt niezamierzony, może go chciał tylko udekorować, przypiął na drzwiach plakat nawołujący do czujności z napisem: Pst! Wróg podsłuchuje. A może było to wezwanie do kulturalnego zachowania się w tym miejscu i do niepuszczania bąków?

Jego rozmyślania przerwał akordeon. Poprosił do tańca najładniejszą miejscową dziewczynę. Zaczął się chwalić swoimi wiadomościami. Mówił jej o Corbusierze i o Picassie. O impresjonistach i o fowistach. Nie reagowała. Wtedy zaczął jej truć o pokoju światowym i o zaprogramowanym szczęściu dla całej ludzkości i dla każdego człowieka oddzielnie. Gdy skończył te pierdoły, na moment przytuliła się do niego i szepnęła mu do ucha, cichutko, żeby nikt nie usłyszał.

– Wiesz, tu był taki jeden, co jak chciałam obciąć włosy, to mi nie dał.

– Co z nim?

– Siedzi.

– Za co?

– Mówili, że był wrogiem

i jeszcze ciszej dodała: Nowego.

47. DWIE W JEDNYM

Dwie awantury i to do tego jednocześnie miały miejsce w tym samym wagoniku EKD wożącej pasażerów z przystanku przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie do Podkowy Leśnej. Wagoniki były angielskie, miały secesyjne wnętrza i były bardzo wygodne. Charakterystyczną ich cechą było to, że wchodziło się do nich przez pomosty usytuowane na ich końcach. W godzinach po pracy były one jednak przepełnione.

Któregoś dnia byłem świadkiem zabawnego zdarzenia. Prawie jednocześnie, na dwóch pomostach na końcach wagonu, wybuchły dwie awantury. Na jednym kłóciło się dwóch panów. Ci nie przebierali w słowach. Na drugim miała miejsce nie tyle awantura, co ostra sprzeczka dwóch pań. Nie używały one tak zwanych wyrazów. Ich głośna mowa była bardziej kwiecista, z tym, że zamiast kwiatów występowały w niej zwierzęta, z ssa-kami człekopodobnymi włącznie.

Idealnie na środku wagonu stał podróżny, który wyróżniał się wzrostem. Dlatego zwróciłem na niego uwagę, a właściwie na jego ruszającą się głowę, wystającą ponad głowy otaczających go podróżnych. Patrzył w lewo, w kierunku przedniego pomostu, za chwilę w prawo, w kierunku tylnego. Po kilku zmianach kierunku patrzenia i słuchania bąknął do siebie pod nosem, na tyle jednak głośno, że wszyscy słyszeli;

– Cholera, nie wiadomo, gdzie patrzeć. I tu ciekawe, i tam interesujące.

48. „SEKRETARZ REJKOMU”

wraz z grupą aktywistów spoza naszego wydziału przybył na Koszykową, by odciąć moje koleżanki i moich kolegów od macek imperializmu. Mnie nie, ponieważ było to późną jesienią 1953 roku lub na początku 1954 roku i ja już byłem wtedy skutecznie odcięty. Mieszkiałem w Pałacu Mostowskich.

Obrazek ten namalowałem na podstawie opowiadań kolegów z mojego roku. „Sekretarz rejkomu” nie był nim w rzeczywistości, tylko tak się nosił jak bohater filmu radzieckiego pod tym tytułem. Miał skórzaną kurtkę i takiż kaszkiet z sześciu lub z ośmiu klinów zwieńczonych skórzanym guzikiem jak sklepienie rozetą. Sprawa była poważna. Kilku kolegów z różnych lat siedziało w pudle, na wydział architektury wkradło się rozprężenie w postaci wrogiej muzyki synkopowej granej potajemnie na przerwach między wykładami. Wyszło na jaw, że jedna z dziewczyn miała ojca w Londynie i fakt ten zataiła. Przybywało biki-niarzy, czyli amerykańskich zetempowców. Socjalizm mógł być zagrożony. W związku z tym wzywano do czujności, do krytyki i do samokrytyki, które miały stanowić skuteczne remedium na czyhające zagrożenia.

Nie wiem, jak długo trwało spotkanie koleżanek i kolegów mojego roku z „sekretarzem rejkomu”. Po jego zakończeniu, już przy wyjściu z wydziału, doszło do tumultu czy przepychanek, podczas których dostał on kopa. Nazwiska jego nie ujawnię, ponieważ w sierpniu 1980 roku graliśmy w tej samej drużynie.

49. SZTYPER

niewiele różnił się od bikiniarza. Podstawowa różnica to to, że bikiniarz był mniej od sztypra – albo w ogóle nie był – prymitywny. Pod koniec lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych bikiniarze noszący się z zachodnia określani byli również jako amerykańscy zetempowcy.

Sztyprami byli faceci, którzy kupowali modne buty, czyli obuwie na Bazarze Różyckiego, tak zwane tyrolki. Bikiniarze natomiast kupowali amerykańskie mokasyny na ciuchach lub – zwłaszcza ci bogatsi – u Śliwki. Tyle o bikiniarzach.

Tyrolki były skórzane. Bardziej grymaśni kupowali zamiszowe. Te ostatnie były powodem ich dumy. Wierzchy skórzanych i zamiszowych łączone były w specjalny sposób, białymi grubymi nićmi, po wywinieciu wierzchu na spody. Był to tak zwany sztyper. Sztyper mógł być pojedynczy i schodkowy, czyli podwójny i potrójny. Najwięksi eleganci – w ich mniemaniu – nosili zamiszowe tyrolki z potrójnym schodkowym sztyprem przyszywanym przy pomocy białych nici. To od tego sztypra wzięła się nazwa tych elegantów.

Kiedyś w tramwaju widziałem dwóch takich sztyprów. Jednemu z nich jakaś dziewczyna niechcący nadepnęła na but, na którym powstała niewielka plamka. Właściciela buta przeprosiła.

– Cholery można dostać – rzekł do towarzysza. – Ty się ubierz, a taka nadepnie ci na but.

W tym jego „ty się ubierz” żal mieszał się z dumą. Było to powiedziane tak, jakby noszenie zamiszowych tyrolek z potrójnym schodkowym sztyprem było patriotycznym obowiązkiem.

50. KRZYWE GWOŹDZIE

W pierwszej części tej książeczki „namalowałem obrazek” pt. „Krzywe gluty”. O tym, że będę pisał o krzywych gwoździach, wtedy jeszcze nie myślałem.

Bohaterem tej opowieści jest mój przyjaciel, Andrzej Sawicki. W 1949 lub w 1950 roku, między maturą a rozpoczęciem studiów na Wydziale Budownictwa Wodnego Politechniki Warszawskiej, „przyjął się” do pracy w Zjednoczeniu Budownictwa Warszawa. Pracował jako pomocnik cieśli.

Zbliżał się termin Światowego Zlotu Młodzieży i Studentów. Przez cały kraj, a więc i przez Zjednoczenie Budownictwa Warszawa, przewaliła się fala zobowiązań podejmowanych dla uczczenia tego zlotu. Zobowiązania te podejmowane były w zakładach pracy na masówkach z udziałem całej załogi.

Andrzej dla jaj – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – zobowiązał się, że dla uczczenia tego zlotu w swej pracy będzie używał tylko krzywych gwoździ. Powiedział, że ich prostowanie zajmie wprawdzie trochę czasu, ale będą duże korzyści w oszczędzaniu stali. Gdyby inni poszli w jego ślady, a może i inne zakłady pracy, efekty tego zobowiązania byłyby niewyobrażalnie większe, co byłoby dużą korzyścią dla gospodarki socjalistycznej. Nie pamiętam już, czy mówił wtedy, jaki wpływ na przyspieszenie wykonania planu pięcioletniego miałyby te krzywe gwoździe, czy nie mówił, ale swoim wystąpieniem wywołał jednocześnie i wesołość, i entuzjizm na sali (dwa w jednym). Okazało się,

że entuzjastów było więcej i Andrzej został wytypowany jako przedstawiciel Zjednoczenia Budownictwa Warszawa na Światowy Zlot Młodzieży i Studentów.

Andrzej nie wyprostował ani jednego krzywego gwoździa. Na zlot nie pojechał. Zajmowaliśmy się czym innym. W związku z tą inną działalnością niebawem spotkaliśmy się na Rakowieckiej w Warszawie. Ale to już zupełnie inna historia.

51. WAZELINA

W maju 1953 roku w Warszawie odbywały się mistrzostwa Europy w boksie. Walki miały miejsce w Hali „Gwardii”. Entuzjazm nie do opisania. Wprowadzamy do finału siedmiu bokserów, zdobywamy pięć złotych medali. Nasi sąsiedzi wprowadzają pięciu, zdobywają dwa. Tytuł w „Trybunie Ludu” na pierwszej stronie na całą jej szerokość:

„TRIUMF PIĘŚCIARZY ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
I PAŃSTW DEMOKRACJI LUDOWEJ”.

52. FIGURANCI

W okresie od końca maja do początku sierpnia 2009 roku zaznajamiałem się w IPN-ie z dotyczącymi mnie dokumentami odnalezionymi w wyniku kwerendy przeprowadzonej w zgromadzonym i dostępnym zasobie archiwalnym Instytutu Pamięci Narodowej. Trwało to siedem dni z przerwami, ponieważ materiałów tych było bardzo dużo. Zgromadzone były w osiemnastu tomach akt i obejmowały okres od mojego aresztowania 27 czerwca 1953 roku poprzez okres uwięzienia, studiów, pracy zawodowej, aż do połowy stanu wojennego. Nic dziwnego, że w PRL-u nie było bezrobocia, skoro aż tyle osób musiało być zatrudnionych, żeby mnie pilnować. A przecież takich osób jak ja, które wymagały specjalnej troski ze strony Ludowej Ojczyzny, było tysiące, a może nawet setki tysięcy.

Podczas tych wizyt w IPN-ie miałem możliwość poznania od podszewki szczegółów działalności operacyjnej służb bezpieczeństwa, a właściwie metod tej działalności. Podstawową metodą rozpracowywania jakiegoś środowiska była jego obserwacja – ale nie całego. Do obserwacji całego środowiska zabrakłoby po prostu agentów. Wybierano z tego środowiska dwie, trzy osoby do obserwacji, tak zwanych figurantów. Figuranci byli obserwowani prawie całodobowo. Dzięki tej obserwacji agenci ustalali wzajemne powiązania danego środowiska. I jeszcze jedna uwaga. Cechą immanentną figurantów było to, że nie wiedzieli, że byli figurantami. Ta ich niewiedza często była warunkiem powodzenia takiego działania. Metodą tą było rozpracowywane środowisko harcerskie w Pruszkowie w 1949 roku, w związku

z pionierystką ZHP. Harcerze z dawnego ZHP spotykali się ze swoimi drużynowymi. Na tych nielegalnych zbiórkach dochodziło nawet do składania przysięgi zgodnie z jego dawną rotą. Obserwacja figurantów doprowadzała do wyławiania najaktywniejszych z tych harcerzy, którzy później byli w różny sposób zastraszani i szantażowani. Ale to już jest inna historia.

53. PAŚNIK

W 1948 roku w Głuchołazach na Dolnym Śląsku zorganizowany był obóz wakacyjny dla młodzieży męskiej. Męskiej, ponieważ organizatorem tego obozu było stowarzyszenie YMCA – Young Men's Christian Association – Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodych Mężczyzn. Na obozie tym było kilku moich kolegów z Pruszkowa. W czasie ich pobytu miało miejsce wydarzenie, które odcisnęło piętno na ich całym późniejszym życiu.

Trzech z nich znalazło w lesie karabin typu Mauser, wykonany specjalnie do polowań. Była to wspiana broń myśliwska. Doskonale zakonserwowana, ukryta była w paśniku dla zwierzęny leśnej. Nie wiedzieli wtedy, że znajdując tę broń, zapolowali na samych siebie.

Mausera przywieźli do Pruszkowa. Ktoś ich zakapował. Zajął się nimi UB. Dostali propozycję nie do odrzucenia. Albo wstąpią w szeregi ORMO (Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej), albo z artykułu 4. paragraf 1. Dekretu z dnia 23 VI 1946 roku pójdą na 5 lat do więzienia.

Wybrali tę pierwszą możliwość. Ale Urząd Bezpieczeństwa Publicznego się od nich nie odczepił. Cała trójka w przyszłości otarła się o współpracę z tym Urzędem, a jeden został nawet jego wysokim funkcjonariuszem.

Obrazek ten jest dowodem na potwierdzenie tezy o roli przypadku w życiu człowieka.

54. LEKKA KAWALERIA

Obrazek ten poza tytułem nie ma nic wspólnego z „Lekką kawalerią” Franza Suppé, a właściwie Francesca Cavaliere’a Suppé-Demellego. Szwoleżerowie tej jazdy na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku służyli w Brygadach Lekkiej Kawalerii. B.L.K. powstały na wzór „Komsomolskiego Reflektora”, działającego na wyższych uczelniach bratniego dla nas wówczas kraju. „Komsomolski Reflektor” słup swego światła kierował na nieprawomyślnych, na zagrożenia, na bumelanctwo i na studentów mających – być może nawet nieuświadomione – zachodnie ciągotki lub, co gorsze, noszących dżinsy zwane u nich farmerami. Po oświeceniu tych bezceństw do akcji wkroczyli „drużynowcy” i robili z nimi porządek.

Brygady Lekkiej Kawalerii robiły u nas to samo, a nawet więcej, ponieważ na Wydziale Architektury nie było „drużynowców”.

Przez chrześcijańskie miłosierdzie nie będę podawał ich nazwisk, zwłaszcza, że wielu z nich już nie żyje. Byli to raczej ludzie nędznej postury. Jeden z nich przyczynił się do wyrzucenia z architektury dziewczyny, która odrzuciła jego zaloty. – Kuleczy – powiedział na sądzie koleżeńskim – nam kurwów nie potrzeba. – Ten szwoleżer, podobnie jak i pozostali członkowie tej „elitarniej” jednostki, zrobił później „karierę” urzędniczą (przy całym moim szacunku dla urzędników). Rzadko który z nich spełnił się w zawodzie. Głównie stanowili kadrę kierowniczą w Wydziałach Ogólnych Komitetu Centralnego, przewodniej siły narodu

i w takich samych wydziałach Komitetów Wojewódzkich (Wydziały Ogólne zajmowały się nie tylko zaopatrzeniem towarzyszy w cebulę, lecz także sprawami budownictwa. Wiem, co mówię, ponieważ kiedyś usiłowano mnie zrobić w szpiegostwo, ale się nie przypuściwałem). Ci, którzy się nie sprawdzili, karnie przenieszeni byli do biur projektowych na stanowiska dyrekcyjne.

Miałem dużo szczęścia. W naszym biurze projektów, na Wierzbowej w Warszawie, miałem dwunastu dyrektorów. Z tej dwunastki może tylko jeden, a na pewno nie więcej niż dwóch, służyło wcześniej w Brygadach Lekkiej Kawalerii.

55. CIEŃ RZUCONY

Egzamin z geometrii wykreślnej u pana profesora Leona Marka Suzina. Zdaje student z roku o dwa lata starszego od naszego. Profesor chwilę się zastanawia i mówi do zdającego:

– Proszę sobie wyobrazić wnętrze, w którym nie ma ani jednej żarówki. Pomieszczenie to jest oświetlone tylko lampą naftową stojącą na stole. Ta lampa rzuca również cień. Proszę o narysowanie tego cienia.

Zdający zastanawia się, nie bardzo wie, jak taki cień ma wyglądać. W końcu zrezygnowany mówi:

– Do dupy z takim wnętrzem, w którym nie ma oświetlenia elektrycznego.

– Poproszę indeks.

Profesor egzamin zaliczył. Za refleks i może za odwagę. Może, ponieważ zdającym był jego syn Janek, późniejszy wieloletni dziennikarz i prezenter telewizyjny. Nikt inny by się tak do pana profesora nie odważył odezwać.

56. SĄD

Oczywiście, koleżeński. Ale nie daj Panie Boże mieć takich kolegów. Sądzony był daleki potomek w prostej linii dezertera z armii Karola Gustawa, z czasów potopu szwedzkiego. I to nie za dezercję praprapra...dziadka, ale za odchylenie prawicowe. Oskarżali go „szwoleżerowie” z Brygad Lekkiej Kawalerii, czyli wydziałowi protoplaści chińskich hunwejbiniów. Sąd odbywał się na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej w 1954 roku. O jego przebiegu dowiedziałem się stosunkowo niedawno, ponieważ w 1954 roku mieszkalem w „apartamencie nr 13” w piwnicach Pałacu Mostowskich.

Przewodniczącym tego sądu był aparatczyk sportretowany przeze mnie w obrazku pt. „Sekretarz rejkomu”, późniejsza ikona przemian w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Witek Sobczyk z mojego roku miał dużo szczęścia. Nie wyleciał z Wydziału Architektury. Dostał tylko naganę i przydzielono mu dwóch „opiekunów”, którzy mieli czuwać nad jego kręgosłupem ideologicznym. Studia skończył. Został wybitnym architektem zajmującym się odbudową i konserwacją architektury zabytkowej i zespołów staromiejskich.

We wrześniu 1991 roku, w czterdziestolecie rozpoczęcia studiów, odbył się nasz pierwszy zjazd koleżeński. Od tego czasu z Witkiem oraz z innymi kolegami i koleżankami spotykam się w każdy pierwszy piątek miesiąca w siedzibie warszawskiego oddziału SARP na Foksal. Niestety, przychodzi nas coraz mniej.

57. „HALLO, FREDDIE”

W końcu lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych przystąpiono do utrwalania realizmu socjalistycznego w sztuce – w muzyce, w plastyce, w filmie, w teatrze, w literaturze i w architekturze. Jednocześnie przystąpiono do walki z kulturą imperialistyczną, głównie amerykańską. Prowadzono ją – jak byśmy dziś powiedzieli – w mediach.

Pamiętam, że w „Przekroju” drukowano w tym czasie fikcyjny scenariusz filmu o Szopenie pt. „Hallo, Freddie”, w którym Szopen w bryczesach zwracał się do George Sand „Hallo, George Sand”, a ona mu odpowiadała „Hallo, Freddie”. W tygodniku „Film” pod zdjęciami Bette Davis⁹⁾ i Betty Grable pisano, że mają one maksimum seksu i minimum talentu. Kropkę nad „i” stawiała „Muzyka i Aktualności”, która ustami Wandy Odolskiej, mającej głos jak Louis Armstrong, lub ustami Stefana Marthy (do czasu) sarkastycznie twierdziła, że Ameryka jest krajem oświeconego kapitalizmu, w którym nawet Murzyni mają guziki. Ale im dopierdolili!

⁹⁾ Bette Davis – wybitna aktorka amerykańska. Genialna w filmie „Co się zdarzyło Baby Jane?”

58. PAŁAC

Nie, tym razem nie będę pisał o Pałacu Mostowskich. Będę pisał o największym^{*)} pałacu w Polsce, który według jego twórców miał być socjalistyczny w treści i narodowy w formie. Na niecały rok przed jego ukończeniem została zorganizowana wycieczka studentów czwartego roku architektury – oczywiście bez mnie, byłem wtedy mieszkańcem Czerwonego Pawilonu w Rawiczu – w celu poznania osiągnięć techniki i architektury naszego ówczesnego Wielkiego Brata. Koleżanki i koledzy wjechali windą na któreś tam piętro, popatrzyli i się rozgadali. Aktywiści programowo wyli z zachwytu, pozostali próbowali dyskutować. Oczywiście, we własnym gronie.

Dwóch moich kolegów, Witek Sobczyk i Sławek Nowicki, wyrażało się sceptycznie na temat łączenia kamiennego detalu architektonicznego z konstrukcją stalową budynku, co doprowadziło do przeniesienia renesansowej attyki z zamku w Krasiecznie do pałacu w centrum Warszawy. Część kolegów się z nimi zgadzała, ale nie wszyscy. Niebawem mieli się o tym przekonać.

Po zjeździe na dół podeszło do nich dwóch smutnych. – Koledzy – powiedzieli – chętnie z wami porozmawiamy na temat wspaniałego daru Narodów Związku Radzieckiego dla bratniej Polski Ludowej. Ale, wiecie, tu nie ma odpowiedniego

^{*)} A propos, największy. Piękny dowcip z okresu po oddaniu pałacu do użytku. Uczestnik wycieczki z prowincji do stolicy zadziera głowę do góry i mówi z zachwytem: Skurwysyn, nieduży, ale gustowny...

miejsca na taką rozmowę. Ciagle ktoś się kręci, ciagle ktoś będzie nam tutaj rozpraszał uwagę. Zapraszamy do nas.

Wszyscy zmieścili się w ubowskiej (nie w „ubeckiej”, wtedy tak się nie mówiło) cytrynie.

Po dziesięciu minutach – wtedy na Marszałkowskiej ruch był niewielki – znaleźli się w komisariacie Milicji Obywatelskiej na Wilczej. Nie wiem, może dyskusja się przeciągnęła, w każdym razie przesiedzieli w areszcie trzy dni. Fakt ten odnotowuję z jeszcze jednego powodu. Kilka lat wcześniej, dokładnie w czerwcu 1948 roku i ja przesiedziałem w tym areszcie również trzy dni. Tylko nie za pałac, bo wtedy o nim nikomu nawet się nie śniło, tylko za – jak wtedy mówiono – ambasadę amerykańską. Wydarzenie to sportretowałem w mojej książce pt. „Znakiem tego oskarżony”, w obrazku pt. „Wojna na Pacyfiku”. Okazuje się, że są ludzie, których drogi, wcześniej czy później, się krzyżują...

59. KARAWANA

W marcu 1953 roku zgłosiło Wąsate Słoneczko alias Wielki Językoznawca, dla „towarzyszy” Nadzieja Ludzkości. Przez Demoludy, a więc i przez PRL, przewaliła się nawała akademii i wieców żałobnych. „Powszechnym” bólem sterował KC Przewodniej Siły Narodu, która zafundowała nam kilkudniowy – dokładnie nie wiem, jak długi – okres żałoby.

W okresie tym wzrastała wydajność pracy, ale jednocześnie zmalały obroty w restauracjach i w knajpach, które też były państwowe lub spółdzielcze. No bo jak długo można się bawić na smutno. Na smutno, ponieważ w okresie żałoby obowiązywał w lokalach zakaz gry dla zespołów muzycznych, które z reguły grały w tamtych czasach standardy jazzowe.

Oficjalnie jazz był wtedy zakazany, nie odbywały się publiczne koncerty, tolerowany był jednak w restauracjach. Zespół jazzowy Charlesa Bovery’ego^{*)} znalazł przytulisko na najniższym poziomie Kameralnej. „Kamera” w tym czasie miała trzy poziomy. Najwyższy na półpięterku z wejściem od Kopernika to była tak zwana „Kameralna dla ubogich”. Jedzenie takie samo jak na niższych poziomach, ale o połowę tańsze. Dwa niższe poziomy były dostępne z ulicy Foksal. Parterowy lokal dzienny i lokal nocny w piwnicy.

^{*)} Charles Bovery – Karol Nejdeli, instrumentalista i wokalista, Czech mieszkający w Warszawie od międzywojnia, również we Wrześniu 1939 i podczas Powstania Warszawskiego.

Ostatni dzień żałoby. Ostatnie pół godziny tego dnia. Zespół Charlesa Bovery'ego na estradzie. Wszyscy siedzą jak manekiny, bez ruchu, przy swoich instrumentach. Kelnerzy kręcą się między stolikami, przyjmując zamówienia. Sala pęka w szwach.

Charles Bovery coraz częściej spogląda na zegarek. Ostatnie minuty żałoby wloką się niemiłosiernie długo. Podchodzi do mikrofonu. Zbolałym głosem ogłasza komunikat:

– Proszę państwa, jeszcze pięć minut.

Ten komunikat zabrzmiał jak hasło do napełniania kieliszków.

Dwudziesta czwarta zero zero. Charles Bovery ostatni raz spogląda na zegarek. *Siecher ist siecher*. Na wszelki wypadek, trzymając saksofon w pozycji „bojowej”, nogą wystukuje dwaście taktów. Uśmiechnięty, kiwnięciem głowy daje kolegom z zespołu sygnał do „ataku”. Rozlegają się dźwięki „Karawany”^{*)} wypełniającej całą Kameralną radosnym jazzem w stylu *Chicago*.

Znacznie później dowiedziałem się, że tego dnia, a właściwie tej nocy, Spółdzielni Inwalidów – właścicielowi Kameralnej – zwróciły się straty poniesione w okresie żałoby.

Koniec żałoby. *Pagib Soso, co ludziom robił kuku*. Karawana idzie dalej. Wraca względna normalność. Względna, bo normalnie to wtedy u nas nie było.

W tym miejscu chciałbym przypomnieć ostatnią zwrotkę „Karawany” napisaną przez Wojciecha Młynarskiego – również Zaniaka – trzy lata przed tą żałobą. Oto ona:

*Przez pustynię realizmu soc
warszawską przerażoną noc
cudowna karawana szła (bis)
więc załapałem się i ja*

^{*)}Karawana, Caravan – J. Tizol, E. Duke Ellington, I. Mills, 1937 (źródło: Marek Gaszyński „Fruwa twoja marynara”).

CZĘŚĆ SZÓSTA

OPOWIEŚCI SPOD CELI W PAŁACU MOSTOWSKICH (27.06.1953 – 06.02.1954)

1. CELA
2. PRAWNICY
3. BALLADY (I)
4. ŚMIECH
5. PIEKARZYCHOTĘGIEMUŁY
6. SMÓŁKO
7. PIELGRZYMKA
8. SPECJALISTA
9. WARUNKI
10. KOLEGA ASYSTENT
11. SZEFGANGU
12. PROKURATOR W PEPEGACH
13. PROKURATOR WOJSKOWY
14. SIERŻANT
15. IMIENINY GENERALISSIMUSA
16. PAN STASIO
17. PASTUSZEK
18. UCIECZKA
19. OPATRZNOŚĆ
20. FIRMA
21. STRYJEK
22. ŚLEDZIE
23. CELA NR 22

24. DWIE STRONY BARYKADY
25. NIEBIAŃSKA MUZYKA
26. PAJDKA
27. ŻAL
28. „POKRZEPIENIE”?
29. LITERATURA PIĘKNA
30. LAURKA
31. PRL W CZARNO-BIAŁEJ FOTOGRAFII

1. CELA

to przede wszystkim ludzie, którzy się w niej znaleźli. W naszej celi nr 13 mieszkało od dwunastu do trzynastu osób. Nie wszystkich jednak udało mi się zapamiętać.

– Celowym był prawnik Zygmunt Nizioł, żołnierz Armii Krajowej, po Powstaniu wywieziony do obozu, pracował w Hovald-Wercke w Hamburgu lub w Bremie (dokładnie nie pamiętam). Skazany na dożywocie. Pod koniec lat 60. przypadkowo się z nim spotkałem. Pracował jako radca prawny. Ostatnio (w roku 2000) odznaczony przez Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski za działalność na rzecz środowiska kombatanckiego (Zygmunt, przyjmij moje gratulacje).

– Śledzik – imienia i sprawy nie pamiętam.

– Ryszard Kłopotowski, sekretarz jednej z parafii w Warszawie. Cudowny gawędziarz o dużej *vis comica*^{*)} ze wspaniałym kresowym zaśpiewem (urodzony w Stryju). Dopiero we wrześniu lub w październiku 1994 roku, oglądając dokumenty na wystawie „Przeciw zniewoleniu” zorganizowanej przez Muzeum Miejskie w Częstochowie, dowiedziałem się, że pośrednio był związany ze sprawą moich kolegów i moją. Po wyroku zwolniony, wkrótce aresztowany ponownie. Więziony w obozie przy ulicy Gęsiej w Warszawie, w tak zwanej Gęsiówce. Pierwszy raz aresztowany po wkroczeniu bratniej armii. Przetrzyniwany był wraz z innymi Polakami w dole wykopanym w ziemi, pilnowanym przez bojców z bagnetami na karabinach. W końcu

^{*)} *Vis comica* (łac.) – siła komiczna.

lat osiemdziesiątych dwa razy się spotkalismy. Zmarł w 1993 lub w 1994 roku. Jego syn Krzysztof jest wybitnym dziennikarzem zajmującym się problematyką filmową.

– Włodzimierz Latoszewski, kombatan, właściciel warsztatu i sklepu na ulicy Próżnej w Warszawie. Prawdopodobnie aresztowany w ramach walki z prywatną inicjatywą o socjalistyczny handel. Przebywał w pałacu dłużej ode mnie. Symbolicznie była przy nim bardzo blisko jego żona, córka i syn. Ich imiona miał wyhaftowane na wewnętrznej stronie marynarki po lewej stronie. Po wyjściu z więzienia odwiedziłem go na Próżnej (przyjęcie w warsztacie za sklepem. Duże wrażenie w scenerii tego warsztatu zrobiła na mnie rzeźba głowy Chrystusa). Spotkalismy się przypadkowo kilkakrotnie. Były to spotkania miłe, ponieważ nieplanowane. Wspominalismy dawne dzieje i kolegów z celi. Włodzimierz Latoszewski zmarł w 1999 roku.

– Marek Zakrzewski z Warszawy (piszę o nim we wspomnieniu pt. „ŚMIECH”).

– Daniel Kręgiel, nauczyciel. Członek Zgrupowania Świętokrzyskiego Wolnej Młodzieży. Była zasada, żeby osoby z tej samej sprawy lub z tej samej kontrrewolucyjnej organizacji nie były więzione w tej samej celi. Jak go zobaczyłem, zorientowałem się, że aresztowania w naszej organizacji mają szeroki zasięg.

– Bogdan z Międzyzlesia. Wcześniak. Piszę o nim między innymi we wspomnieniach pt. „BOGDAN” i „DUMA ZAWODOWA”.

– Uczeń z Warszawy. Piszę o nim we wspomnieniu pt. „GOLENIE”.

– Żołnierz Armii Krajowej z Łodzi.

– Lakiernik z Grabowa. Piszę o nim we wspomnieniach pt. „LAKIERNIK”, „DUMA ZAWODOWA” i „MODLITWA”.

– Stanisław Czarnocki. Pracownik Zakładu Oczyszczania Miasta w Warszawie. Zatrzymany z artykułu 22. Małego Kodeksu Karnego. Mimo że odpowiadał warunkom 17. (lub 18.) arty-

kułu Kodeksu Postępowania Karnego (częściowe ograniczenie odpowiedzialności karnej), w PRL ciągle więziony. Był czterokrotnie aresztowany. Człowiek pogodny i uśmiechnięty. Bardzo interesująca postać. Na podstawie jego życiorysu można zrobić doktorat z socjologii. Piszę o nim w szeregu wspomnień, między innymi we wspomnieniu pt. „JAK PRZYJDZIE TOMI”. Po latach spotkałem się z panem Stasiem przypadkowo pod ambasadą amerykańską. Podeszedł do mnie – oczywiście mnie nie poznał – i wskazując na ambasadę jedną ręką, łokciem drugiej trącąc mnie w bok, powiedział: Panie, ładny budynekczek, co? Oczywiście mu się przypomniałem. Bardzo się ucieszył. Na moje ostrzeżenie, żeby uważał, co mówi, bo mogą go znowu zamknąć, odpowiedział z uśmiechem na twarzy, że mogą go pocałować w dupę.

Myślę, że fascynacja pana Stasia nowym budynkiem ambasady amerykańskiej ma swoje źródło w niespełnionym marzeniu z okresu jego dzieciństwa, kiedy macocha sprzedała jego szyfkartę*) przyslaną dla niego przez krewnych z Ameryki.

– Więzień przywieziony z „Gęsiówki”. Piszę o nim we wspomnieniu pt. „PRZEKRÓJ”.

Uwaga: wszystkie wymienione tu wspomnienia (z wyjątkiem „ŚMIECHU”) zawarte są w pierwszej książeczce tego samego autora pt. „Znakiem tego oskarżony”

*) Szyfkarta – bilet na podróż statkiem. W przypadku pana Stasia był to bilet do Stanów Zjednoczonych.

2. PRAWNICY

byli prawie we wszystkich celach. Jak nie adwokat, to prokurator lub sędzia. Aresztowani byli za brak entuzjazmu lub za zbyt małe zaangażowanie w nowe radosne i twórcze życie w socjalistycznej ojczyźnie. Byli również tacy, którzy zostali zatrzymani za wykroczenia czy przestępstwa, które wtedy, zresztą tak jak i dziś, określano eufemistycznie jako urzędnicze. W związku z tym każdy z nas mógł poznać zasady Kodeksu Postępowania Administracyjnego, Kodeksu Postępowania Karnego, niektóre artykuły Kodeksu Karnego, Małego Kodeksu Karnego i Kodeksu Karnego Wojska Polskiego. Znajomość ta częściowo przydała się nam w czasie procesu i w życiu późniejszym.

Jacek Przygodzki z mojej sprawy opowiadał mi, że w celi był pytany o powód zatrzymania. Nie bardzo miał ochotę na ten temat mówić, ponieważ w każdej celi były „oczy i uszy królewskie”. Wtedy zaproponowano mu, żeby nie mówił wszystkiego, żeby ograniczył się tylko do tego, co już wiedzą śledzie. I nawet, jeżeli ktoś coś doniesie, to to dodatkowo go nie obciążą. Propozycja ta była logiczna i wtedy powiedział współwięźniom, o co jest oskarżony.

Zabawiono się w sąd. Przeanalizowano wszystkie jego „zbrodnie” w oparciu o Kodeks Karny Wojska Polskiego. Na podstawie tej analizy wyceniono je na dziesięć lat więzienia w pierwszej instancji. Pouczono go, że gdyby udało mu się wypucować^{*)} z zarzutów ujętych w jednym bardzo nieprzyjemnym

^{*)} Wypucować – oczyścić.

artykule – a szansę na to widziano w rewizji procesu – to wyrok ten uległby zmniejszeniu do lat sześciu i wtedy zarysowałyby się możliwości zastosowania amnestii (artykuł, z którego należało się wypucować, taką możliwość wykluczał). Zastosowanie amnestii mogłoby zmniejszyć w rewizji procesu wyrok o jedną trzecią, czyli z sześciu do czterech lat więzienia. I teraz sprawa najważniejsza. Pouczono go, że gdyby mu się udało bezkonfliktowo odbyć połowę kary, to mógłby się starać o przedterminowe warunkowe zwolnienie, co w jego przypadku mogłoby mieć miejsce po upływie dwóch lat od momentu aresztowania. Powiedziano mu również, że po wyjściu z więzienia w okresie zawieszenia kary musiałby bardzo uważać, bo nawet najmniejsze wykroczenie mogłoby spowodować jej odwieszenie i jego powrót za kraty na następne dwa lata.

Przewidywania i przypuszczenia wyrażone w czasie tej zabawy w sąd w celi sprawdziły się prawie w stu procentach. Jacek Przygodzki został przedterminowo warunkowo zwolniony z więzienia po odbyciu połowy kary plus półtora miesiąca. To z powodu tego półtora miesiąca napisałem, że przewidywania jego kolegów z celi sprawdziły się w prawie stu procentach. Nie mogli przewidzieć, że będzie odwilż⁹⁾ i że ze względu na skalę zjawiska, jakim będą zwolnienia warunkowe, prokuratury i sądy będą zawałone załatwianiem takich spraw. Stąd ta półtoramiesięczna „nadwyżka”.

⁹⁾ Odwilż – złagodzenie rygorów aparatu ucisku, najpierw u największego naszego sąsiada, potem u nas.

3. BALLADY (I)

były śpiewane, ale nie we wszystkich celach. Wszystko zależało od przypadku. A była nim obecność w celi chociaż jednej osoby, która te ballady znała.

Od Jacka Przygodzkiego z mojej sprawy dostałem niedawno teksty dwóch ballad, które były śpiewane w jego celi nr 18. Piosenek tych nauczono go dopiero po pewnym czasie, dopiero, gdy nabrano do niego zaufania. Był to więc pewien rodzaj wtajemniczenia. Jacek dając mi treść tych ballad, wyraził nadzieję, że niczego nie zapomniał, ale oczywiście nie może wiedzieć, czy czegoś nie przekreślił ci, co go uczyli. W niektórych zwrotkach nie ma przecież rymu.

A oto te ballady.

Pierwsza śpiewana na melodię ballady dziadowskiej zawierającej słowa: „W pewnym pałacu żył hrabia z hrabiną, on zwał się Rodryk, a ona Franczeska, a w drugim domu, za ich meliną, mieszkała sobie jedna Wiśniewska”.

Oto jej słowa:

*W mieście Warszawie, na Muranowie, Pałac Mostowskich
znajduje się.*

A w tym Pałacu mieści się urząd, tak zwany Miejski UBP.

*Są tam piwnice zwane aresztem, karcer jest także, a nawet
dwa,*

*więc niewesołe jest twoje życie i niewesoła jest dola twa.
Siedzą tam razem różni więźniowie: ci co śpiewają „na
lewo sklep”^{*)}
I nielegalne organizacje, a wszyscy jedzą czarny chleb.*

*Był Czarny Maniuś, chluba „stopkarzy”, co zrobił praski
konsum UB,
funkcjonariusze i milicjanci, „pikieta” razem z ZMP.*

Druga ballada śpiewana była na melodię ballady śpiewanej w więzieniu śledczym Warszawa III przy ulicy 11 Listopada na Pradze, mającym nazwę „TOLEDO”^{**)}, nadaną mu przez więźniów. Śpiewana była na melodię „Wspomnisz ten domek w Toledo”.

Oto jej słowa:

*Nad Marszałkowską noc zapada
i milion gwiazd na niebie lśni
W więziennej celi śpi gromada
i o wolności słodko (słodkiej?) śni*

*Refren: Wspomnisz ten Pałac Mostowskich
zbrojny w kraty, w automaty
Rzędem stoją wartownicy
„Bezpieczeństwa” groźna straż*

^{*)} „Na lewo sklep”. Na melodię „Na lewo most, na prawo most, a dołem Wisła płynie” śpiewano na „wolności”.

^{**)} TOLEDO – nie znam genezy tej nazwy dla więzienia Warszawa III przy ulicy 11 Listopada w Warszawie. Być może nazwa ta wiąże się z uwięzionymi w nim po powrocie po wojnie do Polski uczestnikami wojny domowej w Hiszpanii. Sąsiedzi załatwili swoich zaraz po przegranej republikańskiego rządu hiszpańskiego, nasi uczestnicy walk nad Ebro musieli czekać na to na zwycięstwo „demokracji” nad Wisłą.

*Gdy nagle w domu o północy
polskie Gestapo zjawia się
Pan podporucznik arestuje
legitymacja UBP*

*Refren: Wspomnisz ten Pałac Mostowskich
zbrojny w kraty, w automaty
Rzędem stoją wartownicy
„Bezpieczeństwa” groźna straż*

*Pan prokurator wyrok daje
i na „Toledo” wiozą cię.
A tam są takie obyczaje
że już nieprędko wyjdiesz, nie.*

*Refren: Wspomnisz ten Pałac Mostowskich
zbrojny w kraty, w automaty
Rzędem stoją wartownicy
„Bezpieczeństwa” groźna straż*

*Na lewo sklep, na prawo sklep
A w środku dekoracja
Tu nie ma nic, tam nie ma nic
Tak rządzi „demokracja”.*

Zamiast „tak rządzi <<demokracja>>” śpiewano również „niech żyje <<demokracja>>”. Za śpiewanie tej piosenki można było dostać wyrok za tak zwaną szeptaną propagandę, „szeptankę” z artykułu 22. Małego Kodeksu Karnego, zwykle dwadzieścia cztery miesiące pobytu w obozie pracy.

4. ŚMIECH

za głośny też mógł zaprowadzić człowieka za kratki. W czasach, o których mowa, szeroko znany był dowcip – zagadka o budowniczych kanału białomorskiego. Na pytanie, kto budował prawą stronę tego kanału, należało odpowiedzieć, że anegdotwszczycy, natomiast stronę lewą ci, co ich dowcipów słuchali i śmiali się za głośno. A działo się to wszystko w kraju, w którym nawet cichy śmiech wydawał się podejrzany.

Podobnie było u nas. W celi nr 13 poznałem Marka Zakrzewskiego z Warszawy. Mieliśmy podobne zainteresowania literackie (Marek Hłasko, Leopold Tyrmand), muzyczne (jazz), lubiliśmy ten sam rodzaj humoru, przeto nic dziwnego, że nasze drogi w końcu przecięły się i spotkaliśmy się w Pałacu. Różniły nas tylko sankcje, na podstawie których zostaliśmy aresztowani. Ja za dążenie do obalenia siłą podstaw ustroju Polski Ludowej, on zaś za słuchanie dowcipów te podstawy osłabiających. Nie dość, że śmiał się z nich, to jeszcze nie doniósł o tym władzom ani nie zdradził nazwisk osób, które je opowiadały. Dowcipów tych słuchał w kawiarni „U Marca”.

O takich osobach jak Marek, które wiedziały o przestępstwie i nie podzieliły się tą wiedzą z władzami, mówiło się wtedy, że siedzą za „wiedział, nie powiedział”.

5. PIEKARZYCHOTĘGIEMUŁY

to nie pomyłka ani błąd drukarski. To jest jedno słowo wymyślone przez Bogdana „Wcześniaka” i jego kolegów na określenie jednego z nich. Jeżeli je tu przytaczam, to robię to dlatego, że urzekło mnie piękno tego słowa, jego poezja. Chłopcy, którzy je wymyślili, pewnie nie wiedzieli, że tworząc je, robili to według zasad sprzed tysięcy lat dotyczących tworzenia imion, które to zasady jednoznacznie miały określać cechy charakterystyczne osoby dane imię noszącej. Tak było i w tym przypadku. Pierwszy człon tego imienia – piekarzycho – określało zawód tego chłopaka. Pracował on w czasie wakacji jako praktykant – pomocnik w piekarni. Drugi człon – tęgie muły – określał jego siłę. Na rękę nie miał sobie równych, był najsilniejszy w ich grupie. Stąd piekarzychotęgiemuły, czyli najsilniejszy pomocnik piekarski.

Bogdan „Wcześniak” opowiadał nam o przygodzie, jaką kiedyś mieli w lesie. Piekarzychotęgiemuły, Grzesio, on i jeszcze jeden chłopak przypadkowo – no, może niezupełnie – natknęli się na leśnej polanie na mieszany dwuosobowy „patrol” milicyjny w czasie zajęć, które ze służbowymi nie miały nic wspólnego. Jeżeli milicjant był wyższy stopniem od milicjantki, to była ona w tej sytuacji zupełnie podwładna. Chłopaki jak to chłopaki, zachowując absolutną ciszę, patrzyli na to, co się działo na leśnej polanie z dużym zainteresowaniem, zwłaszcza, że była to praktyczna, można powiedzieć, że wręcz pokazowa, lekcja współżycia w socjalistycznej rodzinie. Później im jednak coś odbiło i zachowali się nieelegancko. Schowali im ubrania, które do zajęć pozasłużbowych, w czasie których parę tę zastali, nie były potrzebne, które były wręcz zbędne.

Bogdan „Wcześniak” może by i nie opowiedział nam tej historii, gdyby nie to, że kiedyś wrócił do celi z przesłuchania zdenerwowany i wkurzony do żywego. – Jakie chojraki – mówił – jak mają przewagę. Jak na mnie mordę darli, a przecież nie tak dawno, być może ich kolega, ze łzami w oczach, prawie na kolanach mnie prosił, żeby mu oddać ubranie. – Tak więc przez przypadek najpierw poznaliśmy zakończenie tej leśnej przygody, później zaś – jak do tego zakończenia doszło. Oczywiście ubrania oddali. Z dwóch powodów.

Raz, że im się tej pary żal zrobiło. Dwa, że nikomu na nic by się takie ubrania nie przydały. Poprzestali na tym, co widzieli.

Bogdan opowiedział nam również o zdarzeniu sprzed kilku lat, którego głównym bohaterem był wspomniany tu Grzesio. Jeszcze jako dzieci robili drobne zakupy w sklepie spożywczym. Po wyjściu ze sklepu Grzesio częstował ich dropsami. Na zwróconą mu uwagę, że przecież nie miał pieniędzy, odpowiedział z dumą, że doprowadził. I jeszcze uszczęśliwiony dodał: Ja bym tam czego nie zachachmęcił?

6. SMÓŁKO

był bardzo powolny, a mówił jeszcze wolniej. Był mieszkańcem mojej celi jeszcze przed moim do niej przybyciem. Koledzy mówili, że mówił z szybkością stróżki wody płynącej w wyschniętym korycie, czyli z szybkością równą prawie zero metra na sekundę. Swoją mową doprowadzał śledzi do wściekłości. Pod koniec jego odpowiedzi na zadane pytanie zapominali, co mówił na początku. Na robione mu w wulgarny sposób uwagi, żeby mówił szybciej, odpowiadał z niczym niezmaconym spokojem, cedząc każde słowo, że o ile mu wiadomo, mówi on bardzo szybko i szybciej mówić to on już nie jest w stanie. „O ile mi wiadomo” to była jego ulubiona fraza stylistyczna. Na przykład na pytanie śledzia, od kogo dostał broń, Smółko odpowiadał, że o ile mu wiadomo, to on od nikogo żadnej broni nigdy nie dostawał i *eo ipso*^{*)} żadnej broni mieć nie mógł.

– *Eo ipso* – ucieszył się śledź – A więc się przyznajecie?

– Zostałem niewłaściwie zrozumiany – odpowiadał Smółko.

I jeszcze wolniej zaczął objaśniać znaczenie i pochodzenie tych dwóch słów.

Jeszcze więcej humoru sytuacyjnego było w celi podczas opowiadania przez niego filmów, zwłaszcza westernów, które wtedy jeszcze, jak przed wojną, były nazywane kowbojskimi. Na przykład scenę, w której szeryf błyskawicznym ruchem wyciągnął colta i strzelił w lampę, w związku z czym w saloonie zrobiło się ciemno, opowiadał tak długo, że co niecierpliwiśi przestawali słuchać i rozpoczynali nerwowy przyspieszony spacer jedną parą^{**)}.

^{*)} *Eo ipso* (łac.) – tym samym, również w związku z tym.

^{**)} O spacerze jedną parą piszę we wspomnieniach pt. „DUMA ZAWODOWA” w mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony”.

7. PIELGRZYMKA

miała wyruszyć za kilka dni. W związku z tym kościelny, Franciszek, miał do załatwienia dwie sprawy. Pierwsza – to chciał razem z chorym proboszczem jechać pociągiem, druga – chciał się przed pielgrzymką u niego wypowiadać. Pierwsza udała mu się w stu procentach, w drugiej poniósł fiasko.

Historię tę opowiedział nam pan Rysio, który był współlokatorem naszej celi, a przed aresztowaniem – sekretarzem parafii kościelnego Franciszka. W związku z niezbyt ciężką chorobą proboszcza kościelny Franciszek wyolbrzymiając ją, przekonywał wszystkie osoby z jego najbliższego otoczenia do konieczności rezygnacji proboszcza z jego pieszego w niej udziału. To się udało. Proboszcz miał w końcowej fazie pielgrzymki dojechać pociągiem. Następną fazą tego samego planu było utrwalenie przekonania, że proboszczowi w czasie podróży pociągiem będzie potrzebna męska opieka. To też się udało. Nie muszę mówić, że tą męską opieką okazała się obecność kościelnego Franciszka w tym samym przedziale wagonu kolejowego co ksiądz proboszcz.

Gorzej wyszło, a właściwie nie wyszło, z drugim elementem tego planu. Przed przystąpieniem do spowiedzi kościelny Franciszek postanowił zrobić rachunek sumienia. Ze względu na rangę tego wydarzenia w związku z pielgrzymką poprosił o pomoc przy tym rachunku pana Rysia. Robili go razem. W czasie tego rachunku niejednokrotnie sprzecali się ze sobą, czy grzech jest grzechem, czy tylko niewielkim wykroczeniem, czy w danym przypadku w ogóle nie ma ani grzechu, ani niewielkiego

wykroczenia. No bo jak sklasyfikować na przykład „zorganizowanie” z kościoła – w którym obaj byli zatrudnieni – komeżki dla syna jednego z nich, który służył do mszy świętej w innym kościele. Wprawdzie komeżka zmieniła miejsce, w którym była przechowywana, ale w dalszym ciągu wykorzystywana była w tym samym celu, w którym została uszyta. I gdzie tu mówić o grzechu. Trochę wątpliwą była sprawa trzech świec „podprowadzonych” siostron zakonnym na Pradze⁹⁾. Okolicznością łagodzącą było jednak to, że w tym czasie w PRL-u były przejściowe trudności z tym asortymentem i nawet na Bazarze Różyckiego za żadne pieniądze takich świec kupić nie było można.

Najgorzej przedstawiała się sprawa z obrazem, który przyjęli do poświęcenia, przyjęli (a może nie, dokładnie już nie pamiętam) ofiarę za to poświęcenie i przez nieuwagę zapomnieli dać go proboszczowi do poświęcenia. Wierny, który przyszedł do kościoła w umówionym terminie, odebrał niepoświęcony obraz.

Kościelny Franciszek i pan Rysio po dokończeniu rachunku sumienia dokończyli to, co mieli do dokończenia. Nazajutrz kościelny jako pierwszy ukląkł przy konfesjonale, w którym miał spowiadać jego proboszcz. Proboszcz poznał Franciszka po głosie. Przerwał mu w pół zdania, wyszedł z konfesjonału, uśmiechnął się do niego i głosem pełnym i troski, i pobłażania powiedział do niego: Kochany Franciszku, idźcie do kogo innego. Ja wam i tak nie wierzę.

⁹⁾ Praga – dzielnica Warszawy.

8. SPECJALISTA

od spraw spadkowych, niestety już świętej pamięci – ciągnął pan Rysio – mieszkał bardziej niż skromnie. Ale po wojnie w Warszawie większość jej mieszkańców mieszkała w takich warunkach. Mecenas Tomowicz^{*)} – bo o nim tu mowa – mieszkał u swojej narzeczonej, która miała sześciolatniego syna z pierwszego małżeństwa. W trójkę mieszkali w niewielkim pokoiku, częściowo pod biegiem klatki schodowej. Mimo takich warunków mieszkaniowych na brak klientów nie narzekał. Sprawiała to jego sława, która rozchodziła się pocztą pantoflową. Kłopoty lokalowe rozwiązywano w dość przemyślny sposób. Po prostu w momencie wkraczania klienta do tego locum mecenas Tomowicz otwierał okno i wystawiał syna narzeczonej przez to okno na podwórko. Zimą było pewne utrudnienie, bo chłopak musiał kłaść palto i wychodzić do bramy.

Panowie – mówił pan Rysio, zwracając się do nas – świętej pamięci mecenas Tomowicz był chyba najwybitniejszym w swojej specjalności. Jak on jakąś sprawę zachłmęcił, to nie było sądu w Polsce, w Europie, a może nawet na całym świecie, który by doszedł do tego, co czyje kiedykolwiek było, ale zawsze udało mu się każdy sąd przekonać, kto powinien nabyć prawo do spadku i komu się to należy. Nie muszę tu dodawać – mówił pan Rysio – że zawsze była to osoba przez niego reprezentowana.

^{*)}Nazwisko zmienione.

9. WARUNKI

tak się ułożyły, że kościelny Franciszek brał zawsze udział w spotkaniach towarzyskich z przedstawicielami różnych sfer, często ze sfer prawniczych. Na spotkaniach tych bywał prawie zawsze emerytowany sędzia, który na emeryturę, możliwe, że trochę przyspieszoną, przeszedł z powodu być może nadmiernego zamięłowania do wyrobów najważniejszego z naszych przemysłów. Na spotkaniach tych dochodziło często do zabawnych, czasami wręcz surrealistycznych, sytuacji. Za taką uważam odzywkę kościelnego Franciszka, który do wychodzącego po zakupy sędziego, po uprzednio przeprowadzonej zrzutce, mówił: Panie sędzio, tylko niech pan reszty przyniesie.

To jeszcze nic – opowiadał pan Rysio. – Gorzej było, gdy sędzia P.^{*)} od czasu do czasu wpadał do sądu. Wtedy błąd strach padał na jego pracujących tam kolegów. W obawie przed naciąganiem na pożyczkę chowali się przed nim, gdzie który mógł. W najlepszej sytuacji byli ci, co mogli się zamknąć w kabinie ze splekiwanym tronem. Bezpiecznie i bez wzbudzania podejrzeń mogli tam przeczekać krytyczny okres.

^{*)}P. – pierwsza litera nieprawdziwego nazwiska.

10. KOLEGA ASYSTENT

przeszedł obok pokoju, w którym byłem przesłuchiwany w momencie, kiedy ja byłem z niego wyprowadzany. Zauważyłem go od razu, on mnie nie. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, było to, że nie był on konwojowany. Szedł niezbyt szybko, zachowywał się swobodnie jak częsty bywalec lub wręcz jak osoba mająca pół etatu w tym pałacu. W tym momencie pomyślałem o innym koledze asystencie, który rok wcześniej zniknął z Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej i z domu. Nie wiem, czy między dodatkową pracą jednego i zniknięciem drugiego istnieje jakiś związek, ale wykluczyć tego nie można.

Dwa słowa, co oznacza określenie „kolega asystent”. Otóż zwrotu „kolego asystencie” używaliśmy na początku lat pięćdziesiątych w rozmowach z najmłodszymi pracownikami naukowymi zatrudnionymi w różnych katedrach naszego wydziału. Często byli oni niewiele starsi od nas. Kolega, który zniknął, nazywał się Pężko^{*)} i był asystentem profesora Oleszkiewicza z katedry matematyki. Zniknął, ponieważ, o ile mi wiadomo, w gronie kolegów niezbyt pochlebnie wyrażał się o ówczesnym placu żelaznego Feliksa w Warszawie, między innymi twierdząc, że jest to taka warszawska krasnaja płasztiać. Nie pamiętam, co mówił o tym placu jeszcze, ale za to ostatnie twierdzenie to go chyba by nie zamknęli. Chociaż, kto to wie?

Ten, którego widziałem w pałacu i który się w nim czuł swobodnie, nazywał się – no, jakoś musiał się nazywać – i był

^{*)} Pęszko (?)

asystentem jednego z najbardziej przez nas lubianych profesorów. Nazwiska profesora i katedry, którą on prowadził, nie wspomnę, ponieważ od razu zidentyfikowałbym tego asystenta. Nie dlatego, żebym się bał, jakbym się bał, to bym nie siedział. Chodzi o to, że nie mam pewności, czy nie zdradziłbym jakiejś bardzo ważnej tajemnicy państwowej, zwłaszcza, że stosunkowo jeszcze niedawno zajmował on bardzo ważne stanowisko państwowe (wliczając PRL, było to kolejne). A może to był Konrad Wallenrod? Z tego co wiem, to ostatnie przypuszczenie jest mocno naciągane, ale wykluczyć takiej sytuacji nie można.

11. SZEFE GANGU

sam na siebie urządzał zasadzki. Podległych sobie ludzi besztął za brak sukcesów. W międzyczasie przemawiał na akademiach, a na zebraniach mówił o konieczności wzmożenia czujności w walce o socjalistyczną praworządność. Jego zdjęcia zamieszczane były w gazetkach ściennych w prokuraturze i w okolicznościowych numerach periodyków prawniczych. Niestety, nie wyrósł z zabaw w policjantów i złodziei, w których nikt nie chciał być policjantem. Jako dorosły człowiek poza pracą zawodową i społeczno-polityczną kontynuował on tę chłopięcą zabawę, z tym że traktował ją serio. Bawił się tak jednak do czasu.

Z bazarów do prokuratury dochodziły meldunki i skargi, że działa na nich grupa wymuszająca haracze. Tak się składało, że owe meldunki trafiały na biurko szefa tej grupy, który zgodnie z procedurą urządzał zasadzki, w które nikt nie wpadał. On sam wpadł przez przypadek. Zgubiła go zachłanność. Umówił się z właścicielką budki handlującej kapcami, która miała mu resztę haraczu wypłacić za kilka dni w naturze, czyli w tych kapcach^{*)}. Nie wiem, czy chorował, czy z innych powodów nie był w pracy, dość, że meldunek właścicielki budki o mającym nastąpić z nim spotkaniu wpłynął do jego zastępcy, który nie wiedział o udziale swojego szefa w tym procederze. Tym razem zasadzka się udała. Jakież było zdziwienie grupy operacyjnej, gdy zobaczyli, kogo zatrzymali. Zdarzenie było zbyt głośne i zbyt dużo osób go wi-

^{*)} Kapce – w latach czterdziestych i pięćdziesiątych modne damskie obuwie pod kolana z białego filcu zapinane z tyłu na skórzane paski ze sprzączkami.

działo w tej roli, by sprawie łeb ukreć. Wylądował w Pałacu w jednej z cel od strony ówczesnej ulicy Nowotki (dziś generała Andersa) przeznaczonych dla swoich.

Z opowiadań starszych stażem więźniów pałacu dowiedziałem się, że wyrok otrzymał wysoki: krawat^{**)} lub koło^{***)} i to wcale nie za to, co robił, ale za „podważanie powszechnego w naszym budującym socjalizm społeczeństwie zaufania do władzy ludowej”.

^{**) Krawat – kara śmierci.}

^{***) Koło – kara dożywotniego więzienia.}

12. PROKURATOR W PEPEGACH

to ksywka^{*)} przewodniczącego specjalnej komisji do walki z nadużyciami w handlu. Trwała walka o socjalistyczny handel. Ostrze tej komisji w związku z tym było głównie skierowane przeciw ciągle malejącej liczbie prywatnych handlowców, przeciw tak zwanej prywatnej inicjatywie.

Nazwa „prywaciarz” dla tych ludzi i „badylarz” w odniesieniu do ogrodników była w ustach przedstawicieli władzy ludowej nazwą obraźliwą, a przecież dzięki tym ludziom można było wtedy jeszcze coś kupić z przedmiotów codziennego użytku, ubrań oraz można było stosunkowo najlepiej zjeść w całym obozie państw tak zwanej demokracji ludowej, w którym znaleźliśmy się wbrew naszej woli.

Komisja ta mogła się przyczepić do wszystkiego, ale chętnie przymykała oczy w przypadku uzyskania korzyści od właścicieli kontrolowanych sklepów. W związku z tym jej przewodniczący niezbyt długo chodził w pepegach, a określenie „prokurator w pepegach”, które przyłgnęło do niego w początkach jego służby dla ludowej ojczyzny, miało charakter jedynie orientacyjny. Tak był określany w rozmowach, żeby bez wymieniania jego nazwiska było wiadomo, o kogo chodzi.

Ponieważ nic na tym świecie nie trwa wiecznie, również on musiał się – podobno z płaczem – pożegnać z tym intratnym procederem. Zamieszkał w sąsiedztwie celi szefa gangu wymuszającego haracze na bazarach. Wysokości jego wyroku nie pamiętam.

^{*)} Ksywka – pseudonim, przezwisko.

13. PROKURATOR WOJSKOWY

wszedł na chwilę do pokoju, w którym byłem przesłuchiwany. Porozmawiał z moim śledziem półgębkiem. Był spocony, czerwony, z lekko wybałuszonymi niebieskimi oczami. Wyglądał tak, jakby miał za ciasny kołnierzyk munduru zapięty pod szyją, a była pełnia lata. Usłyszałem ostatecznie zdanie wypowiedziane przez niego do śledzia: I tczewczynki też będą! Pewnie umawiali się na jakąś balangę. Przed wyjściem z pokoju spojrzał na mnie, zawahał się, a potem powiedział – I po co wam to było. Nie lepiej było jakiś przytulny burdel założyć. Wtedy nawet włos by wam z głowy nie spadł. Sami byśmy do niego chętnie od czasu do czasu wpadali. Ale mówi się – trudno. Szkoda, że nie wpadło to wam do głowy. – Powiedział i wyszedł.

Nie wiem, czy używając słowa „wam”, miał na myśli mnie czy całą naszą grupę. O tym, że był to prokurator wojskowy, dowiedziałem się po powrocie do celi od kolegów, kiedy go im opisałem, a którzy wcześniej mieli z nim do czynienia.

14. SIERŻANT

Kot Henryk był Komendantem Komisariatu MO w Pruszkowie. Zgodnie z procedurą musiał wystawić moim kolegom i mnie opinie, czyli tak zwane świadectwo moralności. Kiedy po zakończeniu śledztwa i sporządzeniu aktu oskarżenia zapoznawałem się z wszystkimi dokumentami zawartymi w aktach śledztwa^{*)}, miałem możliwość przeczytać i te opinie. Czytając je, mimo woli uśmiechnąłem się do siebie. Okazuje się, że jak się chce, to w każdej sytuacji można się znaleźć przyzwoicie. Otóż w każdej z tych opinii znalazło się zdanie: „Do kleru nie przejawiał sympatii”. Sierżant Kot Henryk dobrze wiedział, że w naszej sytuacji jego opinia nam nie pomoże, ale nie chciał nam szkodzić. A przecież musiał być mu znany fakt, że wszyscy należeliśmy do Sodalicji Mariańskiej, prowadzonej przez naszego prefekta z gimnazjum i liceum ogólnokształcącego im. Tomasza Zana, księdza Edmunda Fultyna, a dwóch z nas było ministrantami w kościele św. Kazimierza w Pruszkowie.

^{*)} Po zakończeniu śledztwa i sporządzeniu aktu oskarżenia a przed rozpoczęciem sprawy w sądzie każdy z nas musiał się zapoznać z tymi dokumentami i fakt ten potwierdzić własnoręcznym podpisem.

15. IMIENINY GENERALISSIMUSA^{*)}

– gdyby je obchodził – przypadłyby na dzień dziewiętnastego marca. Cała nasza cela śmiała się z nich znacznie wcześniej, bo 30 listopada, po moim powrocie do celi po zaznajomieniu się z materiałami śledztwa. Zgodnie z obowiązującą procedurą zaznajomienie się podejrzanego z wszystkimi (z wyjątkiem operacyjnych) materiałami śledztwa, potwierdzone własnoręcznym podpisem, było jednym z warunków zatwierdzenia aktu oskarżenia, co w naszym przypadku nastąpiło 22 grudnia 1953 roku. Od tego momentu moi koledzy i ja przestaliśmy być podejrzanymi, a staliśmy się oskarżonymi.

Ale wracam do imienin Poranka Ojczyzny naszych ówczesnych sąsiadów. Razem z kolegami byłem oskarżony między innymi o ręczne wykonywanie i nalepianie ulotek antyradzieckich, które były również określane jako antypaństwowe. Cytuję z aktu oskarżenia: „Jakubowski razem ze Stańczykiem wykonał ręcznie ulotki antyradzieckie a następnie razem z Sawickim rozlepił je w okolicach placu Starynkiewicza w Warszawie, rozlepiając tak kilka sztuk”.

Otóż przeglądając materiały śledztwa, znalazłem odpowiedź Andrzeja Sawickiego, pseudonim „Danusia” (mocno Ci ściskam dłoń, Andrzej!) na pytanie śledzia, dlaczego ze mną to robił. Czytając odpowiedź Andrzeja, mimo woli się uśmiechnąłem, a później radowała się z niej cała moja cela. Andrzej odpowiedział, że chcieliśmy razem uczcić w ten sposób imieniny generalissimusa.

^{*)} Generalissimus – jeden z tytułów używanych przez ojca narodów, który był jednocześnie największym językoznawcą na świecie.

16. PAN STASIO

przed aresztowaniem pracował w Zakładzie Oczyszczania Miasta. W czasie przemieszczania się z miejsca na miejsce siedział obok kierowcy w szoferce. – Panowie – mówił do nas pan Stasio – Wystarczyło, że wdychałem powietrze, które on wydychał, a tak kręciło mi się we łbie, że nie mogłem na nogach ustać. Do dziś się zastanawiam, jak facet w takim stanie mógł prowadzić samochód i to nie powodując najmniejszego nawet wypadku. Ktoś w górze i to z największych władz musiał czuwać nad nami. Nie powiem, że to wyglądało na cud, bo nawet wśród nas może znaleźć się ktoś, komu nie przypadnie to do gustu.

Pan Stasio zapoznawał nas z topografią Warszawy na podstawie rodzaju i ilości wyrzucanych do śmietników i pojemników na śmiecie śmieci. Były dzielnice biedne. Charakteryzowały się tym, że wśród śmieci nie było żadnych produktów żywnościowych, nawet skórki od chleba. Były dzielnice lub bloki ciut bogatsze, gdzie zdarzały się opakowania po produktach żywnościowych kupowanych za dolary lub drożej za złotówki na bazarach. I to wszystko było jeszcze w porządku. Największa cholera go jednak brała, jak widział na śmietnikach walającą się kiełbasę, wcale nie zepsutą, choć jej nigdy nie próbowali, i po pół bochenka chleba. Wychowanemu w kulcie poszanowania dla chleba w głowie się nie mieściło, że można tak postępować. – Mógłbym wam powiedzieć, czyje rodziny tak postępowały. Ale po co. Ci, co wiedzą, to już wiedzą. Ci, co nie wiedzą, to się domyślają. A ci, co nie wiedzą i się nie domyślą, to wiedzieć nie muszą – filozoficznie zakończył pan Stasio tę kwestię.

Oddzielną sprawą było wywożenie śmieci z placówek dyplomatycznych. Najwięcej butelek po wódce wywożono z ambasad państw demokracji ludowej z królową tych ambasad na czele. Natomiast ambasada amerykańska wystawiała do wywiezienia również skrzynki z butelkami po winie. Zawsze w każdej skrzynce znajdowała się nienaruszona pełna butelka wina dla pracowników zabierających śmiecie. Dlatego wszyscy chcieli obsługiwać rewir, w którym znajdowała się ta ambasada. Żeby zapobiec przepychankom, sporządzono odpowiedni grafik, żeby obsada każdego wozu mogła cyklicznie ten rewir obsługiwać.

17. PASTUSZEK

Stanisław Czarnocki brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 roku. Opowiadał nam w celi, jak oszukał oddział konnych uciekających spod Warszawy. W czasie, gdy pasł ojcowe krowy, które jakimś cudem ocalały (duże niedopatrzenie komisarzy), z lasu przylegającego do ich łąki ostrożnie wysunął się oddział konnej armii.

Jeden z jeźdźców tego oddziału zapytał małego Stasia o drogę na Ostrołękę. Stasio mu pokazał, ale odwrotny kierunek. Dzięki temu prawdopodobnie oddział ten nie umknął naszej pogoni.

Z powyższego zdarzenia wynika, że pan Stasio od najmłodszych lat wykazywał się dużym sprytem. Dzięki temu sprytowi swobodnie kluczył w czasie przesłuchań w Pałacu i nie podpisał żadnego dokumentu, z wyjątkiem protokołu przekazania do depozytu zegarka kieszonkowego z metalu w kolorze białym (piszę o tym we wspomnieniu pt. „JAK PRZYJEDZIE TOMI” opublikowanym w mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony”).

18. UCIECZKA

pana Stasia z Gostynina nad Skrwą udała się w stu dwudziestu procentach. Aż w tyłu, ponieważ opowiadając o niej, pan Stasio dołożył dwadzieścia procent na wrażenia, których nie zakładał, a więc się ich zupełnie nie spodziewał.

Nie pamiętam już, czy był on tam na obserwacji, czy w innym celu. Mówił, że musiał uciekać, w przeciwnym bowiem razie zachorowałby naprawdę. Co drugi pensjonariusz to był arystokrata, i to z górnej półki, było dwóch biskupów, jeden generał, jeden marszałek i dwóch dyktatorów. Nie było tylko normalnych ludzi, z którymi można by było po ludzku porozmawiać. Obmyślając plany ucieczki i czyniąc do niej przygotowania, zauważył, że w oknie sanitariatów jego oddziału na pierwszym piętrze była prawie niedostrzegalnie obluzowana krata. Postanowił wiać po wieczornym obchodzie czy apelu. Dokładnie już nie pamiętam.

Jednym szarpnięciem wyrwał kratę i otworzył okno – lub w odwrotnej kolejności – i skoczył. W tym momencie opowieści pana Stasia nastąpiła mała przerwa na dygresję odnoszącą się do szóstego zmysłu lub niespotykanej intuicji dotychczasowych jego kolegów. Pan Stasio nam opowiadał, że o planach swojej ucieczki z nikim nie rozmawiał, a jak był w połowie drogi między oknem a ziemią – a przecież z pierwszego piętra nie spada się długo – usłyszał radosne okrzyki całego oddziału: Brawo, Stasio! Stasio uciekł! Niech żyje! Hurra! Brawo, Stasio! Wiwat. Okrzyki te spowodowały prawie natychmiastowe zorganizowanie pogoni. Przez bramę i tak nie mógł uciekać, ale wcześniej upatrzył sobie

takie miejsce w ogrodzeniu, które było tego ogrodzenia słabym punktem. Szczęśliwie opuścił teren zakładu psychiatrycznego.

W tym momencie pan Stasio niezbyt pochlebnie wyraził się o uczestnikach pogoni. Powiedział, że te barany myślały, że jak on mieszkał w Warszawie, to do niej będzie uciekał. A on prysnął w drugą stronę. Znał domowy adres jednego z biskupów z jego oddziału.

Jego żona zapewniła mu wikt i opierunek przez kilka dni. – Zdatna była – powiedział nam pan Stasio z szelmowskim uśmiechem i z żywszym błyskiem w oku.

Po tygodniu szczęśliwie dotarł do Warszawy.

19. OPATRZNOŚĆ

czuwała nad panem Stasiem od kołyski przez całe życie. Znam wiele przypadków z jego opowiadań, z których każdy, gdyby nie ta opieka, mógłby być ostatnim w jego życiu. Tu chciałbym przedstawić dwa takie przypadki.

Pan Stasio urodził się na Podlasiu. Wkrótce po jego urodzeniu zmarła jego mama, a ponieważ w domu było dużo dzieci, jego ojciec ożenił się powtórnie. Macocha chcąc ograniczyć liczbę dzieci do wyżywienia, wystawiła kołyskę czy łóżeczko z nim na mróz w okresie zimy. Inne dziecko może by zamarzło, a Stasiowi, wtedy jeszcze nie panu, nic się nie stało.

Drugi z licznych przypadków pana Stasia, który chciałbym tu przytoczyć, miał miejsce w końcu 1944 lub na początku 1945 roku. Po Powstaniu Warszawskim pan Stasio był wywieziony do Reichu^{*)} na roboty. Pracował w brygadzie przeznaczonej do usuwania skutków nalotów alianckich na torach kolejowych i urządzeniach trakcyjnych łącznie z dworcami kolejowymi, żeby możliwie szybko można było przywrócić drożność systemu komunikacyjnego. Raz, w czasie niespodziewanego nalotu, nazwy miasta nie pamiętam, w ostatniej chwili wpadł do schronu przeznaczonego dla rasy panów. Gdy się zorientowano, że on do tej rasy nie należy, został z tego schronu wyrzucony.

Nalot był potężny. Pan Stasio opowiadał nam, że kilkakrotnie podmuchy wybuchów podrzucały go do góry jak piłkę. Każde lądowanie było bardzo bolesne. Myślał, że to już koniec. Przeżył. Po nalocie był cały potłuczony, podrapany i zakrwawiony. Ze schronu, z którego został wyrzucony, nie wyszedł nikt.

^{*)} Reich – Rzesza, w tym przypadku Rzesza Niemiecka, tak w czasie okupacji określano u nas państwo niemieckie.

20. FIRMA

była nielegalna i działała kilka lat. I nie to było według władzy najgorsze i dla tej władzy najbardziej dotkliwe. Najgorsze było to, że działające w niej osoby lubiły porządek i wszystkie sprawy, w jakich załatwianiu te osoby pośredniczyły, były odnotowane. Po to, żeby w przyszłości, o ile zajdzie taka potrzeba, można było je odnaleźć i do nich wrócić. Jak już wspomniałem, wszystkie te sprawy były załatwiane najzupełniej legalnie, z tym że nie był odprowadzany podatek od tej działalności. W ciągu kilku lat tylko jedna sprawa była załatwiona z naruszeniem prawa i ta jedna sprawa spowodowała aresztowania. Początkowo ucieszono się ze znalezienia wykazu spraw, którymi ta firma się zajmowała. Schody zaczęły się, gdy zorientowano się w ilości tych spraw. Ponieważ jedna była załatwiona nielegalnie (ta akurat nie była odnotowana), prowadzący dochodzenie otrzymali polecenie sprawdzenia tych wszystkich spraw. Na prawie dwa lata specjalny zespół śledczy został odsunięty od innych spraw. Szukali, węszyli, sprawdzali i nic nie znaleźli. Można więc śmiało powiedzieć, że zamiłowanie do porządku osób działających w tej firmie przyczyniło się do osłabienia na prawie dwa lata potencjału aparatu śledczego w Warszawie.

21. STRYJEK

kolegi Michała B. już od kilku miesięcy przebywał w celi nr 2, kiedy jej załogę powiększył mój przyjaciel Henio, z którym razem mieliśmy obalić ustrój. Przypadek stryja Michała B. jest tak piękny, że nie mogłem oprzeć się pokusie, by go opisać.

Stryjek Michała B. był maszynistą parowozowym, czyli – jak mówiono za polskich czasów – panem mechanikiem. Niestety, w końcu lat czterdziestych lub na początku lat pięćdziesiątych ze względu na stan zdrowia nie mógł już prowadzić pociągów. Przeszedł do pracy w parowozowni. Został brygadzystą jednej z brygad remontujących i naprawiających parowozy. Były to czasy, w których z powodu zużycia technicznego i braku środków parowozy zaczynały się rozsypywać. Naprawy stawały się coraz częstsze, a ze względu na potrzeby – coraz szybsze. Pech stryjka Michała B. polegał na tym, że jako dobry fachowiec został brygadzystą brygady zetempowskiej, pracującej według dwóch wykluczających się metod: Kolesnikowa – ja nie wypuszczę braku – i Korabielnikowej, przedkładającej nad jakość zmniejszenie zużycia materiałów. Czary goryczy dopełniło zaciągnięcie przez zetempowców stryjka Michała B. warty pokoju i dołączenie do dwóch wspomnianych metod pracy metody Stachanowa, czyli znacznego przyspieszenia wykonywanych prac. Efekty takiej pracy – mimo wysiłków brygadzystów – nie kazały długo na sobie czekać. Zaczęła wzrastać awaryjność parowozów i to w niedługim czasie po remontach.

Do akcji wkroczyli funkcjonariusze wiadomego urzędu. Okazało się, że największą awaryjność miały parowozy napra-

wiane przez zetempowską brygadę kierowaną przez stryjka Michała B. Pod zarzutem sabotażu został aresztowany. Wylądował w celi nr 2 w Pałacu.

W czasie jednego z przesłuchań doszło do zabawnego zdarzenia. Po raz kolejny wyjaśniał, że miał brygadę zetempowską, młodą, chętną do pracy, ale niezbyt przygotowaną pod względem zawodowym, że pracował z nią zbyt krótko, żeby przekazać jej swoje doświadczenie, ale że czyniła ona postępy, że zaczął nabierać do niej coraz większego zaufania i że gdyby nie wymuszony pośpiech, awaryjność parowozów byłaby na pewno mniejsza.

Śledź dość długo nic nie mówiąc, wpatrywał się w stryjka Michała B., aż ten poczuł się trochę nieswojo. Po tym powolutku, ale głosem nieznoszącym sprzeciwu – powiedział:

– Jak to? I wy, stary, warszawski remiecha, wierzyliście tym SKURRRRRRRRRWYSYNOM zetempowcom? W głowie mi się to nie mieści.

Nacisnął przycisk. Zjawił się strażnik – Odprowadźcie pana mechanika do aresztu. Niech skruszeje, niech zastanowi się nad swoim stosunkiem do Polski Ludowej.

22. ŚLEDZIE

byli różni. Gorliwi, nadgorliwi i tacy, którzy nie w pełni służyli przewodniej sile narodu przez niezbyt sumienne wprowadzanie w życie dyrektyw jej zbrojnego ramienia, jakim było Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Ci ostatni po prostu olewali swoją robotę. Takich jednak było w Pałacu Mostowskich niewielu. Jeden albo dwóch. Zarówno mój przyjaciel Henio, jak i ja mieliśmy z nimi do czynienia, ale nie mieliśmy możliwości sprawdzić, czy były to dwie różne czy jedna i ta sama osoba. Henio przez takiego olewającego robotę śledzia był przesłuchiwany dwukrotnie, ja raz. Mój przyjaciel raz na okoliczność rzekomego szpiegostwa i dowcipu o Rokossowskim (piszę o tym w obrazku K.G.P.R. *) i drugi raz w przesłuchaniu nocnym. Ja też miałem takie nocne przesłuchanie. W przesłuchaniach nocnych chodziło o to, że podejrzany wyrwany ze snu może być mniej skoncentrowany i że może powiedzieć coś, czego powiedzieć nie powinien.

Wyrwany ze snu, odprowadzony zostałem przez klawisza do kraty w piwnicy, przy której odebrał mnie funkcjonariusz. Ten drugi konwojował mnie do pokoju przesłuchań. Usiadłem na krześle w kącie pomieszczenia. Śledź zadał mi kilka niewiele znaczących dla śledztwa pytań, po czym włączył radio. Była to „Stolica” z magicznym okiem. Później dowiedziałem się, że drewniane skrzynki do tych radioodbiorników wykonywali więźniowie w Rawiczu. Ale to dygresja. Wracam do mojego śle-

* W mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony”.

dzia. Pokręcił gałką i złapał RIAS Berlin, amerykańską stację nadającą z Berlina Zachodniego. Przesłuchanie było skończone. Do rana słuchaliśmy nagrań orkiestry Glenna Millera oraz ostatnich szlagierów, między innymi „Manhattan Bobo”. Przez prawie siedem miesięcy pobytu w Pałacu tylko raz miałem takie przesłuchanie.

Nocne przesłuchanie Henia wyglądało inaczej. Śledź był tego dnia, a właściwie nocy, raczej zmęczony i po prostu kimał, położywszy głowę na biurku. Henio nie mógł sobie pozwolić na taki luksus, ponieważ siedział w kącie na twardym krześle i pilnował się, żeby z niego nie spaść. W pewnym momencie usłyszał kroki na korytarzu. Szybko obudził śledzia. Do pokoju wszedł dyżurny oficer UB.

– No, jak wam idzie towarzyszu? – zwrócił się do śledzia.

– Ciężko, nic nie chce powiedzieć.

– Powie, powie, tylko nad nim, towarzyszu, popracujcie. I bez żadnych ceregieli.

Po jego wyjściu śledź wrócił do poprzedniego zajęcia. Nie spał już jednak długo, ponieważ zbliżała się godzina 4 rano i przesłuchiwany musiał wrócić do swojej celi. O tej godzinie wszyscy mieszkańcy piwnic byli budzeni. Zaczynał się dla nich kolejny dzień pobytu w Pałacu. Od układania sterty sienników w celi i dziesięciominutowego spaceru na pałacowym podwórku – studni.

23. CELA NR 22

Nie jestem autorem tego obrazka. „Namalował” go w liście do mnie Zdzisław Plewiński z Częstochowy, dowódca Zgrupowania Świętokrzyskiego Wolnej Młodzieży w latach pięćdziesiątych (13 lat w pierwszej instancji). Uważam, że to, co napisał do mnie Zdzisio, należy uchronić od zapomnienia. Oddaję mu głos.

... Myślę, że Pałac^{)} zasługuje, by go szerzej i poważniej potraktować. Spędziliśmy przecież w nim po kilka miesięcy (ja dokładnie 8), a było to nasze pierwsze spotkanie ze śledztwem ubowskim. Ja zostałem, jak Ci wiadomo, aresztowany w Częstochowie 22 czerwca^{**)}, a już w nocy z 24 na 25 znalazłem się w Pałacu, przywieziony wraz z grupą koleżanek i kolegów z Częstochowy. Przywieziono nas w nocy, więc do cel nas nie dawano, lecz każdego do oddzielnego pokoju przesłuchań i dopiero po wstępnych przesłuchaniach, do różnych cel. Ja trafiłem około 16⁰⁰ do celi nr 22. Była to cela podwójna^{***)}, a więc znalazłem się tam jako szesnasty, nie licząc tysięcy pcheł. Zastałem w niej trzech mężczyzn szczególnie ciekawych:*

– Marka Pawłowskiego, o którym powiadano w celi, że w areszcie UB przebywa od 1945 roku, a więc 8 lat, bez wyroku, gdyż jest podpułkownikiem kontrwywiadu AK i to mu pozwala jeszcze żyć (mają nadzieję wciąż coś nowego od niego się dowiedzieć).

^{*)} Pałac Mostowskich, siedziba Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego miasta stołecznego Warszawy.

^{**)} 22 czerwca 1953 roku.

^{***)} Podwójna (dwuosobowa).

– Romana Gromka, majora, lotnika „Latających Fortec”^{****)} Aresztowany w następnym dniu po powrocie do Polski w 1948 roku (5 lat bez wyroku, bo usiłują mu zarzucić szpiegostwo).

– redaktora „Trybuny Ludu”, nazwiska którego niestety nie pamiętam. Zatrzymany rzekomo za to, że napisał coś, co nie mogło być wydrukowane i w tym dniu „Trybuna” musiała się ukazać z czystymi szpaltami (pamiętam taką „Trybunę”, chyba z 1951 roku)^{*****)}.

Nigdy się już z nimi nie spotkałem ani o nich nie słyszałem, bo po trzech miesiącach zmieniono mi celę. Przeniesiono mnie do celi nr 8, gdzie spotkałem Witka. Najpierw myślałem, że to jakaś prowokacja, ale Witek szybko mnie uspokoił, twierdząc, że w tej fazie naszego śledztwa możemy już przebywać razem z jedną sprawą, bo jest nas zbyt dużo, by każdego trzymać w oddzielnej celi (zbyt mała ilość cel, tylko 23). Że Witek ma rację, szybko się przekonałem, bo jako „telegrafista” miałem łączność z sąsiednimi celami i tak np. w celach nr 7 i 9 były kobiety, a w nich po 3 a nawet 4 z naszej organizacji. Zimą do rozprawy spędziłem w celi nr 2, gdzie spotkałem Andrzeja.

Panem Pawłowskim i Gromkiem w 1994 roku starałem się zainteresować redaktora Baliszewskiego, a także Wołoszańskiego, ale żadnych od nich nie otrzymałem odpowiedzi. Chyba zbyt się pośpieszyłem. Wtedy jeszcze z pewnością czuli się ubecy^{*****)} i dlatego pewnie redaktorzy w ramach samocenzury woleli sprawą się nie zajmować. Myślę, że dobrze by było poznać losy tych ludzi, choćby tylko po to, by przekazać je młodemu. Ale jak to zrobić?

^{****)} „Latające fortece”. Były to samoloty B17 wchodzące w skład 8. floty amerykańskiej. 17 września 1944 roku z bazy w Brindisi we Włoszech przyleciały z zaopatrzeniem nad powstańczą Warszawę. Po dokonaniu rzutów wracały do Włoch, ponieważ Wąsate Słoneczko nie zgodziło się na ich lądowanie za prawym brzegiem Wisły. Z tego powodu nie wszystkie latające fortece wróciły do bazy w Brindisi.

^{*****)} Temu musiało być przykro – dostał w dupę od swoich.

^{*****)} Zamiast „ubecy” powinno być „ubowcy”, ponieważ tak określano ich w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Określenia „ubek”, „ubecy” powstały stosunkowo niedawno. Są wzorowane na słowach „esbek”, „esbecy”.

24. DWIE STRONY BARYKADY

Obrazek ten podarował mi mój przyjaciel Henio Pecyna na krótko przed swoim dobieciem do mety. Henio był jednym z trzech moich największych Przyjaciół. Niestety, żaden z tej trójki już nie żyje.

Podczas okupacji niemieckiej zaprzyjaźnił się z M.L. Razem chodzili do szkoły powszechnej (podstawówki to wymysł PRL-u trzymający się do dzisiaj mocno). Razem służyli do mszy w kościele pod wezwaniem świętego Kazimierza w Pruszkowie. Razem chodzili do Zana, z tym że byli w klasach równoległych. Ja z Heniem w klasie niemieckiej, M.L. w klasie angielskiej.

Różnie się ułożyły ich późniejsze losy. Stanęli po dwóch stronach barykady. Henio razem z piszącym te słowa należał do konspiracyjnej organizacji o nazwie Wolna Młodzież, M. L. robił w tym czasie karierę w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Zdobył szlify oficerskie, z tym że w tamtych czasach nie było to równoznaczne z funkcją oficera śledczego. Oficerem śledczym mógł być wtedy kapral lub sierżant.

Po aresztowaniach, razem z Heniem i z innymi kolegami z naszej organizacji, wyładowaliśmy w Pałacu Mostowskich w Warszawie. Śledztwo przeciwko innej grupie naszych kolegów prowadzone było na Pradze, w areszcie przy więzieniu określanym przez bywalców jako „Toledo”.

We wrześniu (lub może trochę wcześniej) 1953 roku Henio został przewieziony z Pałacu Mostowskich do tego więzienia, gdzie miał być przesłuchiwany w charakterze świadka (a może chodziło o konfrontację...? Dla tej historii nie jest to istotne)

w śledztwie prowadzonym przeciwko grupie osadzonych tam kolegów. Henio został wprowadzony przez konwojenta do gabinetu. I zbaraniał. Stał oko w oko z kapitanem, a może już pułkownikiem M.L., z którym kiedyś razem służył do mszy świętej. Właściwie, to stał tylko Henio, bo M.L. siedział za biurkiem. Spojrzeli na siebie i nie zamienili ani jednego słowa. Konwojent zameldował doprowadzenie świadka w sprawie takiej a takiej i zbierał się do odejścia.

M.L. zerwał się zza biurka i krzyknął:

– Kurwa! Kogoście mi przyprowadzili! Wyprowadzić natychmiast! Co wy sobie wyobrażacie!? Pomyłka! Ja się duperełami nie zajmuję!

Henio został wyprowadzony.

Minęło pół wieku.

Henio i M.L. przypadkowo spotkali się w Pruszkowie.

Mimo woli, jako dawni koledzy i ministranci, prawie automatycznie podali sobie ręce.

Pierwszy odezwał się M.L.:

– Stary, nie gniewaj się, że tak zareagowałem na twoje wejście do pokoju, w którym wtedy byłem. Nasze wcześniejsze więzy były silniejsze od tego, że wtedy znaleźliśmy się po dwóch stronach barykady. Za żadne skarby świata nie mógłbym ciebie przesłuchiwać. I jeszcze jedno. Dziękuję ci, żeś się nie wygadał, że mnie znasz. W najlepszym przypadku wyleciałbym ze służby. Daj Boże, żeby się to wtedy na tym tylko skończyło.

To spotkanie widział jeden z naszych kolegów. Po tygodniu wiedziało o nim więcej osób. Dziwili się Heniowi, że podał tamtemu rękę. A przecież modlą się, mówiąc: „jako i my odpuszczamy naszym...”

Czyżby te słowa nic dla nich nie znaczyły?

25. NIEBIAŃSKA MUZYKA

Zdarzało się, że aresztant przebywał w Pałacu Mostowskich rok lub dłużej i w przypadku, gdy nic przeciwko niemu nie znaleziono, bywał zwalniany do domu. Przypadki takie były jednak niesłychanie rzadkie, ponieważ zgodnie z dyrektywą Żelaznego Feliksa, guru wszystkich ubowców (nie – ubeków, jak teraz się ich określa), jak człowiek jest, to i artykuł się znajdzie.

Zdarzało się, że taki niesłusznie przetrzymywany wylatywał z pracy, a i o takim jednym słyszałem, że obraziła się na niego komórka podstawowa (nie mylić z żoną).

Bywało – a były to przypadki jeszcze radsze – że taki nieszczęśnik (co za kretyn) przychodził do Pałacu Mostowskich z prośbą o zaświadczenie, że w takim to a takim okresie, taki a taki niewinnie był przetrzymywany w areszcie. I w tym momencie zaczynał się cyrk.

– Wiecie, obywatelu, wystawienie takiego zaświadczenia wymaga precyzji i wyważenia słów, by nie naruszyć powagi Urzędu. Nie chcemy was jednak narażać na powtórne przychodzenie do Urzędu, proponujemy wam gościć u nas.

Po chwili dzwonek. Krótkie polecenia dla pałacowego kławisza:

– Wyprowadzić i zaprowadzić. Przy kracie go wam odbiorą.

Mogło się zdarzyć, że taki dochodzący swych praw wracał do swojej „macierzystej” celi. Po raz drugi nie siedział jednak długo – od tygodnia do miesiąca. Po tym okresie bywał doprowadzany na piętro po odbiór stosownego zaświadczenia.

– Mamy tu dla was zaświadczenie, o które prosiliście. Nie wiemy tylko, czy wam w dalszym ciągu jest ono potrzebne?

– Ależ skąd, obywatelu kapitanie. Przecież to nie jest aż tak ważne.

– Nie jest aż tak ważne? To czemu nam dupę zawracacie? Tracimy przez was czas! To jest prawie sabotaż z waszej strony! Ale nie bójcie się. Władza ludowa jest wyrozumiała. Wypierdalajcie do domu! Strażnik, odprowadzić na portiernię. Zaraz do nich zadzwonię. Wypuścić bez przepustki.

Te sześć ostatnich zdań dla korzystającego po raz drugi z gościny w pałacowych piwnicach zabrzmiało jak niebiańska muzyka. Mimo że jedno ze słów usłyszanych przez niego z tą muzyką się nie kojarzy.

26. PAJDKA

W styczniu 1954 roku razem z kolegami zostałem przywieziony suką na rozprawę do Rejonowego Sądu Wojskowego w Warszawie. Przyjechaliśmy trochę wcześniej, w związku z czym wylądowaliśmy w areszcie poczekalni, w piwnicy. Oprócz nas w poczekalni tej byli również główni „aktorzy” innych procesów przedstawień, jakie odbywały się w tym sądzie. Było już wprawdzie po śmierci Wąsatego Słoneczka, ale siłą rozpędu Sądy Wojskowe w PRL-u w tamtych czasach miały pełne obłożenie.

Minę musiałem mieć nietęgą, ponieważ podszedł do mnie chłopak oskarżony w innym procesie. W ręku trzymał pajdkę gliniastego razowca. Może nie zdążył jej zjeść przed wyprowadzeniem go z celi?

– Kolego – powiedział do mnie – nie przejmuj się. Masz, zjedz, przyjmij ode mnie tę pajdkę chleba. Posił się przed sprawą. Przepraszam, że sucha. Ale pociesz się, że odwetowcy i imperialiści nawet takiej nie mają.

Roześmiałem się, podziękowałem i połowę tej pajdki zjadłem. To nieprawda, że solidarność narodziła się dwadzieścia pięć lat później. Była u nas zawsze.

27. ŻAL

Zdanie pełne żalu znalazłem w jednym z pism departamentu takiego a takiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na m.st. Warszawę w związku z planem śledztwa w mojej i moich kolegów sprawie. Natrafiłem na nie w IPN-ie podczas przeglądania udostępnionych mi akt. Oto to zdanie:

„W Pruszkowie dawno nie było aresztowań.”

Zdanie to świadczy o tym, że funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa groziło niewykonanie planu. Oczywiście, planu aresztowań. A plan w gospodarce socjalistycznej to rzecz święta. Być może ja i moi koledzy z kontrrewolucyjnej bandy poprzez nasze aresztowania przyczyniliśmy się do uratowania tego planu.

Plany aresztowań to nie wynalazek PRL-u. Jak wszystkie nowinki w branży „posiedzieć”, dotarły nad Wisłę od naszego ówczesnego największego brata. Nad Wołgą pojawiły się w okresie kolektywizacji. Wtedy plany te były wykonywane i przekraczane z rekordową nadwyżką. Mało tego, rozkułaczani chłopci masowo przyznawali się do tego, że byli członkami kontrrewolucyjnej organizacji, która nigdy nie istniała.

28. „POKRZEPIENIE”?

Pierwszy donos na mnie złożył jeden z dwóch funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, którzy aresztowali mnie o godzinie 6 rano 27.06.1953 roku. Znalazłem go w IPN-ie 04.06.2009 podczas przeglądania udostępnionych mi materiałów na mój temat. Donos ten posłużył mózgowcom z Urzędu Bezpieczeństwa do opracowania charakterystyki kontrrewolucyjnej bandy, do której należałem.

Oddaję im głos.

Jak wynika z materiałów śledztwa, większość aresztowanych wywodzi się ze środowiska inteligentkiego jak również większość zatrzymanych posiada wyższe wykształcenie lub jest studentami wyższych uczelni jak Politechnika Warszawska, Akademia Medyczna.

Jest to element klerykalny o czym świadczyć może np. taki fakt jaki miał miejsce z Jakubowskim Tadeuszem, który po aresztowaniu przed wyjściem z domu klęknął przed swoim łóżkiem nad którym wisiał obraz jakiegoś świętego i przynajmniej 5 minut modlił się i dopiero po tym "pokrzepieniu"? wyszedł.

IPN BU 0235/739 t.12

IPN BU 0235/739 t.9

Trzy sprawy.

Pierwsza. Dziękuję owemu donosicielowi za przypomnienie mi tego zdarzenia. Widocznie byłem tak zdenerwowany podczas aresztowania, że nie zanotowałem go w pamięci.

Druga. To nie był „jakiś święty”, tylko ryngraf Matki Boskiej Częstochowskiej, który dostałem od mojej matki chrzestnej, Klary Dzierlińskiej, rodzonej siostry mojej matki. O tym, że był to ryngraf, a nie „jakiś święty”, donosiciel chyba wiedział, ale wołał się tą wiedzą nie chwalić. A nuż zaczęto by go nagabywać na okoliczność jego wiedzy o zabobonach (tak w jego kręgach towarzyskich określana była religia). Wołał nie ryzykować.

I sprawa trzecia.

Nie jestem autorem tytułu tego obrazka. Jest nim cenzor, który w maszynopisie czytał charakterystykę naszej organizacji w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Słowo „pokrzepienie” odręcznie ujął w cudzysłów i dopisał znak zapytania. Co to ma znaczyć? – pewnie sobie pomyślał. Temu wysoko postawionemu funkcjonariuszowi resortu nie mieściło się we łbie, że modlitwa może być pokrzepieniem.

29. LITERATURA PIĘKNA

Kilka dni przeglądałem w IPN-ie materiały mnie dotyczące, zawarte w osiemnastu tomach akt (to nie pomyłka). 04.06.2009 w tomie IPN BU 0235/739 (t.1) z rozbawieniem przeczytałem opinię, wystawioną mi dla potrzeb śledztwa przez „hunwejbistów” z Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej, czyli przez aktyw ZMP i „oczy i uszy królewskie”, czyli przez „szwoleżerów” z Brygad Lekkiej Kawalerii.

A oto fragmenty tej opinii:

... w okresie wykazał się pewnymi zdolnościami. Nieregularny w pracy naukowej, co tłumaczył złymi warunkami domowymi. Kilkakrotnie ściągął na kolokwiah. Słabe oceny miał z marksizmu. Na ćwiczeniach z marksizmu źle interpretował niektóre zagadnienia. Asystent zabrał mu książkę wydaną w okresie międzywojennym z dziedziny marksizmu. Był czytany w literaturze pięknej. Dużo znał piosenek bikiniarskich. Z rozmów wynikało, że poza wydziałem posiada nieodpowiednie towarzystwo (wspominał o stosunkach z podejrzanymi kobietami). W pracy nie przejawiał inicjatywy. W sprawach politycznych nie zabierał głosu. Pewną koleżeńską i wesołym usposobieniem (kawały itp.) zjednywał sobie ludzi.

Kilka wyjaśnień z mojej strony. Ściągałem na kolokwiah z marksizmu, a mimo to miałem słabe oceny z tego przedmiotu. Wspomniany w opinii asystent to kolega Szyft Szraja. „Kolega”, bo w tej formie zwracaliśmy się wtedy do asystentów. Zabrał nie książkę a broszurę. Nie z dziedziny marksizmu, bo takiej nie

miałem i takich nie brałem do ręki (dlatego musiałem ściągać), a z dziedziny socjalizmu. Jej autorem był będący wtedy na indeksie Adam Próchnik (dlatego została zabrana). Broszura ta – o ile dobrze pamiętam – miała tytuł „Ku Polsce socjalistycznej”. Mam wątpliwości, czy czytanie w literaturze pięknej, umieszczone między książką wydaną w okresie międzywojennym, a znajomością piosenek bikiniarskich, jest wadą czy zaletą. A te bikiniarskie piosenki to były standardy jazzu tradycyjnego, szczęśliwie nagrane przez zespół Skowrońskiego i Górkiewicza w wytwórni płyt MUZA w 1948 lub w 1949 roku. Szczęśliwie, ponieważ rok później odbył się sabat w Szczecinie programowo potępiający imperialistyczną kulturę zachodu i w zamian wprowadzający realizm socjalistyczny w sztuce: w muzyce, w architekturze, w literaturze i w plastyce.

Odnosnie do stosunków z podejrzanymi kobietami uznanymi za nieodpowiednie towarzystwo. Nie chodziło tu o stosunki damsko – męskie, lecz o grę w brydża. Brydż był wtedy uważany za grę burżuazyjną. Nieopatrznie pokazałem jednemu palantowi – jak się później okazało – zdjęcie z Żółwina koło Podkowy Leśnej, na którym z pięknymi i normalnymi (w przeciwieństwie do aktywistek z naszego wydziału) dziewczynami, grałem nad stawem w brydża. Część moich przyjaciół w tym czasie się kąpała. Nieopatrznie, ponieważ na odwrocie tego zdjęcia miałem hasłowo zanotowane „kawały itp.”, którymi „zjednywałem sobie ludzi”.

W sprawach politycznych nie zabierałem głosu, ponieważ w każdej chwili spodziewałem się aresztowania. Nie chciałem go przyspieszać. W tamtych czasach znikало wielu ludzi.

W „obrazku” tym napisałem, że mam wątpliwości, czy znajomość literatury pięknej jest wadą czy zaletą. Nie mam natomiast wątpliwości odnośnie do oceny P.T. palantów, zbiorczego autora tej opinii. Nazwisk nie podaję. Gównu mi robią.

W związku z tą opinią – donosem, przypomniwały mi się trzy sztandarowe kawały z tamtego okresu. Jako człowiek o „pewnej

koleżeńskości i wesołym usposobieniu” podzielię się nimi z Czytelniczkami i z Czytelnikami mojego pisania. Oto one.

Pierwszy.

Towarzysz lektor kończy w KC wykład na temat religii i cudów.

– Towarzysze, cudów nie było i nie będzie. Religia to opium dla ludu, to wymysł księży i klas posiadających, by pozostała część społeczeństwa sobie podporządkować i wyzyskiwać.

– Towarzyszu lektorze – przerwał mu jeden z kursantów – A cud nad Wisłą?

– Towarzyszu – odpowiedział towarzysz lektor. – Tam żadnego cudu nie było. Po prostu daliśmy bolszewikom w dupę i tyle.

Drugi. Zagadka.

– Co to jest realizm socjalistyczny w architekturze?

– To samo co chuj komara. Wszyscy wiedzą, że jest, ale nikt go nie widział.

Trzeci.

Trzeciego nie będzie. Po trzecim nie mogę nigdy wyhamować.

30. LAURKA

Nie jestem autorem tej perełki piśmiennictwa ojczystego. Przytaczam ją w całości, łącznie z nazwiskiem, stopniem, stanowiskiem i miejscem pracy jej autora. Znalazłem ją w jednym z osiemnastu tomów akt, w których były zawarte materiały mnie dotyczące.

C h a r a k t e r y s t y k a

więźnia JAKUBOWSKIEGO Tadeusza.

W czasie śledztwa JAKUBOWSKI Tadeusz zachowywał się dobrze, lecz do popełnionych czynów nie przyznał się całkowicie, usiłując zataić pewne momenty, uważając, że działalność jego w bandzie nie była zbyt szkodliwa.

Na jednej z rozpraw sądowych innej grupy bandy jako świadek zachowywał się arogancko prowokacyjnie w stosunku do konwojentów i Sąd, nie reagując na zwracano mu uwagi. Niekiedy staje się ordynarny i niezdyscyplinowany, w stosunku do ~~funkcjonariuszy~~ funkcjonariuszy aresztu.

W śledztwie za popełnione przestępstwa nie wykazał skruchy.

OFICER ŚLEDZCY

UchBŚ na m.sto. Warszawa
[Signature]
/ZAMIEWICZ M.st. sierż.-/

182

288

Oto ta laurka.

Charakterystyka więźnia Jakubowskiego Tadeusza

W czasie śledztwa Jakubowski Tadeusz zachowywał się dobrze, lecz do popełnionych czynów nie przyznał się całkowicie, usiłując zataić pewne momenty, uważając, że działalność jego w bandzie nie była zbyt szkodliwa.

Na jednej z rozpraw sądowych innej grupy bandy jako świadek zachowywał się arogancko prowokacyjnie w stosunku do konwojentów i Sądu, nie reagując na zwracane mu uwagi. Niekiedy stał się ordynarny i niezdyscyplinowany, w stosunku do funkcjonariuszy aresztu.

W śledztwie za popełnione przestępstwo nie okazał skruchy.

Oficer śledczy

U.B.P. na m.st. Warszawę

(Zaniewicz M. st. sierż. –)

IPN BU 0235/739 t.4

Czytelniczkom i Czytelnikom tej książeczki należy się małe wyjaśnienie. Starszy sierżant mógł być oficerem śledczym, ponieważ oficer śledczy to nie stopień, lecz pełniona funkcja. I jeszcze jedna sprawa. Opinia ta powstała głównie po incydencie przedstawionym przeze mnie w mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony” (Część druga. Pałac. 40. Przepychanka, strona 95).

31. PRL W CZARNO-BIAŁEJ FOTOGRAFII



Tytuł: „TRYPTYK”

Temat: Tadeusz Hubert Jakubowski, syn Czesława, urodzony 03.11.1931 r., w Pruszkowie, student trzeciego roku Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej.

Miejsce: Urząd Bezpieczeństwa Publicznego m.st. Warszawy w Pałacu Mostowskich

Czas: lipiec lub sierpień 1953 rok

Aktotwórca: KWMO Białystok

Tytuł jednostki archiwalnej: Akta kontrolne w sprawie przeciwko Pecynie Henrykowi i innym

Oznaczenie własnościowe archiwum: IPN Warszawa IPN BU 0235/739 t.1

CZĘŚĆ SIÓDMA

OPOWIEŚCI SPOD CELI NA RAKOWIECKIEJ (06.02.1954 – 02.04.1954)

1. OSTRZEGANIE
2. ROTMISTRZ SZADKOWSKI
3. GENERAL JULIAN SKOKOWSKI
4. BALLADY (II)
5. ZJEDNOCZENIE
6. WYSTĘP
7. POLITRUK

1. OSTRZEGANIE

przed współwięźniami, którzy mogą zaszkodzić, było na porządku dziennym. Już dwa dni po przybyciu do celi nr 26 miano w stosunku do nas takie zaufanie, że ostrzeżono nas przed rozmowami na niektóre tematy w przypadku, gdyby w pobliżu znajdował się „Ten”. W tym momencie pokazywano nam „Tego” skinieniem głowy. Pewności, czy „Ten” był taki, nie mam do dziś, ponieważ po kilku dniach „Ten” ostrzegał nas z kolei przed innymi. Zrobił to w czasie spaceru parami w celi. Cella była duża, tak że między pryzkami a stołem mógł się odbywać spacer parami czterdziestu więźniów. Akurat szedłem z nim w jednej parze. „Ten” powiedział mi, żebym porozmawiał z moimi kolegami, żeby pewnych tematów unikać, bo możemy się narazić na przykrości doraźne i kłopoty w przyszłości na przykład w przypadku ewentualnego ubiegania się o warunkowe przedterminowe zwolnienie.

O problemie tym piszę, ponieważ jest on stary jak więzienia, a zresztą, nie tylko jak więzienia. Wszelka zwierzchność kocha wiedzieć, co się dzieje i o czym się mówi w podległych tej zwierzchności placówkach. I robi to różnymi metodami, często perfidnymi. Dlatego należy podchodzić do tej kwestii z wielką ostrożnością, ponieważ osoba podejrzewana o takie działania często bywa niewinna, z tym że nie ma praktycznie żadnej możliwości, żeby tej niewinności dowieść. Tymczasem taką działalność może prowadzić ktoś, kto cieszy się pełnym zaufaniem współwięźniów i którego nikt o to nie podejrzewa. Każda społeczność ograniczona czy zamknięta, a więc przede wszystkim więzienna, jest wyczulona na wszelkie zdarzenia odbiegające od zwyczajów

czy normy, które prawie automatycznie wzbudzają podejrzenia o takie właśnie działania. Piszę o tym dlatego, ponieważ wspominając różne zdarzenia z okresu naszego pobytu w Pałacu, na Rakowieckiej i w Rawiczu, problemu tego nie mogłem pominąć.

2. ROTMISTRZ SZADKOWSKI

i jego szwadron kawalerii byli chyba jedynymi żołnierzami Wojska Polskiego, którzy we Wrześniu wdarli się na teren niemieckiego najeźdźcy. Podczas wycofywania się z Prus Wschodnich został ranny i pozostał w pasie ziemi niczyjej. Na ratunek podczołgał się do niego jego ułan. Był już bardzo blisko rotmistrza. Został zabity. Wtedy po rotmistrza wybrał się ułan drugi. I ten też padł. Dopiero trzeciemu ułanowi udało się doczołgać do rotmistrza Szadkowskiego, ściągnąć go z pasa ziemi niczyjej i doholować do swoich.

Nie wiem, jakie były jego późniejsze losy wojenne. Rotmistrza Szadkowskiego poznałem w lutym 1954 roku w celi nr 26 więzienia na Rakowieckiej w Warszawie.

3. GENERAL JULIAN SKOKOWSKI

był bardzo zasłużoną i barwną postacią, ale o tym dowiedziałem się znacznie później. Przebywając w celi nr 26, w której funkcję celowego pełnił jego adiutant, wiedziałem tylko tyle, że był on Komendantem Polskiej Armii Ludowej związanej ideologicznie i organizacyjnie z Polską Partią Socjalistyczną i że razem z tą armią brał udział w Powstaniu Warszawskim. Nie wiedziałem również, że znana w międzywojniu wszystkim dzieciom w Polsce niedźwiedzica Baśka zawdzięczała właśnie jemu swoje przybycie z Murmańczykami, u których była – jak byśmy to dziś powiedzieli – na stanie.

Jako poddany rosyjski Julian Skokowski kończy szkołę junkrów, rozpoczyna służbę w wojsku jako oficer. Bierze udział w pierwszej wojnie światowej. Wstępuje do drugiego Korpusu Wojska Polskiego dowodzonego przez generała Józefa Hallera. Walczy przeciw Rewolucji Październikowej. Po rozbiciu drugiego korpusu, zgodnie z rozkazem, z jego niedobitkami przedziera się na północ do Murmańska, gdzie od marca 1918 roku znajdują się Anglicy, Francuzi i Amerykanie. Razem z nimi do Murmańska dociera około dwustu niedobitków drugiego korpusu, którzy przyjmują od miejsca, w którym się znaleźli, nazwę Murmańczyków.

W sierpniu 1918 roku Murmańczycy biorą udział w walkach o Archangielsk. Po zdobyciu Archangielska Julian Skokowski, wtedy już major, obejmuje nad nimi dowództwo. W walkach nad Dźwiną Polacy zdobyli u Anglików chwalebą nazwę lwów północy.

Po ustaniu działań wojennych Murmańczycy wraz ze swoim dowódcą i niedźwiedzicą Baską poprzez Anglię wracają do

Polski. W międzywojniu Julian Skokowski jako pełny pułkownik jest inspektorem szkolenia szkół podchorążych*. W czasie wojny dowódcą Korpusu Obróńców Polski, a później Polskiej Armii Ludowej związanej z PPS-em. Bierze udział w Powstaniu Warszawskim jako dowódca połączonych sił AL, PAL i KB. Po kapitulacji Powstania Warszawskiego, dzięki dowództwu Armii Krajowej, żołnierze PAL-u uzyskują w niewoli niemieckiej takie same prawa jak żołnierze Armii Krajowej.

Po wojnie zgłasza się do służby w wojsku. Na krótko zostaje dowódcą krakowskiego okręgu wojskowego. Zwolniony w ramach czystki po objęciu dowództwa w Wojsku Polskim przez maraszałka, który w dzieciństwie walczył z łyżeczką do herbaty. Aresztowany, sądzony i skazany na pobyt w więzieniu. Nie wiem dokładnie, za co. Może był to akt zemsty za zdobycie Archan-gielska w sierpniu 1918 roku? A może musiał odpokutować za waleczność dowodzonych przez niego Murmańczyków, którzy w walkach nad Dźwiną zdobyli miano lwów północy?

Karę więzienia odbywał w innej niż moja celi.

W 1959 roku zrehabilitowany przez Najwyższy Sąd Wojskowy. Nie wiem, czy nastąpiło to przed czy po Jego śmierci w tym samym roku.

Moje wspomnienie o generale Julianie Skokowskim ukazało się w „Życiu Warszawy”.

* We wrześniu 1939 dowódca piechoty 25 DP, później GO „Palmiry” chroniącej składy amunicji.

4. BALLADY (II)

śpiewane przez rycerzy zakonu kropki i półksiężycy były bardzo smutne, przepojone tęsknotą i wbrew powszechnym przekonaniom pozostałej części naszego społeczeństwa całkowicie pozbawione wulgaryzmów. Chciałbym tu przytoczyć słowa ballady śpiewanej przez Wielkiego Mistrza Zakonu Kropki i Półksiężycy, czyli pana Kazia, i dwóch ballad, a właściwie ich fragmentów, śpiewanych przez moich uczniów w czasie mojego belfrowania w Rawiczu (okres ten opisuję w kilku wspomnieniach w trzeciej części tego zbioru).

Ballada śpiewana przez pana Kazia właściwie powinna być śpiewana przez osobę płci przeciwnej. Ale takich w naszej celi nie było. Oto jej słowa:

*Gdy gaśnie reklam kaskada
Dla chleba ja idę na róg
Jaki ból się w me serce zakrada?
Ja z zimna nie czuję już nóg.*

I refren:

*Kuuuuuup moje ciało, choć na jedną noc
Daaaam ci upojeń szczęścia wrażeń moc
Kuuuuuup i zarobić daj mi
Nie zważaj, że w oczach mych iskrzą się łzy.*

Słowa ballady śpiewanej przez mojego ucznia, osiemnastolatka ze Szczecina (skazanego za „wypożyczenie” do pojeżdżenia roweru) były następujące:

*Północ wybiła na miejskim zegarze
Więźniowie snem twardym śpią
A jeden z nich nie śpi, a jeden z nich marzy
On widzi wolyność*) za mgłą.*

Jego kolega „po fachu” z Warszawy śpiewał o kropli wody:

*Upadła mi kropla wody
Na tę białą podłogę
By strażnika nie rozgniewać
Wycieram ją, czym mogę.*

Zastanawiałem się, czy treść tych ballad przytaczać. Doszedłem jednak do wniosku, że skoro był taki nurt twórczości za murami, to należałoby go jakoś zasygnalizować i zachować. Dla możliwie pełnego obrazu życia po tamtej stronie.

*) Wolyność – proszę nie poprawiać.

5. ZJEDNOCZENIE

dwóch partii, w wyniku którego na prawie pół wieku powstała przewodnia siła narodu, nie przebiegało gładko, głównie z powodu oporów w Polskiej Partii Socjalistycznej. W lutym 1954 roku poznałem przeciwnika tego zjednoczenia. Mieszkaliśmy w tej samej celi na Mokotowie, z tym że on był znacznie dłużej więziony niż ja, bo od 1948 roku. Był to Roman Droźniakiewicz.

Na zjeździe wojewódzkim tej partii w lutym 1946 roku w Bydgoszczy pan Roman został wybrany do Komitetu Wojewódzkiego. Był członkiem prezydium, w którym pełnił funkcję skarbnika. Opowiadał nam (moim kolegom i mnie), że w 1946 roku PPS stanowiła realną siłę i miała duże szanse w walce o władzę. Przekazał nam dużo informacji dotyczących tej walki, których próżno by szukać w publikacjach odnoszących się do tego okresu. Zupełnym zaskoczeniem była dla mnie wiadomość, że w wyborach do sejmu w 1947 roku PPS początkowo miała wystartować samodzielnie. Roman Droźniakiewicz na polecenie Józefa Cyrankiewicza ustalał listę kandydatów do przejęcia władzy w gminach, powiatach i w miastach po ewentualnych wygranych wyborach do sejmu. Niestety, później Cyrankiewicz zmienił front (a może od początku miał taki zamiar?) i PPS poszła do wyborów razem z PPR w bloku partii demokratycznych (lista nr 3), a przygotowane wcześniej listy wykorzystano później (przed zjednoczeniem) jako listy proskrypcyjne do przeprowadzenia aresztowań działaczy PPS.

W Polskiej Partii Socjalistycznej był powszechny opór i brak zgody na zjednoczenie się z Polską Partią Robotniczą.



Pruszków 15.12.1948.

Od lewej stoją: Janek Przywiedzki, Tadek Łosiewicz, Czesio Bessaga, Janusz Makowski, Tomek Łątkiewicz, Liebelt (imienia nie pamiętam, razem z siostrą Romą dołączyli do nas później), Janusz Ostrzycki „Diabolo”, Wiesiek Wiatrowski.

Od lewej siedzą: Antek Ostrowski, Tadek Jakubowski, Edek Kądziela, Zenek Krawczyński i Krzysiek Jeliński. Stoimy i siedzimy na ulicy Bolesława Prusa, przed apteką wtedy jeszcze Jana Bielawskiego. Jeszcze, bo dwa lata później zostanie ona upaństwowiona (jak wszystkie w Polsce), czego właściciel nie przeżyje. Czekamy na przebiegnięcie sztafety z meldunkami o wykonaniu zobowiązań dla uczczenia Kongresu Zjednoczeniowego. Tego dnia uczniowie wszystkich szkół w Pruszkowie mieli „wolne”.

W związku z tym w okresie poprzedzającym to zjednoczenie szeregowych członków PPS masowo⁹⁾ usuwano z partii, natomiast działaczy przeciwnych zjednoczeniu aresztowano i po sfigowanych procesach jako agentów imperialistycznych i wrogów Polski Ludowej osadzano w więzieniach.

W związku z tym, że przed grudniem 1948 roku (15 grudnia odbył się Kongres Zjednoczeniowy) nasiliło się znikanie działaczy PPS, młodzież z byłej OMTUR¹⁰⁾ organizowała grupy ochraniające działaczy tej partii. Pan Roman Droźniakiewicz mówił nam, że o faktach tych informował Józefa Cyrankiewicza, który był w tym czasie Przewodniczącym Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. Cyrankiewicz uspokajał go, twierdził, że działania te to samowola tak zwanych organów, a gdyby jego coś takiego spotkało, to go z tej opresji wyciągnie.

Niestety, nie pomogła ochrona chłopaków z byłej OMTUR. Przed kongresem zjednoczeniowym pan Roman Droźniakiewicz został aresztowany. Kiedy go poznałem, już od przeszło pięciu lat trwało obiecane wyciąganie. Cyrankiewicz nie dość, że mu nie pomógł, to jeszcze jego nazwisko wymienił na pierwszym miejscu, mówiąc o wrogach powstania przewodniej siły narodu. W związku z tym jako „wrogowi z agenturalną przeszłością” zafundowano mu drugi proces. Pan Roman Droźniakiewicz mówił nam, że w związku z tym drugim procesem spodziewa się powtórnego aresztowania zaraz po wyjściu za bramę po odsiedzeniu wyroku z pierwszego procesu. Nie udało mi się sprawdzić, czy tak się stało.

⁹⁾ Według informacji, jakie uzyskałem od profesora Krzysztofa Dunin Wąsowicza, usunięto wtedy z PPS 220 000 osób. Często było to równoznaczne z wyrzuceniem z pracy.

¹⁰⁾ OMTUR – Organizacja Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, młodzieżowa przybudówka PPS rozwiązana na kongresie zjednoczeniowym organizacji młodzieżowych we Wrocławiu 22 lipca 1948 roku.

6. WYSTĘP

był zupełnie amatorski i w dodatku śpiewaliśmy bez podkładu muzycznego. Miał miejsce w celi, jak najdalej od ściany korytarzowej, żeby nie zwabić niepożądanych gości. Wystąpiliśmy po balladzie śpiewanej przez pana Kazia^{*)}. Moi koledzy i ja często spotykaliśmy się na imieninach i na prywatkach, na których bawiliśmy się przy muzyce odtwarzanej z płyt gramofonowych. Ponieważ był to koniec lat czterdziestych i początek lat pięćdziesiątych, znaliśmy wiele przebojów z lat międzywojennych nagranych na płytach firmy „Odeon” i firmy „Syrena Elektro”, śpiewanych przez ulubieńców Warszawy z tamtego okresu. Bawiliśmy się również przy nagraniach nam wtedy współczesnych.

Śpiewaliśmy niezbyt głośno, otoczeni wianuszkami naszych starszych wiekiem i więziennym stażem kolegów. Z piosenek dawnych Ada, której nie wszystko wypadło, na moment przenosiła ich w najlepsze dla nich lata. Z piosenek współczesnych najbardziej im się podobało miasteczko, co nad rzeczką wśród ogrodów śpi. W piosence tej mowa o mleczarzu, który rano stuka do drzwi. Są w niej słowa: „Trzeba skopać w swym ogródku pod lewkonie grunt, potem brydż u aptekarza po pięć groszy punkt. Dzień podobny do dnia, tydzień do tygodnia, wolnym krokiem po ulicach spaceruje czas”.

Wzruszeni, słuchali z uwagą. Autor słów tej piosenki w sposób zupełnie nieprzewidziany wyrażał ich tęsknotę za normalnym życiem, którego na wiele lat zostali pozbawieni. Za życiem w czasach, kiedy pukanie rano do drzwi będzie oznaczało tylko i wyłącznie przybycie mleczarza.

*) Piszę o tym we wspomnieniu pt. „BALLADY (II)”.

7. POLITRUK

To określenie pejoratywne zastępcy dowódcy w wojsku czy zastępcy naczelnika więzienia. Często miał więcej do powiedzenia od swojego formalnego zwierzchnika, może dlatego, że z zasady podlegał on też tak zwanym niechlubnym służbom. Słyszałem o jednym, którego czyn świadczy o tym, że nie pasuje on do tej opinii.

Portem macierzystym kanonierki „Józef Piłsudski” za polskich czasów było Oksywie. Czasy się zmieniły, również patron kanonierki, tylko port pozostał ten sam. Była na stanie ludowego Marwoju, szkolili się na niej nasi marynarze, brała udział w manewrach na Bałtyku. Politrak z racji swojej funkcji doskonale się orientował w poglądach członków załogi. Wiedział, kto przepada za Polską Ludową, a kto kocha ją mniej, czy w ogóle w niej nie gustuje. Ta wiedza przydała się mu w czasie ostatnich dla niego i dla kilku marynarzy manewrach z udziałem ich kanonierki.

W połowie drogi między Polską a Szwecją błyskawicznie porozumiał się z marynarzami, na których pomoc mógł liczyć. Razem obezwładnili dowódcę kanonierki i kilku sprzyjających mu marynarzy, zamknęli ich w pomieszczeniu przeznaczonym na areszt i na maksymalnych obrotach śruby wzięli kurs na Szwecję. Nie pamiętam już, czy byli ścigani, czy nie. Duch dawnego patrona kanonierki czuwał nad nimi. Do Szwecji dotarli cali i zdrowi.

Zostali. Uwolniony w Szwecji dowódca wraz z resztą załogi wrócił na Oksywie. Długotrwałe śledztwo prowadzone przez Informację. Wysokie wyroki w pokazowym procesie przed

Rejonowym Sądem Wojskowym w Gdyni (lub w Gdańsku – dokładnie nie pamiętam). Dowódca, który wrócił, został skazany na karę śmierci, marynarze otrzymali wyroki piętnastoletnie. Władzy we łbie się nie mieściło, że mogli zostać, a jednak wrócili. A może dopucowano im szpiegostwo? Dowódca podobno został ulaskawiony i krawat zamieniono mu na koło (karę śmierci na dożywocie). Wszystko za brak czujności rewolucyjnej i za to, że nie zapobiegli ucieczce, że zbyt łatwo dali się obezwładnić.

Wspomnienie to ma również swoją puentę. Jest nią zatopienie, a następnie wydobywanie kanonierki. Ten cyrk potrzebny był po to, żeby zmyć z niej „hańbę” ucieczki, czyli zdrady PRL-u.

CZĘŚĆ ÓSMA

OPOWIEŚCI SPOD CELI W RAWICZU (03.04.1954 – 29.03.1955)

1. GOLIBRODA
2. KUŁACY
3. ROBIN HOOD
4. TEMPIETTO
5. WIERZBY
6. BŁĘKITNA RAPSODIA
7. INWALIDZI
8. DUSICIEL
9. SMALEC
10. POŁYKI
11. TRAGEDIA
12. „WŁODEK”
13. TOMIR
14. OPINIA

1. GOLIBRODA

odwiedzał nas w celi minimum raz i maksimum dwa razy w tygodniu. Ta nieregularność wynikała z ilości więźniów, a tym samym ilości goleń, w naszym pawilonie. Golenie rozpoczynał zaraz po śniadaniu i chodząc od celi do celi, od rana do obiadu lub do kolacji – dokładnie nie pamiętam – golił wszystkich więźniów. Golibrodą był szczupły i starszy (wtedy dla nas) więzień. Najgorsze było to, że lekko drżały mu ręce i że wcale nie mieliśmy pewności, że był to fryzjer. Po prostu fryzjer mógł być poszukiwany i on mógł zgłosić się na ochotnika.

Cały jego przenośny warsztat składał się z brzytwy, która przed każdym goleniem musiała być ostrzona. W związku z tym była tak cienka, że za cud należy uznać fakt, że przy goleniu nie doszło do wypadku. Do ostrzenia brzytwy miał pas skórzany napięty na konstrukcji z drzewa, przypominającej powiększony smyczek do skrzypiec. Uzupełnieniem tego wyposażenia był pędzel do golenia, tak zdarty od częstego używania, że określać tak go mogli tylko wyjątkowi optymiści, oraz miska do bicia piany z proszku – pudru do golenia. Zamiast proszku do bicia piany używano również mydeł do golenia. Zarówno proszek, jak i mydło do golenia kupowaliśmy na wypiskę, z tym że nie zabieraliśmy tego do celi. Proszek i mydło dostarczane było bezpośrednio do naszego golibrody.

Od tępej brzytwy i łysego pędzla – a właściwie tylko trzonka do golenia – oraz trzęsących się rąk naszego golibrody gorsza była świadomość, że w czasie golenia można było zarazić się jakąś chorobą. Z braku środków zarówno brzytwa, jak i pę-

dzel nie były dezynfekowane, a golone nimi było całe więzienie. W sumie jednak sytuacja w Rawiczu w tej materii była znacznie lepsza niż w Pałacu, gdzie raz w tygodniu strzyżono nam twarze elektryczną maszynką do strzyżenia głów, która tak się rozgrzewała, że aż parzyła.

Nie pamiętam zupełnie, jak problem ten był rozwiązywany na Rakowieckiej; od przyjaciół dowiedziałem się, że dostawaliśmy do golenia żyletki „krwawa lux”, ale i oni nie pamiętają, czy goliliśmy się sami, czy nas golono i czy w asyście klawisza, czy bez niej.

2. KUŁACY

to najbiedniejsi chłopci, określani w podręcznikach ekonomii socjalistycznej również jako biedota wiejska. W tamtych czasach skazywani byli za niedostarczenie obowiązkowych dostaw. A niby z czego mieli te dostawy dostarczać, jak im na przykład nie obrodziło? Bogatsi chłopci w takiej sytuacji kupowali zboże, żeby z tych obowiązkowych dostaw się wywiązywać i mieli spokój. Ci najbiedniejsi nie mieli za co. W związku z tym, jako uchylający się od obowiązku w stosunku do ludowego państwa, kułacy byli aresztowani, sądzeni i skazywani na pobyt w więzieniu. Poznałem ich w Rawiczu. Szkoda, że nie widzieli ich wybitni polscy rysownicy przedstawiający kułaków w „Szpilkach” i innych pismach i gazetach. Na ich karykaturach kułacy byli przeważnie dobrze odżywieni, w kamizelkach, z zawiniętymi rękawami koszul, z dewizką od zegarka na opasłym brzuchu. Gdyby dać im jeszcze cylinder w paski i w gwiazdki mogliby również występować w roli Wuja Sama.

Rzeczywistość była zupełnie inna. Moi kułacy wyglądali zupełnie inaczej. Byli wymizerowani, niscy i prawie wszyscy mieli jakieś dziwne proporcje. Te proporcje to była cecha, którą zauważało się natychmiast. Polegała ona na tym, że mieli oni w stosunku do wzrostu za długie ręce, a w stosunku do tych rąk znacznie większe dłonie. Ze względu na powszechność tego zjawiska wytłumaczenie może być jedno. Te długie żylaste ręce i dłonie sękaty, wielkie jak bochenki chleba, to rezultat ciężkiej pracy na roli od najmłodszych lat. I pomyśleć, że takich ludzi władza, uważająca się za ludową, zamykała w więzieniu.

Ale władza była litościwa. Nie dostawali dużych wyroków. Uważano, że pół roku w więzieniu za niewywiązywanie się z obowiązkowych darmowych dostaw jest karą z wychowawczego punktu widzenia wystarczającą. Stosunkowo krótkie wyroki władza rekompensowała sobie w inny sposób. Chodziło o to, żeby w tym krótkim czasie dać chłopom polskim w kość.

W związku z tym w celach trzyosobowych trzymano po dziesięciu – dwunastu „kułaków”. I tu chciałbym podać informację, która zabrzmiałaby nieprawdopodobnie, która wyda się wręcz paradoksalna.

Zdarzały się przypadki, że niektórym chłopom skracano wyroki, a oni nie chcieli z tej możliwości skorzystać i wcześniej opuścić murów więziennych. Działo się tak za sprawą nieformalnej, nielegalnej organizacji lekarzy więźniów i lekarzy tak zwanych wolnościowych, która to organizacja wyławiała najbardziej chorych chłopów, umieszczała ich w więziennym szpitalu, gdzie poddawani byli leczeniu, o czym w warunkach wolnościowych nawet nie marzyli. Poza tym niektórzy z nich po raz pierwszy w życiu mieli tu kontakt ze stomatologiem i nie chcieli przerywać leczenia.

O kułakach z Rawicza piszę również dlatego, że o cierpieniach i warunkach życia polskich chłopów, którym tak wiele zawdzięczamy, prawie wszyscy jakoś dziwnie zapominamy.

3. ROBIN HOOD

z ulicy Targowej^{*)} siedział w celi przylegającej do pokoju nauczycielskiego^{**)}. Nauki pisania i czytania w zakresie do piątej klasy uczył go jeden z moich kolegów. Tak samo jak jego legendarny poprzednik, bohater angielskich ballad średniowiecznych, szlachetny herszt zbójców wspomagających biednych, wdowy i sieroty, on rozdawał dropsy, lizaki, herbatniki, również fajki (papierosy) młodszym i ciut starszym dzieciakom z podwórek Targowej, Brzeskiej, Ząbkowskiej i Radzymańskiej. Podobnie jak jego szlachetny pierwowzór działający w lesie Sherwood, dla siebie nic – no, może prawie nic – nie zostawiał. Opowiadał mojemu koledze, że ta jego szlachetna misja, związana jednak niestety z drobnymi kradzieżami, przerodziła się u niego w nałóg. Dochodziło do tego, że nie mógł przejść obojętnie obok kiosku „Ruchu” czy kiosku spożywczego ze słodyczami. Przechodząc obok tych magazynów wszelkiego dobra, czuł, że przeszywa całe jego ciało „drysacz”, że jakaś niewidzialna siła ciągnie go w ich kierunku. Tę magnetyczną siłę często wzmacniały kraty, którymi te kioski były zabezpieczone.

Miał mniej szczęścia od bohatera angielskich ballad średniowiecznych, który zawsze uchodził pogoni i wymykał się z zasadzek przygotowanych przez szeryfa z Nottingham i jego ludzi. No, ale on działał w świecie rzeczywistym.

^{*)} Ulica w prawobrzeżnej części Warszawy.

^{**)} Była to cela, w której siedzieli nauczyciele.

4. TEMPIETTO^{*)}

zobaczyłem po kolejnej przerzutce. Nie była to jednak kaplica rzymska, lecz wykorzystanie idei tej kaplicy do zwieńczenia wieży kościelnej w Rawiczu. Kościół położony był niedaleko więzienia. Między nim a murem więziennym rosły drzewa, chyba kasztanowce, tak że widziałem tylko tę wieżę i niewielki kawałek chodnika w prześwicie między drzewami. Do kolejnej przerzutki co niedziela obserwowaliśmy na tym kawałku chodnika ludzi idących do kościoła. W odświętnych ubraniach szły całe rodziny, pary i pojedyncze osoby. Bardzo dużo dzieci. Obserwując tych ludzi i tę wieżę, której zwieńczenie według mnie stanowiło rzymskie *tempietto*, zapragnąłem znaleźć się w tym kościele. Postanowiłem wtedy, że po opuszczeniu gościnnych murów, w których przebywałem, odwiedzę tę świątynię. Niestety, z przyczyn ode mnie niezależnych, z powodu całkowitego braku czasu w dniu wyjazdu, nie mogłem tego zrobić. Piszę o tym we wspomnieniu pt. „Powrót” w mojej pierwszej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony”.

^{*)} Tempietto – kaplica wzniesiona przez architekta Donato Bramante w latach 1502 – 1503 na dziedzińcu klasztoru San Pietro in Montorio, gdzie według tradycji został ukrzyżowany św. Piotr. Bramante nawiązywał do formy antycznego monopterosu – świątyni na planie kolistym, otoczonej wieńcem kolumn. Tempietto uważane jest za najlepszy przykład rozwiniętego renesansu w architekturze.

5. WIERZBY

płaczące szumiały Henrykowi Pilarczykowi z Armii Krajowej w latach czterdziestych. Pod koniec tych lat płakały nad jego losem, gdy skuty kajdankami w towarzystwie konwoju przewożony był na koszt ludowej ojczyzny z Siedlec do Warszawy w przedziale wagonu PKP trzeciej klasy. Zauważył go przechodzący korytarzem grajek, inwalida wrześniowy. Spojrzał na niego i zorientował się w jego sytuacji, która na najbliższych kilka lat nie zapowiadała się najlepiej. Stał w otwartych drzwiach przedziału i prawie do samej Warszawy grał na akordeonie tę melodię. Grał tylko dla niego, rezygnując z obchodu innych wagonów i tym samym z zarobku. Na szczęście konwój nie interweniował. Może ta melodia też mu się podobała, może też mu coś przypominała, zwłaszcza, że konwój był w wieku zbliżonym do wieku konwojowanego.

Swoje spotkanie z grajkiem – inwalidą wrześniowym – opowiedział mi Henryk Pilarczyk wiosną 1954 roku, gdy po odbyciu kwarantanny w pojedynczej celi „białego” pawilonu zostałem przeniesiony do trzyosobowej celi w „czerwonym” pawilonie. Oprócz niego i mnie w celi tej odbywał również karę Henryk Trzaskowski z Gąbina.

6. BŁĘKITNA RAPSODIA

Cztery strony „Przekroju” dostałem w czasie spaceru całego naszego oddziału, między czerwonym pawilonem a murem okalającym więzienie, od Komandora Tadeusza Perdzińskiego. Aresztowany razem z generałem Tatarem, majorem Utnikiem i generałem Mossorem w związku z czystką w Ludowym Wojsku Polskim po objęciu dowództwa przez Rokossowskiego, ocalał głowę, ale otrzymał wyrok wieloletniego więzienia. Wylądował w Rawiczu. W czerwonym pawilonie przebywał w tym samym oddziale co ja, tylko kilka cel dalej od mojej. W związku z tym na codziennych, chyba półgodzinnych, spacerach przemierzaliśmy się w sposób, który nie wzbudząc niczyjej uwagi, umożliwiał nam chodzenie trasą spaceru w jednej parze. Rozmawialiśmy na wszystkie tematy. Zaprzyjaźniliśmy się. I właśnie w dowód tej przyjaźni dostałem od niego te cztery strony „Przekroju”.

Po powrocie do celi przeczytałem je chciwie. Znalazłem tam krótką informację o tym, że na koncercie w Filharmonii Krakowskiej grano „Rhapsody in Blue” George’a Gershwina. Wiadomość ta bardzo mnie ucieszyła. Coś się zaczęło zmieniać. Przypomniały mi się koncerty jazzu tradycyjnego na Wydziale Architektury na Koszykowej w Warszawie w wykonaniu mojego kolegi ze studiów, Ryśka Nowickiego.

Wprawdzie „Błękitna Rapsodia” to nie jazz, jednak w oczach, a właściwie w uszach, oficjalnych krytyków muzycznych przed moim uwięzieniem również była uważana za produkt zgniłej imperialistycznej kultury amerykańskiej. Jej oficjalne wykonanie w Krakowie pozwoliło mi żywić nadzieję, że niedługo na fali zbliżających się przemian będę mógł wznowić studia.

7. INWALIDZI

wojenni, żołnierze Armii Krajowej, uczestnicy Powstania Warszawskiego, również tworzyli społeczność uwięzionych w Rawiczu. Były to osoby wtedy starsze ode mnie. Niestety, nie pamiętam ich nazwisk, nie wszystkie je znałem, poza nazwiskiem profesora Władysława Bartoszewskiego, z którym przebywałem w jednej celi na Mokotowie i z którym przyjechałem tym samym transportem do Rawicza. Za to po upływie prawie pół wieku pamiętam twarze i sylwetki niektórych z nich. Zapamiętałem dwóch inwalidów. Jeden z nich w czasie Powstania Warszawskiego stracił nogę, drugi lewą rękę. Zapamiętałem szczególnie tego bez ręki. Chodził lekko pochylony. Mimo inwalidztwa i choroby zawsze był pogodny.

8. DUSICIEL

był więźniem funkcyjnym. Przed uduszeniem żony był urzędnikiem sądowym jednego z miast wojewódzkich. Jego funkcja w więzieniu polegała na przyjmowaniu zamówień na prenumeratę gazet i czasopism (był taki okres w Rawiczu, kiedy było to możliwe) i na dostarczaniu ich do celi. Człowiek ten wyglądał tak, jakby zszedł z kart dzieła Cesare Lombroso, który był twórcą antropologicznej szkoły prawa karnego i teorii o urodzonym przestępcy. Na spacerunku często mówił, że na „kobietę” to on może patrzeć aż do utraty przytomności. Nie to jednak było dla niego charakterystyczne. Charakterystyczny dla niego był sposób chodzenia. Chodził szybkimi, drobnymi krokami z wyciągniętymi nieruchomo wzdłuż tułowia rękami. Dłonie cały czas gimnastykował, poruszając nerwowo palcami we wszystkich możliwych kierunkach. Wyglądało to tak, jakby je ćwiczył, żeby nie wyjść z wprawy.

9. SMALEC

jako też inne tłuszcze, należy pakować w papier,
EWENTUALNIE.

Taką nauką uraczył nas oficer służby więziennej asystujący podczas naszej kolejnej wypiski. Wygłaszając to miniprzemówienie, patrzył w przestrzeń, wznosząc się do przodu na palcach nóg i opadając na pięty w swych wyglansowanych butach oficerkach. Nauka ta świadczy o zamiłowaniu władzy, każdej władzy, nawet najmniejszej, również teraz nam współczesnej, do używania słów, które tej władzy, według tej władzy, dodają splendoru.

10. POŁYKI

były bardzo rzadkie. Jednak się zdarzały. Miały miejsce w nielicznej grupie charakteryzującej się wrodzoną niechęcią do pracy. W grupie tej wykonywanie jakiejkolwiek pracy uważane było za sprawę niehonorową. W związku z tym połyki dla tych osób były jedną z metod walki w obronie honoru. W przypadku zagrożenia pracą i narażenia tego honoru na szwank, ludzie ci nie wahali się przed okaleczeniami. Jedną z form takich okaleczeń były połyki. Łykano różne metalowe przedmioty. Konsekwencją takiego połyku było przeniesienie z celi do więziennego szpitala, operacja żołądka i pooperacyjne leczenie, utrata zdrowia i czasowa lub stała niezdolność do pracy. Połykano różne przedmioty. Słyszałem o więźniu, który połknął pałąk od kubła. Żeby tego dokonać, musiał go wcześniej połamać na mniejsze odcinki. Ze względu na możliwość połyków nie mieliśmy blaszanych misek do jedzenia, lecz toczono, o grubych ściankach, których nie można było zgnieść, połamać i połknąć.

11. TRAGEDIA

na miarę antyczną rozegrała się we wsi, której nazwy niestety nie pamiętam, nie znam również regionu, w którym ta wieś była położona. Może to nawet dobrze, bo może być ona dzięki temu symbolem wszystkich nieszczęść, jakie były udziałem polskich chłopów.

Pod koniec lat czterdziestych we wsi tej nastąpiły masowe aresztowania za udzielanie pomocy leśnym. Pomoc ta polegała na dostarczaniu im żywności, lekarstw i udzielaniu gościny, zwłaszcza chorym i w okresie zimowym. W jednej rodzinie aresztowano ojca i jego trzech synów. W domu została tylko żona – matka i córka – siostra. Po ciężkim śledztwie otrzymali wysokie wyroki za dążenie do obalenia ustroju. Karę więzienia odbywali w Rawiczu, w oddziale na parterze czerwonego pawilonu (ja w tym czasie siedziałem na pierwszym lub drugim piętrze tego samego pawilonu – był już rok 1954). Przez przypadek cała czwórka, ojciec i jego trzech synów, zamieszkała w jednej celi.

W związku z aresztowaniem ich gospodarstwo podupadło. Zresztą bieda wkroczyła do całej wsi, ponieważ wygarnięto z niej prawie wszystkich mężczyzn i chłopaków. W takim stanie rzeczy nie mogli liczyć na pomoc z domu i od sąsiadów z ich rodzinnej wsi. I wtedy stała się rzecz wspaniała. Cały oddział zaopiekował się tą czwórką. Na spacerach dostawali od więźniów z innych cel papierosy, cebulę i cukier. Solidarność więzienna pomogła im przetrwać. W akcji tej uczestniczyli również więźniowie skazani za przestępstwa pospolite, których w tamtych czasach nie było wielu, ale którzy z tej solidarności się nie wyłamali.

12. „WŁODEK”

to pseudonim Ryszarda Kamińskiego z Pruszkowa. Spotkałem go na spacerunku w Rawiczu w 1954 r. Był to jego siódmy rok odsiadki. Był zaskoczony, że go poznałem. Znałem go, ponieważ mieszkał prawie po sąsiedzku na ulicy 3 Maja i był trochę starszym kolegą mojej starszej siostry Wiesi. Chodził do tej samej szkoły powszechnej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego co ona i ja.

Niedawno z książki Henryka Krzyczkowskiego pt. „Inna Ojczyzna, inne miasto, inni ludzie”, dowiedziałem się, że „Włodek” był żołnierzem „Orlika”, oddziału wydzielonego dywersji bojowej w pruszkowskim Rejonie 6 „Obroży” AK (dowódcą tego rejonu był płk Edmund Krzywda-Rzewuski, pseudonim „Paweł” i „Gospodarz”, wujek mojego przyjaciela Jacka Przygodzkiego, z którym byłem aresztowany tego samego dnia, objęty tym samym aktem oskarżenia i z którym razem byliśmy sądzeni przez Rejonowy Sąd Wojskowy w Warszawie).

Według Henryka Krzyczkowskiego podczas godziny „W” „Włodek” znalazł się ze swoim oddziałem w Lesie Chlebowskim. Brał udział w likwidacji dowództwa pułku artylerii Dywizji Herman Goering w Paszkowie. Walczył w Puszczy Kampinoskiej i w Górach Świętokrzyskich. Za czyny bojowe w okresie Powstania otrzymał Krzyż Walecznych.

13. TOMIR

W opowieściach pt. „KOMANDOR” i „LEKCJA FRANCUSKIEGO”, zawartych w mojej książeczce pt. „Znakiem tego oskarżony” pisałem o komandorze Tadeuszu Perdzyńskim, z którym zetknąłem się w 1954 i 1955 roku w Rawiczu. Skazany w pierwszej instancji na dożywocie, po rewizji procesu – na dwanaście lat, przebywał ze mną na tym samym oddziale w „czerwonym” pawilonie (w Rawiczu były dwa: „biały” i „czerwony”). Zaprzyjaźniliśmy się na spacerunku. Na krótki czas los połączył go z moim przyjacielem – Heniem Pecyną. Razem robili kosztorysy budowlane w związku z remontem więzienia. Henio, jako student Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Warszawskiej, był w tym duecie mistrzem, który komandorowi Tadeuszowi Perdzyńskiemu przekazywał tajniki zawodu. Komandor odwdzieczył mu się nauką francuskiego, ponieważ za polskich czasów, czyli w Międzywojniu, ukończył Saint-Cyr. Ta nauka francuskiego nie trwała długo. Ktoś ich zakapował i Henio wylądował w kamieniołomach.

W lutym 2004 roku w „Życiu Warszawy” ukazało się moje wspomnienie o śp. Komandorze Tadeuszu Perdzyńskim. Jak się wkrótce okazało – niekompletne. Moja opowieść pod tytułem „TOMIR” jest uzupełnieniem tamtego wspomnienia.

Od mojej koleżanki ze studiów na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, Basi Jabłońskiej-Charytonik, dowiedziałem się, że po wyjściu z więzienia aż do przejścia na emeryturę komandor Tadeusz Perdzyński pracował w tym samym biurze

projektów⁹⁾ co i ona, w charakterze kosztorysanta budowlanego. Tak więc „nauka” mojego przyjaciela Henia Pecyny nie poszła na marne. Poza tym, przykład ten świadczy o tym, że nigdy nie wiadomo, co może się człowiekowi w życiu przydać.

Znacznie więcej o Komandorze Tadeuszu Perdzyńskim dowiedziałem się stosunkowo niedawno od Władysława Bartoszewskiego, z którym dzieliłem celę w lutym i w marcu 1954 roku na Rakowieckiej w Warszawie. Okazało się, że komandor Tadeusz Perdzyński z Rawicza w 1954 i 1955 roku i major dypl. Tadeusz Perdzyński („Tomir”) z Powstania Warszawskiego dzień lat wcześniej to ta sama osoba. Oddaję głos Władysławowi Bartoszewskiemu w „Dniach walczącej Stolicy”:

...W godzinach popołudniowych zgrupowanie „Radosław” straciło kilkadziesiąt osób podczas bombardowania. W dniu 28 sierpnia na Starym Mieście pozostaje około 2000 walczących – wszyscy w stanie ostatecznego wyczerpania. Plk Karol Ziemiński – „Wachnowski” podejmuje decyzję przebicia się do Śródmieścia. Mjr dypl. Tadeusz Perdzyński („Tomir”) udaje się kanałem do Śródmieścia, aby uzgodnić z plk. „Monterem” współdziałanie śródmiejskich oddziałów AK w tym przedsięwzięciu.

Puenty o „wdzięczności” Ludowej Ojczyzny w tej opowieści nie będzie. Byłoby to za łatwe.

⁹⁾ Komandor Tadeusz Perdzyński pracował w Miejskim Biurze Projektów m.st. Warszawy.

14. OPINIA

wystawiona mi przez Naczelnika więzienia w Rawiczu nie jest aż tak piękna, jak „laurka”, czyli charakterystyka więźnia Jakubowskiego Tadeusza sporządzona w Pałacu Mostowskich, ale nie jest zupełnie pozbawiona uroku.

Żeby nie być gołosłownym, zacytuję tu fragmenty tej opinii:

W czasie odbywania kary więzienia karany dyscyplinarnie nie był, lecz zachowanie w/w nie jest zadowalające, zachowuje się o tyle aby uniknąć kar dyscyplinarnych, jest więźniem niezdyscyplinowanym i opieszałym, do przełożonych odnosi się lekceważąco, pokazuje swą zarozumiałość, jest więźniem skrytym i nie prawdziwym (...), skruchy za dokonane przestępstwo nie wykazuje (...) z ulg i nagród dotychczas nie korzystał, i chwilowo nanie nie zasługuje, w stosunku do Polski Ludowej wrogich wypowiedzi nie notowano.

Uwaga 1. Pisownia i interpunkcja zgodna z oryginałem.

Uwaga 2. Opinia ta to w dużej mierze skutek mojej rozmowy ze specem „sportretowanym” w mojej książeczce „Znakiem tego oskarżony”. Rozmowa była krótka i piękna, dlatego ją tu powtórzę:

- O czym rozmawiacie pod całą?
- O dupie.
- A jak wam się znudzi?
- To zmienimy temat.
- Na jaki?
- Jeszcze nam się nie znudziło.
- Strażnik! Wyprowadzić!

POSŁOWIE

Dziewczyny i chłopaki z naszej ulicy z moich prawie bezgrzesznych lat wkroczyły i wkroczyli w czwartą fazę młodości (przedział wieku od 75 lat do 100 i więcej). W związku z tym zostało ich niewiele i niewielu. Chyba mógłbym je i ich policzyć na palcach jednej ręki.

Jestem przekonany, że również młodzi ludzie, obecni mieszkańcy naszej Topolowej ulicy w Pruszkowie, ale nie tylko oni, przeczytają tę książeczkę z zainteresowaniem. Że dzięki niej – między innymi – będą mogli porównać zabawy mojego dzieciństwa z tymi, które były ich udziałem. Mam nadzieję, że ci młodzi ludzie dzięki tej książeczce poznają również wydarzenia z przeszłości naszej ulicy, a więc historię niewielką, ale za to powiązaną z historią dużą, historią naszego miasta, jego okolicy i historią naszej Polski. Tę książeczkę również im dedykuję.

PODZIĘKOWANIE

Serdecznie dziękuję Paniom i Panom: Grzegorzowi Zegadło – dyrektorowi Książnicy Pruszkowskiej im. Henryka Sienkiewicza w Pruszkowie – wydawcy moich „Lat prawie bezgrzesznych”; Katarzynie Zegadło, Ani Szablewskiej, Adamowi Rachockiemu, wszystkim wymienionym na stronie redakcyjnej tej książeczki tj. Beacie Włodarczyk, Michałowi Bernaciakowi, Tomaszowi Malczykowi; wszystkim osobom, które w jakikolwiek sposób przyczyniły się do jej wydania oraz Urzędowi Miejskiemu w Pruszkowie – za niezwykle życzliwy stosunek do mojej książeczki i do mnie.

Tadeusz Hubert Jakubowski
Pruszków nad Utrą. Topolowa.
28 stycznia 2014 roku.



Z. 651856

SPIS TREŚCI

WSTĘP	7
O SOBIE	9
Część pierwsza	
POLSKIE CZASY	19
Część druga	
MÓJ WRZESIEŃ	45
Część trzecia	
GG (GENERALNA GUBERNIA)	73
Część czwarta	
MÓJ SIERPIEŃ	161
Część piąta	
WCZESNY PRL	195
Część szósta	
OPOWIEŚCI SPOD CELI W PAŁACU MOSTOWSKICH	279
Część siódma	
OPOWIEŚCI SPOD CELI NA RAKOWIECKIEJ	333
Część ósma	
OPOWIEŚCI SPOD CELI W RAWICZU	349
POSŁOWIE	369
PODZIĘKOWANIE	370

Druk i oprawa
Łódzkie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.
95-100 Zgierz
ul. Chemików 2/4







ISBN 978-83-62144-25-9

